

*MAGDALENA KULUS*

## *Blondyn i Blondyna*

Wydawnictwo SOL

> SOL OMNIBUS LfCET

Copyright © Magdalena Kulus 2011

Redakcja: Katarzyna Nowak

Redakcja techniczna, typografia, skład, łamanie:

Dominik Trzebiński Du Chateaux

atelier@duchateaux.pl

Korekta: Karina Stempel-Gancarczyk

Okładka: Andrzej Brzezicki i Alicja Brzezicka ARIDI

Zdjęcia: Maria Kulus, Nina Korpowska, Michał Pilecki, Katarzyna Prus, Arkadiusz

Truszkowski

ISBN 978-83-62405-18-3

Warszawa 2011

Wydawca:

Wydawnictwo SOL

Monika Szwaja

Mariusz Krzyżanowski

05-600 Grójec, Duży Dół 2a

wydawnictwo@wydawnictwosol.pl

www.wydawnictwosol.pl

Dystrybucja:

Grupa A5 sp. z o.o.

92-101 Łódź, ul. Krokusowa 1-3

tel. 42 676 49 29

handlowy@grupaa5.com.pl

Druk i oprawa: pporaraf www.opolgraf.com.pl

Moim Rodzicom,

którzy nauczyli mnie, jak żyć.

PODZIĘKOWANIA

ielkie podziękowania należą się Fundacji Alteri (szczególnie Agnieszce) — za poświęcony mi czas, cudowne chwile w Brzeźnicy i spełnienie marzenia-oraz moim Rodzicom, którzy pozwolili mi na trzeciego zwierzaka i razem ze mną podjęli wyzwanie posiadania psa asystującego.

Zawsze odcinałam się od mojej niepełnosprawności. O tyle, o ile można to zrobić, jeżdżąc na wózku. Nie lubiłam integrować się ze środowiskiem osób niepełnosprawnych, chociaż wiedziałam, że czasami powinnam. Oni byli chorzy, ja — w swoim mniemaniu — nie bardzo. Żyłam jak moi rówieśnicy, miałam trochę mniej siły, ale to wszystko. Drażnili mnie ludzie, którzy patrzyli na mnie przez pryzmat wózka, litowali się, wzdychali. A najbardziej denerwowali mnie tacy, którzy na moje słowa, że gdzieś IDEĘ, uśmiechali się pobłaźliwie i mówili:

-Chyba jedziesz, Madziu, jedziesz - podkreślając tym samym moją inność.

W końcu jednak nadszedł taki czas, że musiałam zauważyć, iż jestem chora'. Bo zanik mięśni postępuje, zżera człowieka i nie pozwala, by się nim nie przejmować. Pewnego dnia usiadłam więc przy komputerze i przeczytałam o wszystkich okropnych rzeczach, które mnie czekają.

Przestudiowałam wszystko, przed czym uciekałam latami. O tym, jak powoli będę znikać, tracić na wadze, że nie będę mogła sama oddychać. To był taki przystanek w moim życiu - usiadłam i myślałam. Mój kolega doskonale to podsumował - że Megi po dwudziestu czterech latach uwierzyła, iż jest chora.

Ale ja nie chciałam wierzyć. Nie chciałam o mojej niepełnosprawności mówić i pisać. Blog, który założyłam w 2007 roku, miał być tylko i wyłącznie o moim psie asystencie — Igorze. Z czasem jednak okazał się zapiskiem życia młodej, chorej dziewczyny, która spogląda na świat przez psią, biskoptową łapę.

Blog stał się również miejscem spotkań z osobami, które w jakimś stopniu są związane z zanikiem mięśni — z rodzicami chorych dzieci, z dziewczynami, które od lat zmagają się z niepełnosprawnością. Z blogowych znajomości i rozmów

1) Rdzeniowy zanik mięśni Werdniga-Hoffmanna.

powstał pomysł utworzenia Stowarzyszenia Osób Chorujących na Rdzeniowy Zanik Mięśni „SMAk Życia”, które zostało zarejestrowane w październiku 2010 roku. Dzisiaj wiem, jak cenne są kontakty ze „znajomymi po fachu”, zwłaszcza że dotyka nas tak rzadka choroba.

Wiem, jak istotne jest, by wyciągnąć rękę do tych, którzy są na początku drogi.

Książka ta to jednak nie tylko zapiski z blogu. To również przemyślenia, anegdota z czasów, gdy Igora przy mnie nie było. To także opowieść o mojej rodzinie — zwykłej, najzwyklejszej, jakich w Polsce wiele, a jednak niezwyklej, bo to ona daje mi siłę, by żyć.

Czwartek, 6 września 2007

JAK TO Z NAMI BYŁO

O psie asystencie marzyłam od dawna, jednak takowy był bardzo drogi. Pewnego dnia znalazłam w Internecie Fundację Alteri i od tego momentu moje marzenie zaczęło przybierać realne kształty. Alteri przekazywało takie psy bezpłatnie osobom niepełnosprawnym, jeśli przeszło się rozmowy kwalifikacyjne i odpowiednie szkolenie. Co ważne — trenerzy nie wymagali, bym miała silne ręce - najważniejsze było, żeby pies był dla mnie pomocny. Większość tego typu fundacji szkoli psy dla osób, które są niepełnosprawne tylko w pewnym stopniu i posiadają sprawne dłonie.

Kiedy pierwszy raz pojechałam na Alterowskie Spotkanie Integracyjne, byłam zachwycona - atmosferą, ludźmi, którzy poświęcali swój czas na szkolenie psów dla osób takich jak ja, oraz samymi psami. Tam poznałam Alturę - wyjątkowego bouviera o czułym sercu.

Altura jest psem niezwykle spokojnym, bardzo wrażliwym. Mam do niej ogromny sentyment. Przypadłyśmy sobie do gustu i sunia zawitała u mnie w domu. Jednak nie potrafiła żyć w zgodzie z moim kotem Łatkiem i z naszej współpracy nic niestety nie wyszło.

Igor2 przyjechał do mnie po raz pierwszy z Jackiem - instruktorem Alteri. Razem mieliśmy udać się do Ośrodka Szkoleniowego w Brzeźnicy. Jako że mój elektryk5 zajął pół samochodu, Igor musiał jechać przy moich nogach. Nie był zachwycony.

Nie podejrzewałam, że Blondyn trafi do mnie - raczej myślałam o suczce, bo sądziłam, że Fuksiu (mój wieloletni psi przyjaciel, kundelek) prędzej zaakceptuje „koleżankę” niż samca. Z czasem jednak okazało się, że Igor jest dla mnie idealny - spokojny, radosny, pieszczoch, prawdziwa „uklejka”, jak to mawiał Jacek. Jeździłam co jakiś czas do Brzeźnicy, by z nim poćwiczyć i bliżej się poznać. Spędzaliśmy razem czas, chodziliśmy trenować na plac, pozwalano mi go nieco rozpieszczać.

Pod koniec maja odbyła się wizyta próbna u mnie. Łatek (nazywany też Łatko), który doskonale pamiętał Alturę i to, jak się w niego wgapiała, natychmiast wyniósł się do ogródka. Fuksiu nie był zachwycony, ale jakoś zniósł to spotkanie. Natomiast Igor, mimo zmęczenia podróżą, był bardzo zadowolony, jak to on. Wyczał jedzenie kota, pożarł je, trochę mi potowarzyszył, a następnie poszedł drzemać. Czuł się jak u siebie.

27 czerwca Igor przyjechał do mnie na stałe, a ja zachorowałam na zapalenie płuc, ale to już zupełnie inna historia.

2) Petne imię Igora (czyt. Ajgora) brzmi: Igor Alteri Filobel. Blondyn zwany jest też Ajkusiem lub Cusiem. 3] Elektryk — wózek o napędzie elektrycznym.

Na pierwsze Alterowskie Spotkanie Integracyjne pojechałam do Krakowa z Anią - moją przyjaciółką, która jako jedyna potrafiła mnie nosić i kompleksowo się mną zająć. Jeśli nie jechałam gdzieś z Anią, musiałam mieć do pomocy dwie dziewczyny i najlepiej jeszcze jakiegoś chłopaka.

Pierwsze spotkanie z psami z Alteri było niczym bajka - umierałam z radości. Miałam świadomość, że to pierwszy krok do spełnienia mojego marzenia. Każdy kolejny wyjazd tego typu był zresztą dla mnie wielkim wydarzeniem. Uwielbiałam wyprawy do Brzeźnicy. Tam odyskiwałam siły, słuchałam wykładów, poznawałam mnóstwo ludzi, ćwiczyłam z psami. Wracalam strasznie brudna, śmierdziałam psimi chrupkami, ale byłam najszcześliwsza na świecie.

Kiedy zachorowałam na zapalenie płuc, po raz pierwszy zadziałała moja domowa dogoterapia. Wiedziałam, że jeśli pójdę do szpitala, to Igor wróci do Fundacji. Takie są żelazne zasady — pies musi pracować. Dlatego się nie poddałam! Codziennie wstawałam chociaż na chwilę, by z Igorem poćwiczyć, aby nie wyszedł z wprawy. Zdziwiło mnie, że Mama kupiła nam do rzucania bardzo ciężkie piłeczki, ale dzielnie je podnosiłam, a mój asystent biegał za nimi po pokoju i je przynosił. Kiedy wyzdrowiałam, okazało się, że to nie piłeczki były wyjątkowo ciężkie, tylko ja tak osłabiona.

Później wielokrotnie Igor motywował mnie, by nie chorować. A jeśli już - to tylko w domu. Najlepszym lekarstwem dla mnie jest pytanie: „A co z psem?”. No właśnie, przecież nie mogę go zostawić.

Piątek, 7 września 2007

ROZEJM

Jak zostało powiedziane - Łatko nie zapałał sympatią do Igora. Po jego przyjeździe całe dni spędzał na dworze. Wieczorem czekał na parkingu, aż Mama przyjedzie z pracy. Do domu musiała go przynosić na rękach. Spał w ukryciu i ciągle się czał. Mój pokój — w którym dotychczas sypiał - omijał szerokim łukiem. Obraził się na śmierć.

Wielkim sprawdzianem była pierwsza wyprawa na wieś - Łatko musiał przyjąć do wiadomości, że będzie przebywał ze swoim nowym, wielkim kolegą w jednym samochodzie. Dodam, że na wieś jeździmy z całym zwierzyńcem. Wygląda to tak: ja z Tatą z przodu, Mama, Fuksiu i Łatko w szelkach z tyłu, a Igor w bagażniku. Konieczna jest więc przyczepka — inaczej się nie mieścimy. I 3 Na drodze budzimy sensację, bo kto normalny jeździ z dwoma psami i kotem na smyczy? Panie w częstochowskim McDonaldzie już nas znają, gdyż Łatko wraz z moim Tatą zamawia jedzonko w McDrivie.

Ale do rzeczy. Łatko przez całą drogę wyglądał z trwogą, czy aby Igor nie przelazi do nich, by go pożreć. Natomiast Blondyn zachował wyjątkową powagę i nie zareagował nawet na zapach frytek.

Ta podróż uświadomiła Łatkowi, że Igor nie czyha na jego życie. Uspokoił się do tego stopnia, że był w stanie spać na fotelu, przy którym Igor leżał.

Jednak prawdziwy przełom nastąpił dwa dni temu - Łatek przedelfilował przed nosem mojego asystenta i wskoczył do mnie na łóżko. Wczoraj leżakowaliśmy już we trójkę, a dzisiaj wspólnie spędziliśmy popołudnie. Łatka drażnił nieco hałas, jaki robiliśmy z Igorem, ćwicząc, ale zniósł to dzielnie.

Miłość to nie jest, ale rozejm na pewno...

Łatko jest kotem po przejściach, dlatego wiele trzeba mu wybaczyć. Dostałam go na Boże Narodzenie - przybył do mnie prosto ze schroniska i śmierdział nieziemsko. Kiedy Rodzice zjawili się na jego sali, wspiał się na Tatę i tak już został. Wybrał nas. Był bardzo brzydki, miał różowe uszy i nie wróżyłam mu długiego żywota. W krótkim czasie dostał grzybicy i miał

okropną gorączkę. Prezentował się fatalnie — był wysmarowany fioletem, a na czole odpadło mu futro. Wyszedł jednak z tego. Przeżył też grypę oraz bliskie spotkanie z autem.

O tym wypadku dowiedzieliśmy się przypadkiem. Któregoś dnia sąsiadka zapytała Tatę:

-A co z tym kotem? Żyje? Bo jak się odbił od tego samochodu, to tu w żywopłot wpadł.

Po tym incydencie Łatek doczłogał się do domu, położył pod lampą na moim biurku i tam znieruchomiał. Nie miał zewnętrznych oznak tego niefortunnego wydarzenia, a ja byłam pewna, że po prostu stoczył jakąś walkę. Po kilku dniach całkiem powrócił do formy.

Poza przypadłościami zdrowotnymi Łatek musiał przeżyć wiele stresów — wspólne mieszkanie z Fuksem, później znajomość z Alturą (a ta bezlitośnie go goniła) i konieczność zaprzyjaźnienia się z Igozem. Już nie wspominam o tym, że w międzyczasie przybył do nas (drogą przez balkon) kolejny kot, którego jednak daliśmy Cioci Kasi, bo takiego rywala Łatek znieść już nie mógł.

W okresie wiosennym i letnim mój kocur odbywa samochodowe wycieczki na wieś, czego bardzo nie lubi. Po tym, jak w trakcie jazdy wylażł nam ze specjalnego kosza, jeździ w szelkach. Na wsi zaś poluje na jaszczurki, ku rozpaczki mego Taty.

Łatko długi czas uczulony był na mężczyzn. Powodem tego były częste odwiedziny Przemka — mojego dobrego kolegi. Nie lubili się nawzajem i Łatek ostentacyjnie wychodził, gdy Przemek pojawiał się w moim pokoju. Pewnego dnia (łażąc po klawiaturze) skasował mi Przemka z Gadu-Gadu. Krótka obcięci blondyni mieli u Łatka na wstępie minus i gdy tylko taki przemkopodobny się zjawiał, to mój kot znikał. Teraz już nieco mu przeszło i powoli robi się towarzyski.

Obecnie Łatek jest już naprawdę wiekowym kotem, prawie bezzębnym, niezwykle wybrednym, który terroryzuje Mamę w kwestiach żywieniowych. Niedawno przyłapano go na tym, że polował na kanarka sąsiadów, wietrzącego się na balkonie w klatce. Nie cierpi dzieci i hałasu, jest natomiast świetny na wszelkie choroby — na odległość wyczuwa moje samopoczucie i dogrzewa mnie zawsze, gdy coś mi dolega.

15

Poniedziałek, 10 września 2007

Z KRAINY DESZCZOWCÓW

Leje i wieje, więc nie chodzimy na spacer na łąkę. Wczoraj, gdy była lepsza pogoda, pracowałam na popołudnie i też nigdzie nie wyskoczyliśmy. Natomiast dzisiaj po mszy Igor i nasz kumpel Krzyś czekali na mnie pod kościołem, byśmy razem wybrali się na polanę. Niestety, zaczęło padać i nic z hulanki Królewicza nie wyszło.

Podczas deszczowych popołudni ćwiczymy — ostatnio przede wszystkim odróżnianie telefonu od pilota oraz mojej lewej nogi od prawej (na komendę: „Popraw” Igor poprawia którąkolwiek). Dzisiaj zaś mój kuzyn Bartek kręcił filmiki z nami w rolach głównych. Pokazują one, jak Igor pięknie waruje, siada, daje

łapę, przynosi telefon, poprawia mi nogę i wyciąga z szafki moje witaminy. Na jednym prezentujemy, jak pracujemy z klikierem<sup>4</sup>. Było pysznie :).

Oczywiście nie obyło się bez tulaszek. Igor jest strasznym pieszczochem - im bardziej kogoś lubi, tym bardziej pakuje się na kolana. Bartek był więc cały biały od sierści.

Wtorek, 11 września 2007

II ZMIANA

Kiedy pracuję rano<sup>5</sup>, Igor zazwyczaj śpi. Jest strasznym śpiochem i spogląda na mnie z dezaprobatą, gdy wstaję wcześniej niż o 10.00. Do tej godziny jest nieprzytomny — zmienia boczki, mlaska przez sen i również przez sen... puszcza bąki! Później idzie z Tatą i Fuksiem na spacer. Moja pierwsza zmiana szybko mu więc mija. Gorzej, gdy pracuję po południu.

Wówczas, pomiędzy drzemkami, Igor siada obok mnie i patrzy z miną pt. „Dlaczego się nie bawimy? Może coś przekąsimy? Może coś przyniosę, podam, hm? Nie trać czasu na głupoty!”. Kiedy nie odpowiadam na jego zaczepki, idzie do Mamy i towarzyszy jej w: jedzeniu obiadu,

jedzeniu kolacji i jedzeniu czegokolwiek. To jego ulubione zajęcie, bo a nuż coś spadnie na podłogę? Razem też się wygłupiają, gonią i robią masę hałasu. Igor jest bardzo zawiedziony, gdy Mama nie ma dla niego czasu. Poza tym, gdy pracuję, Królewicz szuka rzeczy, które mógłby mi przynieść. I tak wielokrotnie zostałam obdarowana butem, kapciem Mamy, pilotem z pokoju Rodziców. Kiedy Mama wrzuca ubrania

4) Kliker - urządzenie służące do szkolenia psa.

5) Wówczas pracowałam w domu.

do pralki, Igor nagminnie je kradnie i potem znosi mi różne części garderoby, głównie bieliznę. Ostatnio znalazł różowy kocyk i biegał z nim po mieszkaniu.

Gdy kończę, Igor wie, że oto wyczekana pora na kolację, ćwiczenia i zabawę jego ulubioną piłeczką.

Wiele lat marzyłam o tym, by zostać nauczycielką. Marzenie to spełniłam tylko częściowo, bo uczyłam to tu, to tam jakiegoś kolegę kuzynki czy innego znajomego. Świetne to były czasy, dobrze je wspominam - spotkania z młodymi, sprawdzanie wypracowań, testy, omawianie lektur i wiele śmiechu. Dzisiaj cieszę się jednak, że nie jestem wykładowcą ani pedagogiem. To nie dla mnie.

Pracę podjęłam już na trzecim roku studiów. Niektórzy mi to odradzali — tłumaczyli, że się uczę, a do tego, jak by nie patrzeć -jestem chora i niepotrzebnie się obciążam. A ja wyszłam z założeń, że skoro moi rówieśnicy dorabiają, to czemu ja nie mam pracować? Znalazłam zatrudnienie w formie telepracy, szukałam przez Internet przetargów. Nudziłam się jak mops i specjalnie tam się nie spełniłam, więc ta przygoda szybko się zakończyła.

Później przez prawie dwa i pół roku moderowałam jeden z największych ogólnopolskich portali internetowych i pilnowałam, by nam naród nie obrażał prezydenta. I premiera. I innych panów z Wiejskiej. Zajmowałam się głównie polityką, którą zresztą bardzo lubię. Do dzisiaj mi zostało, że na koniec dnia muszę obejrzeć jakiś program informacyjny.

Na początku wydawało się, że ta praca to spełnienie marzeń, jednak z czasem okazało się, że nie ma tam możliwości awansu, a chciałam się rozwijać. Ogólnie rzecz biorąc, moderowanie nie jest zajęciem miłym, łatwym i przyjemnym. Przez siedem godzin trzeba cały czas czytać, a to, co pojawia się na forach,

dalekie jest od bajki. Do dzisiaj więc wychwytyuję natychmiast przekleństwa w tekście (pisane normalnie i wspaniale) czy też próby przemycania brzydkich słów (w tym internauci są mistrzami), znam wszystkie teorie spiskowe, a także wiele określeń na różne narodowości.

Pewnego dnia poczułam, że MUSZĘ poszukać czegoś innego. I znalazłam! Zostałam copywriterem i redagowałam teksty na strony internetowe.

Za każdym razem pracowałam w domu, nad czym ubolewałam, bo lubię ruch i zamieszanie.

Miało to jednak swoje plusy — mogłam pracować w piżamie, na leżąco i w ogóle na luzie.

Mama śmiała się, że wysłała kiedyś mojemu szefowi zdjęcie, jak pani Kulus wygląda w pracy, a pani Kulus wyglądała naprawdę różnie.

Obecnie pracuję w Urzędzie Miasta Tychy. Zajmuję się promocją i e-mediami. Wiele osób pyta, jak to możliwe. Przecież ledwo ruszam jedną ręką, jestem 13 przykuta do wózka... Czy ktoś taki może być urzędnikiem?

Może!

Przede wszystkim w Tychach mamy niskopodłogowe autobusy. Trochę nerwów kosztowało mnie nauczenie kierowców, że mają obowiązek otwierania platformy, gdy na przystanku stoi osoba niepełnosprawna. Pisałam skargi, wyklócałam się, usłyszałam kilka przykrych słów na swój temat, ale dzisiaj, jeśli tylko jestem w dobrej formie, mogę samodzielnie poruszać się komunikacją miejską. Wiele miesięcy upłynęło, zanim kierowcy przestali krzywo patrzeć na Igora i zrozumieli, że pies asystujący nie musi mieć kagańca.

Oczywiście nie wszyscy byli oporni, niektórzy z nich to fantastyczni, empa-tyczni, niezwykle pomocni ludzie. Ale gburki też się zdarzały. Nauczyłam się, że z takimi nie ma sensu dyskutować - od razu wysyłałam skargę. Wielokrotnie ci panowie nie odezwali się do mnie już słowem, ale platformę otwierali, a to mi w zupełności wystarcza.

Poza tym pracuję ze świetnymi ludźmi. Gdy zostałam zatrudniona, moja Szefowa powiedziała mi, że już była u Pana Marka, ochroniarza, i on codziennie, gdy tylko pojawię się w budynku, będzie mi pomagał dostać się windą do biura. Kiedy zjawiłam się w kadrach, Pani Kadrowa poinformowała mnie, żebym się nie martwiła, bo ona już rozmawiała z Panem Markiem (he, he, he) i on będzie mi pomagał pokonać drogę do biura. A na koniec, podczas szkolenia BHP, to samo powiedziała mi Pani, która je prowadziła!

Pan Marek został więc dokładnie poinstruowany o moim przybyciu na pokład i faktycznie zawsze mogę na niego liczyć. Mogę polegać także na moich koleżankach, które rozbierają mnie z kurtki, zakładają słuchawki, bym spokojnie i bez wysiłku mogła dzwonić, parzą mi herbatki. Na klawiaturze piszę sprawnie, więc niczego więcej do pracy mi nie potrzeba — po prostu działam.

Jednak pół roku dojazdów dało mi tak w kość, że szukałam jakiegoś optymalnego wyjścia z sytuacji. Przyznam, że wystraszyłam się, co będzie zimą — pracowałam od lutego, gdy powoli najgorsze mrozy mijały. Zadawałam sobie pytanie, jak dam radę dojeżdżać, kiedy spadnie mnóstwo śniegu.

I wtedy wyciągnął do mnie rękę mój Przełożony, któremu jestem bardzo wdzięczna. Dzisiaj korzystam z możliwości, jakie daje telepraca, a do urzędu przyjeżdżam, gdy mamy zebrania zespołowe, spotkania albo kiedy po prostu jestem potrzebna. Takie rozwiązanie jest idealne, bo nie zostałam uziemiona w domu, mam kontakt z ludźmi, w pełni biorę udział w pracach naszego wydziału, ale mogę wypełniać swoje obowiązki w miejscu zamieszkania.

Spełniło się więc moje kolejne marzenie — dynamiczna, kreatywna praca w doskonałym zespole. Igor jeździ do biura oczywiście ze mną i... głównie śpi oraz obwąchuje aktówki, w których ukryte są drugie śniadanka. Zdarza mu się wyrzucić śmieci, poprawić mnie, otworzyć drzwi, podnieść coś, jak spadnie. Leżakuje w takim miejscu, by mieć pełny ogłąd sytuacji i niczego nie przegapić, a dzieje się wiele!

Środa, 12 września 2007

#### PRAWIE SPAKOWANI

Jutro razem z Anią, Kubą i Gabrysiem zawozimy Igora do Brzeźnicy - w Fundacji Igor spędzi tydzień, trochę będzie się uczył, a trochę relaksował i bawił z innymi psami. Ma już spakowaną siateczkę, a w niej piłeczkę, misie, szminkę do podnoszenia, szczotkę oraz dwie kości do czyszczenia ząbków. Taki jego dobytek.

Natomiast ja mam spakowaną walizę. Rozstaję się z Królewiczem, by ruszyć w Podróż Mojego Życia.

v

To tylko tydzień, ale będę tęsknić. Myślę, że on też.

Wyjeżdżałam po raz pierwszy poza granice Polski. W naszym pięknym kraju zwiedziłam wiele — wielokrotnie byłam w górach, nad morzem, raz na Mazurach. Na swojej drodze spotkałam nawet ochotników do noszenia mnie po mniejszych wzniesieniach i tym sposobem wspierałam się m.in. na Klimczok. Miłe to było niezmiernie, bo zazwyczaj taskali mnie sympatyczni i silni mężczyźni. Tym razem jednak miałam pragnienie wybycia w świat. Samolotem, którego panicznie się bałam.

Marzyłam o wielkiej wyprawie do Francji.

Tata uważał ten pomysł za co najmniej dziwny. W mieszkaniu konieczny był remont, nowy samochód bardzo by się przydał, a ja planowałam wydać oszczędności na fanaberie. Byłam już wtedy na takim etapie, że nie chciałam na nic czekać. Postanowiłam jak najwięcej przeżyć, zobaczyć, pochłonąć. Jeden z moich kolegów mawiał, że jestem zachłanniakiem, i ja się z tym

zupełnie zgadzam. Jestem zachłanna na życie, na wrażenia, na jutro. Chciałam polecieć samolotem, chciałam obejrzeć Paryż, pomieszkać w nim i dopiełam swego. Razem z Mamą ubierałyśmy pieniądze, osobiście zajęłam się zakwaterowaniem i przelotem. Kompletnie szaleństwo - jechaliśmy bez grupy i bez prze-21 wodnika. Żadne z nas nie znało francuskiego. Angielski - właściwie tylko ja, ale nigdy go nie używałam. Polka, którą poznaliśmy w samolocie do Paryża, zapytała:

— A macie transport do hotelu?

Kiedy usłyszała, że nie (mieliśmy się rozeznac dopiero na lotnisku), popatrzyła na nas jak na wariatów i dała nam do siebie numer telefonu, tak na wszelki wypadek. Widać było, że uważa nas za, delikatnie mówiąc, nieodpowiedzialnych. A my świetnie daliśmy sobie radę, śmigaliśmy po Paryżu autobusami, a Mama w torebce nosiła napisaną po angielsku karteczkę z informacją, co mi jest, gdyby jednak coś mnie trafiło. Nic się jednak nie stało. Mieszkaliśmy w cichej dzielnicy, jedliśmy w fantastycznych, tanich knajpach, co wieczór pochłanialiśmy melony i piliśmy wino. Było pięknie, dużo zwiedziliśmy, uległam czarowi Luwru. Spotkaliśmy wielu przychylnych ludzi i mamy cudowne wspomnienia.

To w Paryżu kelner, którego poprosiłam o lekki widelec, chciał mi pokroić kielbaski i w ogóle nie czuł się z tego powodu zażenowany. Widocznie krojenie jedzenia słabym blondynkom wchodziło w zakres jego obowiązków.

To w paryskich środkach transportu odbywałam przemiłe pogawędki ze spotkanymi przypadkowo osobami i przeżyłam niezapomnianą podróż z radosnym i bezpośrednim, czarnoskórym kierowcą, który nieustannie gadał i dzwonił dzwonkiem.

I tylko na dworcu Gare de Lyon zgarnęła nas ochrona, bo przypadkowo staranowaliśmy bramkę. Ten dworzec jest ogromny, ma mnóstwo wyjść i wejść, zanim się zorientowaliśmy, że bramka się otworzyła, to ona już się zaczynała zamykać, więc na nią natarliśmy i natychmiast zostaliśmy namierzeni przez odpowiednie służby. Wyrośli w sekundzie spod ziemi i grzecznie nas odprowadzili na właściwy peron...

22

23

Poniedziałek, 24 września 2007

### FRANCUSKIE PIESKI

Na ulicach Paryża nie dostrzegłam ani jednego psa asystującego. Jednak byłam zdumiona, gdy na psa natknęłam się w jednej z aptek. Był to mały, zabawny piesek, podobny nieco do buldoga. Nazywał się Hektor, miał swoją piłeczkę, którą bawił się z klientami. Wszyscy w okolicy go znali i nikogo nie dziwiło, że Hektor przebywa w aptece. Innego psa widziałam śpiącego na wystawie biura nieruchomości. Psy towarzyszą też żebrakom.

I chociaż czytałam, że w Paryżu jest sporo piesków, spotkałam ich mało. A te, które widziałam, nie wyglądały na specjalnie wybredne... Ot, takie zwyczajne, chociaż francuskie, pieski.

Czwartek, 27 września 2007

### SMUTNY POWRÓT

Wróciłam do domu sama. Niestety, Igor musiał zostać w Brzeźnicy, bo u nas za bardzo przytył. Jest odchudzany. Razem będziemy dopiero za miesiąc - najprawdopodobniej.

Smutno mi bez niego i pusto. Bardzo przeżywam to rozstanie. Czekam na mojego Blondyna i tęsknię.

Czwartek, 27 września 2007

### BLONDYNA BEZ BLONDYNA

Nadal jestem bez Królewicza.

Królewicz chudnie i bawi się z Tymkiem - małym goldenem z Fundacji. Mam nadzieję, że da mojemu podopiecznemu wycisk, a to wpłynie na spalanie zbędnego tłuszczu. A potem niech jak najszybciej wróci!

Bo ja tęsknię. Teraz już jest lepiej, ale pierwsze dni były straszne. Wszyscy wypytują o Igora i mówią, że pusto się bez niego u mnie zrobiło. Tymczasem ja nadrabiam zaległości, które nazbierały się przez wakacje, bo terminy gonią. I staram się nie roztkliwiać.

Wtorek, 2 października 2007

19 PAŹDZIERNIKA!!!

W piątek otrzymałam oficjalne zaproszenie na uroczystość przekazania psów6 — jestem jedną z trzech osób, które dostaną psa od Alteri. Jest to równoznaczne z tym, że najpóźniej 19 października spotkam się z Igorem i (najprawdopodobniej) zabiorę go do domu. To tylko 17 dni!!!

U Igora bez zmian - chudnie .).

Natomiast mnie czekają samotne godziny na uczelnianym korytarzu, bo transport mam trzy godziny przed zajęciami. Liczę, że w przyszłości będziemy tam biwakować z Królewiczem, o ile Pan Dziekan wyrazi zgodę na obecność Igora na wydziale. Już złożyłam w tej sprawie podanie. Odliczam dni i tęsknię nadal.

O studiowanie musiałam nieco powalczyć. Marzyłam o tej wyjątkowej atmosferze, o ćwiczeniach, sesjach, egzaminach. Chciałam stać się w końcu anonimową jednostką, jedną z tłumu, by zweryfikować, co naprawdę umiem. W podstawówce i liceum byłam rozpoznawana i do końca nie wiedziałam, na ile wyniki w nauce są moją zasługą, a na ile po prostu lubią mnie nauczyciele. Zawsze chciałam być traktowana jak inni, zdrowi uczniowie i zazwyczaj tak było, bo miałam naprawdę mądrych nauczycieli, ale to studia miały być wielkim sprawdzianem, co potrafię.

6) Oficjalnie psy Alteri były przekazywane podczas specjalnie organizowanych z tej okazji uroczystości — nawet jeśli wcześniej mieszkały już z nowymi właścicielami.

Tata oświadczył, że on tego nie widzi. Tak powiedział: „Magda, nie widzę tego”.

Wiele już dla mnie zrobił, biegał do mnie do podstawówki, jeździł ze mną do liceum, miał prawo mieć dość.

Sprawa była trudna — przede wszystkim chodziło o to, kto mnie będzie woził na uczelnię. Tata — pomijając jego sceptycyzm — pracował na drugą zmianę, a przecież nikt mi nie mógł zagwarantować, że zajęcia będą do 15.00. Ale ja się uparłam. Nie miałam wówczas pojęcia o tym, że jest coś takiego jak indywidualny tok studiów. Zresztą fatalnie mi się to kojarzyło — całe życie mnie tym straszono. Indywidualny tok równał się dla mnie uczeniu się w domu, samotności, temu, że będę poza nawiasem i poza grupą. Dlatego pierwszy semestr (a może dwa?) studiowałam normalnie. Udało się to dzięki moim przyjaciołom z liceum, którzy dzielnie odwozili mnie do domu. Była to era wysokopodłogowych autobusów, braliśmy więc moje auto. Koledzy studiowali na innych uczelniach niż ja, ale to im nie przeszkadzało - dzisiaj dopiero widzę, jakie kombinacje wykonywaliśmy, by wszystko zgrać. I dziękuję chłopakom, że im się chciało!

Cały czas towarzyszyła mi Monika, przyjaciółka z liceum. To dzięki niej w ogóle odważyłam się iść na studia. Potem podjęłam decyzję o indywidualnej organizacji studiów, chodziłam na zajęcia z różnymi grupami, poznałam masę ludzi, usamodzielniałam się. Miałam dobrych znajomych - Anię Cz., Mrówkę i Marcina - i to z nimi układałam plan, by na każdym zajęciu mieć jakąś dobrą duszę przy sobie, by miał mnie kto przewieźć na kolejny wykład. Każdy semestr zaczynałam z kilkoma planami na biurku, niczym strateg. Wszystkie wiązały się z pytaniem: „Czy i tym razem się uda?”.

Udało się. Jestem panią magister filologii polskiej.

Studia nie były dla mnie —jak dla wielu! — czasem imprez. Były czasem walki. Walczyłam ze sobą - wówczas dysponowałam tylko normalnym, a nie elektrycznym wózkiem, przechodziłam więc z rąk do rąk - nie miałam siły, by przemieszczać się sama, ktoś musiał mnie pchać. Kolejny raz uczyłam się prosić i to prosić w taki sposób, by nikt nie odczuł tego jako ciężaru. Zawsze starałam się odwdziaczyć, by wszystko odbywało się w



ramach koleżeńskiej pomocy, a nie litości. Myślę, że mi się to udało. Walczyłam z książkami, notatkami. Często podczas sesji dosłownie zasypiałam pod nimi. Chciałam wykorzystać swoją szansę.

Dopiero pod koniec zabrakło mi zapału. Ale moja promotorka — Pani Profesor Heska-Kwaśniewicz - nie pozwoliła, by stan ten trwał długo. Dzięki niej z dnia na dzień podjęłam decyzję o rozpoczęciu studiów doktoranckich.

Środa, 10 października 2007

#### URODZINY IGORA

Dzisiaj są urodziny Igora. Niestety, świętujemy je osobno. Ale za rok- będzie się działo! Solenizantowi życzę, by chudł szybko i już nie tył, a przy tym był ze mną bardzo szczęśliwy! Z dobrych wiadomości — Pan Dziekan wyraził zgodę na obecność Igora na wykładach. W poniedziałki będziemy więc wspólnie czekać na Mrówkę, a później razem uczestniczyć w zajęciach. Mam nadzieję, że Igor okaże się grzeczny i ludzie przyjmą go z sympatią. Z decyzji Dziekana bardzo ucieszyła się wspomniana Mrówka, co wyraziła gorącym okrzykiem w obecności Pani z Dziekanatu. Pani się nieco zdziwiła - widocznie rzadko spotyka tak żywiołowych doktorantów :).

Sobota, 20 października 2007

#### WCZORAJSI

Jesteśmy nieco wczorajsi.

Igor, ponieważ przeżył wczoraj sporo emocji. Wyjazd z Brzeźnicy do Krakowa, miasto, mnóstwo ludzi, później pub, gdzie również były tłumy, mój przyjazd i występ na scenie. Prezentowaliśmy się razem z innymi osobami, którym podczas uroczystości przekazywano psy. Były przemówienia, podziękowania, gratulacje. Na koniec mojego ulubieńca czekała podróż do Tychów i spotkanie z jego dawnymi znajomymi — moimi Rodzicami, Fuksiem i Latkiem. Natomiast ja jestem średnio przytomna, gdyż w drodze powrotnej z Krakowa zgubiliśmy się, zwiedziliśmy jakieś Żarki i Rudawe oraz szereg innych miejscowości. W pewnym momencie naprawdę zrobiło się śmiesznie, bo nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy ani dokąd zmierzamy. Drogi puste, ciemno. Żeby było ciekawiej, zaczął padać śnieg (a JAK padał śnieg w Małopolsce, to pokazywały dzisiaj wszystkie dzienniki). Na koniec, mniej więcej o 3.00, zatrzymała nas policja. Panowie policjanci dokładnie wypyтали nas, skąd i dokąd jedziemy. Wyglądaliśmy chyba nieco egzotycznie, ponieważ jechał z nami nie tylko Igor, ale też mój dziesięcioletni cioteczny bratanek Tobiasz. Trudy podróży dały mu się we znaki i chrapał sobie w najlepsze. Zapewne nieczęsto panowie z drogówki zatrzymują w środku nocy taką ekipę - dwóch facetów, dziewczynę, dziecko i psa! W domu byłam o 4.30. Ale wycieczkę uważam za udaną, humory nam dopisywały i dziękuję chłopakom, że mi towarzyszyli. Jestem pełna podziwu dla Kuby - sądziłam, że jest dobrym kierowcą, a on jest po prostu genialny!

Wracając do Igora i uroczystości przekazania, było bardzo sympatycznie. Igor nieco roztrzęsiony, wstawał za każdym razem, gdy ludzie bili brawo :D (co za narcyz) i w ogóle trudno było mu zapanować nad emocjami, ale jest to uzasadnione jego wyjątkową sytuacją. Ciągłe się przeprowadza, zmienia

miejsca pobytu, nie jest to pewnie dla niego łatwe. Nie wspominając o tym, że nadal jest na diecie, a to nikomu nie poprawia humoru (a przynajmniej mnie nigdy nie poprawiało).

Kiedy dojechaliśmy do domu i rzuciłam się do łóżka, Blondyn położył się koło mnie i tak przespaliśmy całą noc (a raczej ranek). Królewicz chyba tęsknił, bo dzisiaj nie spuszczał ze mnie oka. Poćwiczyliśmy trochę i największą radość sprawiło mu poprawianie mi nogi. Ale nie zamierzam go, niech sobie odpocznie i na nowo się przyzwyczai.

Czwartek, 25 października 2007

#### JESIENNE SPACERKI

Nie mam w zwyczaju chodzić na spacer o tej porze roku. Nie lubię zakładać tych wszystkich szalików, kurtek, kozaków, a poza tym jesienią nie mogę jeździć po dworze na wózku

elektrycznym - szybko marzną mi ręce i nie mam jak sterować. Jednak teraz - ze względu na Igora - wychodzę codziennie. W niedzielę byliśmy na wyborach, a później chodziliśmy wokół osiedla razem z moim kuzynem. W poniedziałek tylko chwilkę ćwiczyliśmy chodzenie przy wózku przed blokiem, a wczoraj odwiedziliśmy Panią Weterynarz. Padało, a my na piechotę. Jednak najfajniejszy spacer zaliczyliśmy dzisiaj z Krzyskiem. Wybraliśmy się do parku i nad jezioro. Znaleźliśmy świetne miejsce do ćwiczeń z Igorem. Krzysiek bawił się z nim patykiem - Królewicz szalał, aportował (tu gratulacje dla Krzyska, bo nikt inny Igora do aportowania nie zmusił) i był w siódmym

7) Krzysiek długi czas był moim wolontariuszem, zabierał nas na spacer i trenował z Igorem. niebie. Siłowali się, kręcili, biegali. Sporą część drogi powrotnej Igor siedł bez smyczy przy wózku.

Po powrocie Igor był wykończony. Kiedy spadł mi telefon, musiałam najechać na jego piszczącą gumową kość, by się obudził i mi go łaskawie podniósł).

Nigdy nie byłam specjalną domatorką, ale okres zimowy raczej spędzałam w domu - ze znajomymi, rodziną i... książkami. Jeździłam do szkoły, do kościoła, ale poza tym bez potrzeby raczej nie wychodziłam. Niska temperatura sprawia, że sztywnieją mi dłonie, a warstwy odzieży ograniczają mi ruch. Przeczekiwałam więc. Igor zmobilizował mnie do aktywności, bo wiem, że on musi się wybiegać. Musi bez względu na pogodę. I tak oto spacerujemy 29 niezależnie od pory roku.

Środa, 31 października 2007

STUDENT IGOR

Tyle emocji za nami, a ja nie miałam czasu ich opisać. Niestety, Tatę „połamało” (korzonki) i nasze życie skupiło się wokół niego, stąd przerwa w pisaniu.

Tuż przed pechowym pochyleniem się Taty, od którego zaczęły się problemy, byliśmy z Igorem na uczelni. Nie da się opisać, jak upychaliśmy się w samochodzie - spróbujcie sobie to wyobrazić. Igor jechał przy moich nogach, ale było mu niewygodnie i w końcu usadowił się tak, że służył mi za pasy bezpieczeństwa — tylne nogi miał na ziemi, przednie oparte o mnie, a pysk na moim ramieniu. Cieplusio mi było bardzo. Pierwszy raz w życiu siedziałam w samochodzie stabilnie i Tata nie musiał mnie podparć na zakrętach. Wyglądaliśmy zapewne osobliwie, bo kto jeździ w taki sposób z psem? Na szczęście w drodze powrotnej Igor zrezygnował z tej pozycji i usiadł grzecznie przy nogach. Nie było to dla niego łatwe, bo miał tam mało miejsca, ale zachowywał się dzielnie.

Na uczelni bardzo mu się podobało - głównie dlatego, że spotkał tam tłumy kobiet, które się nim zachwyciły. Chodził bez smyczy, był posłuszny i nawet nie ściągnęło go do stołówki, chociaż zapachy dochodziły stamtąd kuszące. Pani Promotor, wielbicielka psów, przyjęła nas ciepło, za co jestem jej bardzo wdzięczna. W czasie zajęć Igor głównie spał, czasami sobie posapując. Między zajęciami wyszedł na korytarz (widocznie myślał, że już idziemy do domu), ale został zawrócony. Później, gdy drzwi się otwierały, skupiałam jego uwagę na sobie i obyło się bez kłopotów. Ogólnie byłam z niego bardzo dumna, a studentom podobało się, że mają takiego „kolegę”. Myślę, że teraz już zawsze będziemy jeździć razem. W poniedziałek, o ile Tata wyzdrowieje — wielka próba. Będziemy czekać na zajęcia około dwóch godzin. SAMI.

Tata zajmuje się mną od zawsze. W pewnym momencie kręgosłup odmówił Mamie posłuszeństwa i to Tata stał się głównym fachowcem od opieki nad mną. Rozumiemy się z Ojcem w pół słowa, jeśli chodzi o poprawianie mnie, przesadzanie, układanie. Tata długo był stalowym człowiekiem. Oprócz korzonków nie miał problemów ze zdrowiem — aż do zawału, który przeszedł w 2009 roku. Ruchowe niedyspozycje Taty były dla nas trudnymi chwilami i dawały przedsmak tego, co nas czeka, gdy kiedyś nie będzie mógł się mną opiekować.

Nigdy w takich chwilach nie zostałam sama. Koledzy na zmianę przychodzili mnie kłaść i podnosić z łóżka, koleżanki pomagały mnie wsadzić do wanny

czy umyć głowę. Mama się śmiała, że kiedy szła spać, to jeszcze jakiś chłop jej chodził po domu, a jak wstawała, to zjawiał się już następny, by mnie wyciągnąć z łóżka. Długo uciekaliśmy przed podnośnikami - mieliśmy na nie za małe mieszkanie, a Tata w ogóle nie brał pod uwagę wyczerpania swych sił. Poza tym nie pasowały one do naszej koncepcji, że musi być normalnie.

Musi być normalnie — to nasz sposób na chorobę. Nie ma taryfy ulgowej. Lekcje -jak wszyscy, klasówki — tak samo. Wstajemy i walczymy, bo przecież jest o co. Zima nie zima, mróz, upały — wypełniamy swoje obowiązki.

Nigdy nie usłyszałam ze strony Rodziców, że nie mogę tego czy tamtego, bo NIE DAM RADY. Bo jestem chora. Nie zakazywali mi niczego, nie kazali się oszczędzać. Pozwolili mi pisać po kilka lub kilkanaście listów tygodniowo do moich korespondencyjnych przyjaciółek, które poznałam dzięki ogłoszeniu w gazecie. Jeździli ze mną na wycieczki szkolne, stroili mnie na dyskoteki i bale. Denerwowałam się, że innym dzieciom rodzice pomagają w lekcjach, a ja ze wszystkim muszę sobie radzić sama. Ale dzisiaj wiem, że wybrali doskonałą metodę wychowawczą i nauczyli mnie samodzielności oraz odpowiedzialności. Dzięki takiej postawie dali mi siłę do walki ze światem.

Sobota, 3 listopada 2007

### POLOWANIE NA KACZKI

Igor uwielbia drób. Szczególnie żywy i wydający dźwięki. Ta miłość udzieliła mu się od Fuksia, który podczas jednego z pobytów na wsi nauczył go, że gonienie kur i kaczek to świetna zabawa.

Igor, gdy spotyka jakieś ptactwo, zatrzymuje się i gapi. Wiem, że w wyobraźni goni za tymi ptakami, aż się kurzy. Jednak zazwyczaj nie realizuje tych marzeń.

Dzisiaj podczas spaceru nad jeziorem obserwował dzikie kaczki. Szedł sobie brzegiem i spoglądał na nie tęsknie. Wystarczyła chwila i Igor już do nich płynął, ku mojemu przerażeniu.

Kaczki w popłochu odpływały, a mój pies, w kubraczku z dumnie brzmiącym napisem „pies asystujący”, wiosłował do nich, ile sił w łapach. I nie wyglądał na szkolonego.

Na szczęście przybiegł do nas, gdy go zawołaliśmy, ale widać było, że niechętnie opuszczał swoje przyjaciółki. Truchtem biegliśmy do domu, by Igor się nie rozchorował.

Piątek, 9 listopada 2007

### JAK ŚWINKA MORSKA

Byliśmy sami na uczelni!

To znaczy, czekaliśmy na Mrówkę na korytarzu. Wkoło sporo ludzi, zapachów, odgłosów, a Igor bez smyczy. Dopóki ktoś nie przechodził, wszystko grało -leżał sobie przy wózku albo siedział. Jednak mniej więcej co trzeci człowiek był przez niego witany. Jego oczy mówiły: „Kochana, tacy sympatyczni, no, spójrz sama!”. Mimo to nie odchodził zbyt daleko, reagował na przywołanie. Kiedy otworzyły się najbliższe drzwi, chciał wejść do sali, ale szybko zorientował się, że nigdzie się nie wybieram.

Nie wytrzymał psychicznie, gdy jakaś kobieta zaczęła rozwijać nieopodal kanapki (!!!) — szybko pokazałam mu, że mamy swój prowiant i naprawdę nie ma sensu jej nic kraść.

Kiedy przyjechała Mrówka, pozwiedzaliśmy wydział- poszliśmy po picie. Igor już wie, do czego służy winda, i pierwszy się do niej pcha. Po wejściu do sali wykładowej - obwąchał ją.

Nic na to poradzić nie mogłam, w końcu on jest PSEM! Później położył się między nami (biedna Mrówka wylądowała na brzegu stolika) i przespał cały wykład. Obudził się, gdy zbieraliśmy się do wyjścia. Zaskoczył tym Panią Profesor.

- To on tu cały czas był? - zapytała zdziwiona.

Ogólnie Igor jako student spisał się nieźle.

Gorzej było w autobusie, w którym Igor wpadł w mały trans. Autobus jest tym środkiem transportu, który (z niejasnych dla mnie przyczyn) powoduje u Królewicza kompletne osłupienie. Może za dużo emocji? Nie mam pojęcia.

Z ciekawostek — Mrówka stwierdziła, że Igor jest jak świnka morska, tylko nieco większy :D.  
Ja tam podobieństwa nie widzę.

Czwartek, 15 listopada 2007

NA WSI

Nie mam w ogóle czasu, notki są więc z opóźnieniem.

W ostatni weekend byliśmy na wsi.

W sobotę, gdy ja wypoczywałam i nabierałam sił, czyli spałam do 14.00, Igor korzystał z fantastycznej pogody i bawił się z naszymi sąsiadami. Zabawki już wcześniej zostały wybebeszone (dosłownie), w grę wchodziła więc piłeczka i ciągnięcie szaliczka, który ostał się z pluszowego misia. Podobno bawili się świetnie, zwłaszcza że Kamil jest psiarzem i ma niewyczerpane pokłady energii.

Później przyjechała do nas Ciocia Ula. Igor więc przeżył pierś, prezentował się w kubraczku i pokazywał, co potrafi. Wieczorem zaś miał powtórkę z rozrywki, bo wpadły do nas dzieciaki, tym razem z rodzicami. Znowu Igor szalał z Kamilem, a później wspólnie odpoczywali, leżakując na podłodze.

Natomiast następnego dnia czekała nas niespodzianka, bo spadł śnieg. Dla mnie była to wyjątkowa atrakcja, bo po raz pierwszy jeździłam elektrykiem po białym puchu. Świeżutki, sypał na całego i przyjemnie trzeszczał pod kółkami. Wniebowzięty Igor biegał, skakał, chciał się bawić z Fuksiem, ale ten jakoś nie miał ochoty, bo Blondyn w nastroju zabawowym go przeraża. Warknął tylko i uciekł. My natomiast korzystaliśmy z bajkowej aury. W pewnym momencie Igor odkopał piłeczkę i był bardzo zawiedziony, że wsiadamy do auta, zamiast bawić się w aportowanie.

Niestety, wszystko, co piękne, szybko się kończy. Zostały nam zdjęcia i nadzieja, że już niedługo znowu pojedziemy na Ruinkę.

Na Ruinkę uparła się Mama. Chciała mieć swoje miejsce na ziemi. Ja — wielka miłośniczka wsi — również. Po raz pierwszy oglądaliśmy nasze przyszłe domostwo, gdy śniegu napadało po pachy. Ruinka wyglądała żałośnie - opuszczona, zaniedbana. Stąd jej nazwa. Pokazywała ją nam matka właściciela, bardzo rozmowna i żywiołowa kobieta. Gdy zaczęła tańczyć, by ubarwić swą opowieść, byłam pewna, że sufit spadnie nam na głowę.

Musieliśmy wszystko robić tam od podstaw-podłogi, ściany, instalacje. Mnie zostawiano u Babci, która mieszka nieopodal, a Rodzice walczyli. W jedne wakacje ciągle lało, czytałam więc i pisałam, całe dni przy stoliku, z tym samym widokiem za oknem i przyznam, że omal tam nie zapuściłam korzeni. Ale w perspektywie był Własny Dom, więc nie marudziłam.

Do dzisiaj pamiętam, jakie chwile grozy przeżyliśmy podczas zrzucania dachu. Pod Tatą złamała się stara belka i zjechała na dół. Wszyscy zamarli, ale na szczęście zatrzymał się na innej. Potem mieliśmy z tego dużo śmiechu, bo co nieco go poboлеowało...

Mama zaś pewnego dnia została zmuszona do składania rurek hydraulicznych. Tata sam robił całą instalację - rurki, kurki, zaworki. Tego dnia spieszyło nam się, bo właściwie już mieliśmy wracać do Tychów, więc Tata - z braku innych pomocników — poprosił Mamę. Zimno panoszyło się po chałupie, ściany roz-orane, ja naubierana niczym pastuch (łącznie z czapką) i biedna Mama, która nigdy rurek hydraulicznych nie montowała. Zła była strasznie, bo jej nie wychodziło, ale wiadomo — wszystko się da; jeśli się chce.

Stopniowo nasza Ruinka nabierała kształtów. Za własne, uzbierane pieniądze kupiłam bojler i farby do malowania ścian. Ale byłam dumna! Wujek Wiesiek skombinował nam malarza, tylko ten biedny malarz-jak się później okazało

- nie był świadom, że ma aż TYLE pomalować. Chciał to zrobić jak najszybciej i spał w nieogrzewanej i nieumeblowanej Ruince podczas naszej nieobecności. Przeklinał, na czym świat stoi, dziwił się, co za idioci chcą mieć sufit w takim kolorze jak ściany (zielony!), a wszystkimi przemyśleniami dzielił się z naszymi sąsiadami, którzy systematycznie je nam przekazywali. Bo z sąsiadami polubiliśmy się od początku.

Natomiast kolor mojego pokoju rzeczywiście nieco nam się nie udał - bił po oczach i nie wyszedł zielony, a jaskrawozielony, niczym kamizelka odbłaskowa drogowców. Weszłam do pomieszczenia i oniemiałam. Moja Babcia zdołała tylko powiedzieć:

— Nie martw się, Madziu, zblednie, na pewno zblednie...

Dużo samozaparcia kosztowało nas doprowadzenie Ruinki do stanu używalności. Meble mieliśmy „z odzysku” - od kogoś stół, od kogoś kanapę. W kuchni króluje niebieska, malowana w esy-floresy, egzotyczna, porcelanowa krowa i pięknie odnowiony przez Rodziców kredens, którego chciała pozbyć się jedna z gospodyń. Jesteśmy dumni z naszej chałupki, a wyprawy do niej to coś, na co zawsze czekamy z utęsknieniem.

Sobota, 17 listopada 2007

### POLUBIĆ ZIMĘ

Zasypało nas.

Gdy tylko mogę (to znaczy mam czas i jest ktoś chętny, by się przejść), biorę Igora na spacer. Wczoraj byliśmy z Tatą na zakupach i wieczorem z Krzyśkiem na przedszkolnym placu zabaw. Zakupy polegały na tym, że chodziliśmy po osiedlowych sklepach. Igor biegał bez smyczy i tylko raz go „zniosło” w inną stronę niż nas. Nie wchodziłam do sklepów, czekaliśmy na zewnątrz. Ajki ładnie siedział przy wózku, chociaż śnieżyło i po chwili wyglądaliśmy jak dwa bałwanki. Oczywiście wszyscy zachwycali się, jakiego mam przyjaciela :). Igor wprawdzie nie wytrzymał i powitał radośnie moją koleżankę, gdy do nas podeszła, ale ogólnie był grzeczny i baaardzo zadowolony.

Wieczorem zaś Igor szalał z Krzyśkiem — ostatnio ćwiczą zostawanie na miejscu i bawią się w przeciąganie sznurka. Na koniec zawsze biegają. Gdy patrzyłam na Blondyna, od razu było mi ciepło. Śmiga jak strzała, uszy mu falują - chodząca (biegająca!) radość. Trzeba przyznać, że świetnie się dogadują z Krzyśkiem i ich wspólne wypady wiele dają mojemu Królewiczowi. Po powrocie do domu Igor pada, a ja próbuję dojść do siebie, bo zazwyczaj jestem sztywna z zimna :). Ale polubiłam zimę — dotychczas ją przeczekiwałam, wynurzając się z domu tylko wtedy, gdy musiałam.

Zima to był mój wróg numer jeden. Powoli, powoli ją oswajałam, a raczej ona mnie. Obecnie o tej porze roku jeżdżę nawet elektrycznym wózkiem (zwanym elektrykiem), co przed przybyciem Igora było nie do pomyślenia. Śnieg sprawia mi wielką frajdę.

Z szaleństwami na śniegu pożegnałam się wiele lat temu, gdy wyrosłam z sanek. Kiedy byłam mała, Rodzice ubierali mnie w kombinezoniki i inne ciepłe łaszki, a następnie - ruszaliśmy na podbój gór. Uwielbiałam to! Dzieciaki, gwar, pęd, emocje i masa śniegu. Na szczęście byłam zahartowana, nie trzymano mnie pod kloszem, w największy mróz jeździłam na tych sankach z lampionem na roraty. Rodzice organizowali te eskapady z głową - ubrana byłam ciepło, sanki miałam z oparciem. Przeżycia zaś - niezapomniane.

Wydaje mi się, że to między innymi tym saneczkowym wyprawom oraz wizytom na basenie (chodziłam na niego cały rok, także zimą) zawdzięczam tak silny organizm, który na przekór statystykom walczy z chorobą.

Niedziela, 18 listopada 2007

### CUKIEREK

Dzisiaj spadł mi cukierek.

Malinowa galaretka w czekoladzie. Owinięta w papiererek.

Pachnąca i kusząca. Mniam. Palce lizać.

Kazałam Igorowi ją podać.

I... podał! Nawet za bardzo się nie ościagał.

A zapewne dobrze wie, do czego służą cukierki :).

38

Poniedziałek, 19 listopada 2007

### WIECZNIE GŁODNI

Igor-jak wiadomo-jest wiecznie głodny. Może jeść zawsze, wszędzie i o każdej porze.

Ja ostatnio mam podobnie. Wczoraj wieczorem zjadłam cukierki, chipsy (mam nadzieję, że żaden lekarz tego nie czyta), jabłko i kromkę z serem, szynką oraz ketchupem. Położyłam się spać i stwierdziłam, że NADAL JESTEM GŁODNA.

Dzisiaj miałam się opanować, ale Mama Mrówki podesłała mi na wykład szarlotkę i sernik (Dziękuję! Było pyszne!) — oczywiście pochłonęłam je i jeszcze dostałam wałówkę do domu. Miałam już nic nie jeść, ale nadal mnie ssało, więc zjadłam kielbaskę na ciepło.

Artur, mój znajomy, pociesza mnie, że ten nieustanny głód to wynik zimy.

A ja sobie myślę, że mi się udzieliło od Igora. Chociaż podobno to psy się upodabniają do właściciela, a nie na odwrót!

Kiedy we wczesnym dzieciństwie nie chciałam samodzielnie chodzić, Mama usłyszała od lekarza, że jestem za gruba. Potem okazało się, że to nie o tuszę chodzi, a o zanik mięśni.

Zawsze byłam przy kości i — jak każda dziewczyna — miałam fazę odchudzania się. Potem mniej intensywnie, ale na różne sposoby próbowałam chudnąć. Nic z tego nie wychodziło.

We wrześniu 2006 roku trafiłam do szpitala, bo nie mogłam jeść. Po zjedzeniu czegokolwiek bardzo źle mi się oddychało. Do tego miałam problemy z sercem. Bałam się jeść. Ja, zwierzę wszystkożerne, unikałam posiłków, a jeśli już, to trwały one godzinami. Koszmar.

Z dań konkretnych i mięsnych przeszłam na papki, jogurty, serki i zupy mleczne. Mama nie mogła uwierzyć — przecież dotychczas nienawidziłam tych mlecznych przetworów! Kiedy w końcu oświadczyłam, że pragnę coś zjeść, a konkretnie rybę w pomidorach z puszki, natychmiast to kupiła, chociaż byłam na jakiejś diecie trzustkowej i żadne konserwy z wieloletnią datą ważności nie powinny wchodzić w grę. Oczywiście na jedzeniu zachcianki nakryła mnie lekarka, ale uwierzyła w ludową mądrość, że jak się czegoś człowiekowi chce, to to nie może zaszkodzić. I nie zaszkodziło.

Podczas tamtego pamiętnego pobytu w szpitalu, już pod koniec, kiedy byłam właściwie tylko pod obserwacją, Przemek - mój najlepszy z najlepszych kolegów — wykradł mnie na miasto. Od razu mówię, że nie byłam w piżamie - chodziłam tam w normalnych ubraniach. Przemek zabrał mnie na spacer

i do parku, ponieważ pogoda dopisywała. Kupił mi frytki. Dzielnie zjadłam jedną — więcej nie byłam w stanie. Bardzo mi się podobało i do dziś wspominamy tę wyprawę.

Kiedy leżałam w tym szpitalu, to myślałam, że już nigdy sobie porządnie nie pojem. Zazwyczaj gdy podupadam na zdrowiu, po głowie krążą mi czarne myśli. Wtedy widziałam siebie jako człowieka, który już zawsze będzie jadł przeźrocyste zupy i zmielone mięso. Ale powoli wszystko wróciło do normy i zaczęłam normalnie jeść, chociaż trochę to trwało!

Od tej pory mam w nosie diety. Jestem smakoszem i doceniam samą możliwość pochłaniania.

Uwielbiam pizzę i makarony, kocham gołąbki i zupy Mamy oraz ciasta Taty. Oprócz zaniku mięśni mam chory układ pokarmowy, więc moje kulinarne szaleństwa bywają ograniczane, ale i tak pozwalam sobie na wiele. Dobre jedzenie to według mnie wielki dar i należy z niego korzystać!

Co ciekawe — wiele dziewczyn chorych na SMA, z którymi mailuję, pyta, jak to robię, że nie jestem chuda jak patyk. Gdy się nie ma mięśni, to warto mieć trochę tłuszczu, by nie wyglądać zbyt szczupło i mieć na czym siedzieć. Po przodkach odziedziczyłam buzię jak księżyc w pełni, zawsze więc będę „dobrze” wyglądać. Na szczęście tego tłuszczu nie noszę zbyt wiele.

Kilka lat temu jedna z dziennikarek napisała o mnie „drobna blondynka” i dopiero wtedy zauważyłam, że nie jestem już pulpetem.

Wtorek, 20 listopada 2007

U WETERYNARZA

Co tydzień chodzimy z Igorem do Pani Weterynarz, by się zważyć. Jest to dla mnie nowe doświadczenie, bo z Fuksiem i Łatką zawsze jeździł Tata. Zazwyczaj nie czekamy zbyt długo, dzisiaj natomiast trafiliśmy na kolejkę. W małej poczekalni tłoczyło się spore towarzystwo —

kundelek, owczarek, jakiś szczeniak, kot i dwa mopsy — wszyscy oczywiście z właścicielami. Na dworze awanturował się labrador.

Panowała fantastyczna atmosfera, bo przecież swój swojego zawsze zrozumie. Bliższą znajomością zawarliśmy z Maksem i jego Panią oraz z Panem od mopsów. Max z charakteru przypominał Fuksia — ruchliwy, szczekliwy i zaczepny. Właził na Igora i namiętnie go wachał, na co Królewicz nie reagował. Ale reszta 41 towarzystwa interesowała go niezmiernie.

Ogólnie rzecz biorąc — nie ma to jak wybrać się do weterynarza. Twoim psem się zachwycają, ty się zachwycasz psami innych, wymieniasz poglądy, słuchasz anegdotek lub je opowiadasz i nikomu nie przeszkadza, że jesteś monotematyczny

Sobota, 24 listopada 2007

### CZAS IŚĆ SPAĆ

Igor wchodzi na moje łóżko, gdy ja na nim już leżę. Zazwyczaj razem zasypiamy, a później (nie wiem kiedy) Królewicz przenosi się pod moje biurko.

Wczoraj późnym wieczorem ćwiczyliśmy odróżnianie telefonu od pilota. W przerwach bawili się piłeczką. W sumie — Igor nieco się zmachał. Kiedy po raz enty poprosiłam go o telefon, Igor wziął go, a następnie wskoczył z nim na łóżko. Położył się wygodnie i wyciągając śmiesznie pysk, podał mi komórkę do ręki.

Jednym słowem, dał mi do zrozumienia, że ja sobie mogę po nocach pracować, ale on idzie spać.

Środa, 28 listopada 2007

### U CIOCI NA URODZINACH

W niedzielę byliśmy na imprezie rodzinnej z okazji urodzin Cioci Krysi. Wcześniej zjawiła się u nas część rodziniki (sztuk pięć) i Igor miał szansę zaprezentować swoje umiejętności. Poszło mu bardzo dobrze.

Do Cioci wybraliśmy się na piechotę — Igor bez smyczy. Jak zwykle skręcało go tu i ówdzie, ale za to kompletnie zignorował goldena, który czekał na niego z balkonu. W klatce stawał na półpiętrach i czekał, aż wjedziemy.

U Cioci zebrało się sporo osób, ale mój towarzyski pies nic sobie z tego nie robił. Obawiałam się, jak zareaguje na odśpiewane Sto lat! — nie wiedziałam, czy aby go to nie zdenerwuje. Z doświadczenia wiem, że psy różnie reagują na śpiewy i hałasy — Fuksiu co roku na koledzie odmawia z nami Ojciec nasz, wyjąc cienko w łazience, gdzie jest zamknięty, bo księża zazwyczaj specjalnie za nim nie przepadają.

Pieśń biesiadna nie wzruszyła Igora i -jak to on — milczał. Natomiast do głębi poruszyło go jedzenie w dużych ilościach znajdujące się na stole, na wysokości jego pyska. Nic nie zwinął, chociaż miał ku temu sporo okazji. Natomiast

urządził prawdziwy pokaz żebractwa. W pewnym momencie usłyszałam, jak mój kuzyn Grześ mu tłumaczy:

— Nie mogę ci nic dać, niestety. Musisz odnaleźć czuły punkt, czyli kogoś, kto się złamie i coś ci da. Podpowiem ci, że w tym towarzystwie czułym punktem jest Babcia. Idź do Babci, ona pewnie coś ci skubnie.

Igor jeszcze chwilę wpatrywał się w ciastko Grzesia, pogapił się na talerzyki pełne jedzenia, a w którymś momencie imprezy znalazł się rzeczywiście koło Babci Tosi. Jednak i tam się zawiódł, gdyż Babcia przypomniała mu, iż jest na diecie i w związku z tym przekąsek nie ma. Mam zdyscyplinowaną rodzinę, nic Igorowi nie dawali albo uważali, żebym tego po prostu nie widziała.

W pewnym momencie Blondyn zasnął pod stołem i nawet nie zauważył, że wyszłam do drugiego pokoju. Pierwszą wspólną imprezę rodzinną mamy zaliczoną.

Moja rodzina jest duża - Mama ma czworo rodzeństwa, a Tata siostrę. Na imprezach rodzinnych spotykamy się w coraz większym gronie — w sumie zawsze uczestniczy w nich około trzydziestu osób. Okazji do spotkań mamy bez liku, bo co chwilę ktoś ma urodziny.

Dzwonimy do siebie, często się kontaktujemy, czasami drzemy koty, ale ogólnie — trzymamy się razem.

Kiedyś myślałam, że takie więzi rodzinne to coś naturalnego. Dzisiaj wiem, że to wielki dar. Nasze rodzinne historyjki i anegdoty nadają się na osobną książkę - mam nadzieję, że uda mi się ją wkrótce napisać.

Czwartek, 29 listopada 2007

SZAFKA

Igor dotychczas otwierał szafkę i wyciągał z niej leki.

Dzisiaj - po wielu próbach i ćwiczeniach — udało mu się ją zamknąć. Teraz pracuję nad tym, by robił to na komendę, a nie z klikerem.

Jestem z niego dumna. Bardzo :).

Z czasem okazało się, że Blondyn będzie wykonywał o wiele ważniejsze zadania niż wyciąganie tabletek. Obecnie Igor poprawia mnie za pomocą specjalnej tasiemki umieszczonej na moim ramieniu. Ciągnie za nią i w ten sposób „wracam do pionu”, prościej siedzę. Poza tym podnosi mi głowę, gdy ta opadnie do tyłu i nie umiem jej unieść. Igor trafił do mnie, bym była bardziej samodzielna. Dziś pomaga mi w rehabilitacji i bezpośrednio wpływa na komfort mojego życia.

Piątek, 30 listopada 2007

IGOR I KORFANTY

Ale mieliśmy wczoraj dzień!

Jak co czwartek jechaliśmy na uczelnię. Najpierw Tata nie miał ochoty wstać, potem nie chciał zapalić samochodu, a następnie staliśmy w korku. Spóźniliśmy

się okropnie, ale Igorowi nic nie psuje humoru i jak zwykle rozsiewał wokół siebie optymizm.

Na uczelni jest zawsze serdecznie witany i powoli staje się tematem rozmów. Moja Pani

Promotor od doktoratu spotkała na korytarzu pewnego profesora, który wyznał jej:

-Wiesz, widziałem dzisiaj tutaj takiego dużego, ładnego psa.

Na co Pani Promotor z dumą odpowiedziała:

- On przyjeżdża do mnie!

Po konsultacjach pomknęliśmy do dziekanatu. Staję tam w drzwiach, bo dalej nie da się wjechać. Jednak Igor czuł nieprzepartą chęć poznania Pań z Dziekanatu i kiedy ja wyjechałam, to on tam wszedł. Pokazał się, pomachał ogonem 45 i wyszedł. Na szczęście Panie są tolerancyjne i nie miały nic przeciwko temu.

Następnie wybraliśmy się do Babci. Tym razem do Babci Eli. Tam powitał nas zapach skrzydełek, fantastyczny, cudowny i boski. Kiedy go poczułam, mogłam przysiąc, że zjem wszystkie.

A cóż dopiero biedny Igor. Jeszcze nigdy nie widziałam u niego takiej miny, jaką miał, gdy skrzydełka wjechały na stół. Oniemiał. Oczy zrobiły mu się okrągłe i wielkie jak spodki. Na nic nie reagował. Babcia zaproponowała, że da mu może ciasteczko - jakby ciasteczko było podstawą wyżywienia psów! W każdym razie Igor przeżył traumę, bo na jego oczach zjedliśmy i skrzydełka, i ciasteczka.

Później pojechaliśmy pod uczelnię, gdzie mieliśmy się spotkać z Mrówką i ze Sławkiem, znajomymi ze studiów. Tam Królewicz pobiegał trochę dookoła pomnika Korfantego. Tata udał się do pracy, a my poszliśmy do Biblioteki Śląskiej.

Igor przyzwyczał się już do miasta. Na komendę staje przed pasami, na komendę też rusza.

Tylko dwa razy musieliśmy przywołać go do porządku, bo zagapił się w jakichś krzakach.

Czasami się płacze przed wózkiem, ale ogólnie jestem z niego zadowolona. On też był szczęśliwy, machał ogonem, a przed biblioteką znowu sobie pobiegał. Do budynku wszedł tak pewnie, jakby przychodził tam codziennie.

Nie dopuściłam do głosu ochroniarza przekonana, że będzie nas chciał wyrzucić.

- Mamy pozwolenie Dyrektora, to jest pies asystent, mam legitymację, mogę pokazać — powiedziała jednym tchem.

- A czy ja coś mówię? - zapytał ochroniarz z uśmiechem. — Też jestem psiarzem



- dodał i ucieliśmy sobie pogawędkę na temat naszych psych doświadczeń.

Igor był cały czas przy mnie, nic go nie rozpraszało, reagował na każde polecenie, jakby czuł, że sytuacja tego wymaga. Poszliśmy do Benedyktynki<sup>8</sup>, gdzie miało się odbyć spotkanie Klubu Dobrej Książki. Ku mojej rozpaczy - na stołach czekały ciastka. Igor obwąchał salę, wrócił do mnie i kompromitująco się zaglutował (czyli zaślinił się — zdarza mu się to w związku z jedzeniem lub z dużymi emocjami). Dzielną Mrówką wytarła go, by nie ubrudził wykładziny. Położył się, usiadł, położył, usiadł, ale nie było jeszcze ludzi, więc pozwoliłam mu się wiercić, a sama zajęłam się książkami, które mieliśmy sobie wybrać do recenzji. I nagle usłyszałam, że Igor WARCZY.

Królewicz raczej nie wydaje odgłosów, jego szczekanie słyszałam trzy, może cztery razy w życiu. Nie miałam pojęcia, na co może warczeć, bo właściwie nic takiego się nie działo. W pierwszej chwili pomyślałam, że puściły mu nerwy i warczy na ciastka, by następnie się na nie rzucić. Zrobiło mi się słabo.

Sprawa okazała się jednak prostsza. Przed nami stało popiersie Korfantego, a poniżej została przymocowana blaszka z wygrawerowanym imieniem

8) Benedyktynka — sala w Bibliotece Śląskiej.

i nazwiskiem. Od tej blaszki odbijało się światło, a to dawało refleksy, które denerwowały Igora. Udało mi się go uspokoić i chociaż w sali zaczęli pojawiać się ludzie, Igor leżał grzecznie przy wózku.

Raz tylko spodobała mu się jakaś pani i chciał za nią pobiec, ale zawróciliśmy go.

W czasie prelekcji (doskonałego wykładu Profesora Nawareckiego na temat książki Rymkiewicza pt. Wieszanie) Igor był bardzo spokojny, leżał, czasami siadał, ale na mój gest kładł się. Głównie jednak spał. Wstał oczywiście, gdy ludzie klaskali — nie potrafię go tego oduczyc. Ogólnie jednak był fantastyczny, wszyscy się nim zachwycali (oprócz jednego niemiłego pana). Na koniec Pani Bibliotekarka przyniosła mu miseczkę z wodą. Sympatyczne, prawda?

Po spotkaniu ruszyliśmy pod teatr, gdzie czekał na nas mój kuzyn Grześ. Wybraliśmy się do McDonalda — tam ochroniarz powitał nas mniej entuzjastycznie, lecz pozwolił wejść.

Blondyna bardzo zaciekało to miejsce, ale stanął na wysokości zadania. Czasami wychodził zza wózka i stawał w przejściu, jednak czego można wymagać po dniu pełnym emocji?

W domu byliśmy o 22.00, ale Igor miał jeszcze siłę iść z Tatą do garażu. Kiedy wrócił, padł, nie czekał nawet, by położyć się ze mną do łóżka. Była to nasza pierwsza tak długa wycieczka. Dziękuję, kochani, za wczoraj, za wycieranie glutów Blondynowi i w ogóle za akcję „Igor w Katowicach” — bardzo nam się podobało. Szczególne podziękowania dla Mamy Mrówki, która znowu przysłała mi ciasto!

Przez moje życie nieustannie przewijają się ludzie. Mam do nich nieprawdopodobne szczęście. Pojawiają się zawsze w odpowiednim momencie.

W podstawówce poznałam Klaudię, która siedziała ze mną w ławce od drugiej klasy.

Codziennie się mną opiekowała - tak mógł powiedzieć postronny obserwator. My jednak przede wszystkim się przyjaźniłyśmy i wśmienicie spędzałyśmy czas — w szkole i poza nią. Razem realizowałyśmy moje różne dziwne pomysły — na przykład z piętka rzucałyśmy zeszytem w twardej oprawie w chłopaka, który niezmiernie mi się podobał. Oczywiście nie trafiłyśmy, a okładka się zniszczyła. Wspólnie odrabiałyśmy lekcje, grałyśmy w makao i w „Eurobiznes”. Dzień w dzień.

Wtedy nie widziałam niczego dziwnego w tym, że SAMA chodzę do szkoły (to znaczy, że podczas zajęć nie towarzyszą mi opiekunowie). Nie miałam też dodatkowego nauczyciela, jak to jest obecnie w klasach integracyjnych. W tamtych czasach w ogóle takowe nie istniały. Miałam za to przyjaciół — fantastyczne dzieciaki, które dbały o mnie, a równocześnie traktowały mnie bez specjalnych względów. Do końca życia zapamiętam, jak mnie przewozili z klasy do klasy -

jedna osoba pchała wózek, druga ochraniała nas z przodu, a trzecia z tyłu. W ten sposób nie było szans, by ktoś na mnie wpadł, a wszyscy wiemy, jak to bywa na szkolnych korytarzach. Z Klaudią, która nie mieszka już w Polsce, nigdy się nie pokłóciłyśmy. A spotykałyśmy się — jak pisałam — codziennie przez sześć lat. Czasami wspominamy, jak to sobie podpowiadałyśmy albo jak kiedyś pan z polskiego nas nie wpuścił do sali, bo podobno zignorowałyśmy go na korytarzu i w najlepsze wymieniałyśmy się kolorowymi karteczkami. Byłyśmy pewne, że ktoś napadł na naszą klasę, bo przez dziurkę od klucza widziałyśmy, że wszyscy stoją, a nie siedzą w ławkach. A to nauczyciel — wzburzony naszym zachowaniem — zamknął salę od środka. Był wściekły, że dwie małolaty tak go potraktowały, a my po prostu go nie zauważyłyśmy. Zaśmiewamy się, gdy tylko przypominają się nam lekcje muzyki i wspólnie śpiewane piosenki.

Podobne szczęście do ludzi miałam w liceum — tu sprawa wyglądała gorzej, bo szkoła znajdowała się w zupełnie innej części miasta, a do tego pełno w niej było schodów - właściwie do każdej klasy. Tata musiałby więc cały czas być ze mną, a to nie było możliwe — pracował, podobnie jak Mama, miał mnóstwo obowiązków. Siedzenie godzinami w liceum odpadało. Wszyscy widzieli moją bytność w tej szkole w ciemnych barwach — łącznie z dyrekcją, która oświadczyła, że mogę uczęszczać na zajęcia, ale odpowiedzialność za wszelkie wypadki ponoszą Rodzice. Postanowiliśmy spróbować, chociaż po latach Tata przyznał, że myślał, iż damy radę ciągnąć to tylko kilka miesięcy i odpuścimy. Stało się jednak inaczej.

Pan Bóg nade mną czuwał i trafiłam do klasy, w której znaleźli się czterej chłopcy z mojego osiedla (ktoś znajomy, na kim można się wesprzeć, okazał się na wagę złota!) i dwaj koszykarze po szkole sportowej. Dorodni i silni faceci. Szybko i właściwie samoczynnie utworzyli grupę wsparcia. Opiekowali się mną fantastycznie, wozili mnie, nosili po schodach, zabierali na przerwach do parku (a Pani Woźna kablowała Tacie, że chodzę po dworze bez kurtki). By chociaż minimalnie się odwdziaczyć, robiłam im drobne, oryginalne upominki, na przykład prawo jazdy wypisywane na maszynie, ze zdjęciami z komiksów i śmiesznymi adnotacjami. Oczywiście takie prawo jazdy uprawniało do prowadzenia wózków inwalidzkich. Poza kolegami miałam przy sobie pięć świetnych kobietek, taką babską paczkę - do plotkowania i picia herbatek „pod palmą”, czyli roślinką podobną do tropikalnej, pod którą odbywały się nasze narady.

Czasy liceum to dla mnie sielanka. Byłam bardzo szczęśliwa, a każdy dzień w szkole zamieniał się w przygodę — właśnie dzięki ludziom, którzy mnie otaczali. Z nostalgią wspominam posiadówki u mnie przed klasówkami z matmy, studniówkę i te jesienne długie przerwy, które spędzałam z przyjaciółkami na trawniku przed budynkiem. Na studniówkę oczywiście poszłam. Miałam fantastyczną fryzurę, uszytą kreację i partnera, który aż dziwne, że tę imprezę przeżył. Tomek walcował ze mną do utraty tchu, pokazał, jak się tańczy z kimś na wózku. Bawiłam się świetnie i przelknęłam idiotyczny komentarz wodzireja (najbardziej znanego zresztą w Tychach), który zasugerował, że Tomkowi zapłacono i dlatego tyle z siebie daje. Zatkaną mnie.

— Od tego ma się przyjaciół - odpowiedział mu Tomek i mam nadzieję, że skłoniło to tego pana do chwili refleksji.

W liceum napisałam powieść o moich przyjaciółkach, o naszych znajomych, o wielkich i małych miłostkach, o chłopakach, w których się podkochiwałyśmy. Były to moje pierwsze próby pisarskie, do których teraz strach zaglądać, ale na pewno są miłą pamiątką. Powieść wydrukowałam na domowej drukarce w kilku egzemplarzach, okładkę do niej zaprojektował wspominany już Przemek. Książka chwilę żyła swoim życiem, wędrowała po mieście i nawet się podobała, chociaż była okropnie naiwna.

Ludzie, ludzie, ludzie... Niektórzy przychodzili na chwilę, inni zostawali latami, ale każdy - jak wspominałam - pojawiał się w odpowiednim momencie. Dzięki Magdzie K. zaczęłam chodzić na oazę, a później wyjeżdżać na rekolekcje, dzięki Ani mogłam jeździć na turnusy i zaznać

samodzielności. Zresztą nie o wymieniać tu chodzi, bo wymieniać bym mogła długo, ale o świadomość, że wokół nas jest mnóstwo dobrych ludzi, którzy potrafią i chcą wiele z siebie dać.

Niedziela, 2 grudnia 2007

### BRUDASY

Dzisiaj nigdzie nie wychodziłam, założyłam więc różowe, domowe spodnie i białą koszulkę. Kiedy leżałam, przyszedł do mnie Łatek i wytarł sobie we mnie łapki, układając się na moim brzuchu. Igor po powrocie ze spaceru otarł się o moje spodnie. Zaś w trakcie wieczornych zabaw i ćwiczeń dokończył dzieła (nie wspominając o zaglutowaniu i ubrudzeniu mnie chrupkami).

Wyglądałam, jakbym wykopała pokaźny rów, a nie spędziła dzień w domu.

I jak tu być damą przy takim zwierzyńcu? :)

51

Niedziela, 16 grudnia 2007

### IGOR - DOGOTERAPEUTA

Miałam bardzo intensywny tydzień - uczelnia, zakupy przedświąteczne, praca, mnóstwo czytania i mnóstwo pisania, a do tego mała awaria tej części ciała, na której siedzę :D. Musiałam nieco poleżeć, by dojść do siebie. Igor - jak się domyślicie - nie jest tym zachwycony. Ale najważniejsza w tym tygodniu okazała się wizyta w przedszkolu. Dzięki Wujkowi Olkowi (mojemu rehabilitantowi) razem z Igozem mieliśmy okazję odwiedzić dzieci w Przedszkolu nr 12 w Tychach.

Przed wizytą musiałam się nieco doksztalić. Jacek, trener psów i nasz dobry znajomy, polecił mi książkę Beaty Kulisiewicz Witaj, piesHu!. Znalazłam w niej mnóstwo zabaw, ale też obrazki pieska do kolorowania, które skserowałam i rozdałam dzieciom po zajęciach.

Do przedszkola jechałam razem z Krzyśkiem - zabraliśmy sporo gratów i elektryka, przyjechał więc po nas Wujek. Na miejscu Igor czuł się jak u siebie w domu. Kiedy ustalaliśmy plan działania, on zniknął. Znalazł się na piętrze... w sali z dziećmi.

Na początku mieliśmy pokaz dla całego przedszkola. Wykonaliśmy następujące ćwiczenia:

-jak działa kliker (kształtowanie),

— podnoszenie przedmiotów z podłogi,

— poprawianie nogi,

— wyciąganie poduszki spod nóg,

— podnoszenie głowy,

— podawanie przedmiotów od kogoś do mnie,

-ściąganie skarpetek (Igor ściągał je Krzyśkowi, bo ja założyłam ciepłe rajtki; niestety Krzyśkowa skarpetka miała bardzo mocny ściągacz, ale Igor się nie poddał).

Na koniec Igor i Krzysiek wykonali swoją popisową sztuczkę. Polega ona na tym, że Krzysiek daje komendę: „Zostań”, Igor siada, Krzysiek odchodzi i wyciąga rękę z liną. Na komendę:

„Bierz go” Igor skacze jak na trampolinie, by chwycić uczepioną na linie piłeczkę.

Oczywiście dzieciom najbardziej podobał się właśnie ten widowiskowy wyskok. Poza tym sporo śmiechu było przy skarpetce. Przedszkolaki chętnie też podawały Igorowi kartki, by mi je przynosił. Tu muszę się pochwalić, że dzięki ćwiczeniom Królewicz raczej już nie drze papierów, które ma podnieść albo podać.

Później poszliśmy do maluszków. Tam dzieci przywitały Igora, dając mu chrupkę. Jedno z dzieci chciało zjeść przydział Igora - teraz już wiem, że muszę podkreślać, iż chrupki te jedzą tylko pieski :). Następnie wymieniałam części ciała psa, a dzieci pokazywały je na sobie. Jak się domyślicie, najśmieszniej wyszło z ogonem. Potem czytałam historyjkę o Igorze, Krzysiek pokazywał, co Igor robił (wachał, czekał, dyszał), a dzieci starały się go naśladować. Pod koniec naszej wizyty maluchy zaśpiewały i zagrały na swoich dzwoneczkach.

Wreszcie przyszła pora na starszaki. U nich mieliśmy podobny układ zabaw, ale dzieci opowiadały też o własnych pieskach oraz o pieskach babć, cioc itd. Poza tym pokazywały części ciała na sobie, a jedno dziecko wskazywało je na Igorze. Wybrany przedszkolak mówił, jaki Ajki ma nos, uszy, futerko. Dodatkowo zabawiliśmy się w zbieranie rozsypanych chrupek (kto zbierze więcej). Oczywiście zwyciężył Igor:).

Na koniec dzieci pięknie zaśpiewały i wręczyły nam cudną laurkę. Zanim wyszliśmy, odbyło się wielkie głaskanko.

Trudno tu opisać emocje, które nam towarzyszyły, reakcje dzieci, ich radość, a czasami strach. Dla mnie było to niezapomniane przeżycie. Myślę, że dogo-terapia to coś, co powinniśmy z Igorem kontynuować. Królewicz jest do tego stworzony. Zachowywał spokój, przed pokazem sam podchodził do dzieci, nic go nie wytrącało z równowagi, kiedy ktoś zaczynał go głaskać, po prostu stawał i czekał. W pewnym momencie dzieci tak go okrzyły, że nie było go widać. Pozwalał się dotykać, machał ogonem. Jeden z chłopców na wózku (bo przedszkole, które odwiedziliśmy, jest integracyjne) chciał, by Igor skoczył przednimi łapami na jego kolana. Siedział za wysoko, by Królewicza pogłaskać, a to mu całkowicie uniemożliwiło kontakt z psem. Byłam dumna z Igora, bo wykonał polecenie i nie tylko pokazał, jaki jest kochany, ale też zaprezentował klasę psa asystującego, który potrafi odnaleźć się w każdej sytuacji.

Kiedy wyszedł od starszaków, widać było, jak się zmęczył.

Równie pięknie spisał się Krzyś - nie podejrzewałam go o takie podejście do dzieci. Sama bym sobie nie poradziła.

Wszystko wskazuje na to, że w najbliższym czasie czeka mnie kurs dogotera-peutyczny — o ile taki znajdę gdzieś w pobliżu. Tworzymy z Igorem wyjątkowy duet ze względu na moją chorobę i myślę, że wspólnie będziemy oswajać dzieci ze zwierzakami, ale też z osobami na wózkach :). To plany — co z nich wyjdzie, czas pokaże. Jestem jednak dobrej myśli i dziękuję Wujkowi za pomysł oraz jego realizację!

Tamta wyprawa zapoczątkowała różnorakie spotkania Igora z dziećmi. Chwilowo działania dogoterapeutyczne zawiesiliśmy z braku czasu (niestety), ale zdarza nam się sporadycznie zorganizować jakieś zajęcia. Co roku jesteśmy zapraszani do naszej osiedlowej biblioteki w ramach akcji „Cała Polska czyta dzieciom”.

Dogoterapia wymaga zaangażowania i poświęcenia, nie sądzę więc, bym została fachowcem w tej dziedzinie, bo tak się potoczyły moje losy, że skupiłam się na czymś zupełnie innym. Pochłonał mnie doktorat i uczelniane obowiązki, a także praca i wszystko, co z nią związane — polityka lokalna, public relations, promocja. Jednak bardzo się cieszę, że miałam okazję zebrać dogoterapeutyczne doświadczenia, pracować z dziećmi i pozwolić, by ktoś inny, poza mną, mógł cieszyć się Igorem.

Czwartek, 20 grudnia 2007

#### PODONOSZENIE GŁOWY

Czasami głowa leci mi do tyłu, a ja mam zbyt mało siły, żeby samodzielnie podnieść ją do pionu. Jest to niebezpieczne, bo można się udusić. Nauczyłam więc Igora, by w takiej sytuacji mi pomagał. Kiedy mam zostać sama w domu, rodzice zawieszają mi na szyi smycz na klucze. Jeśli głowa opadnie, wołam Igora. On wskakuje mi na kolana i ciągnie za smycz, aż moja głowa złapie równowagę. Robi to z ogromnym zaangażowaniem. Nawet jeśli śpi lub jest zajęty, reaguje na komendę.

Dla mnie to kolejny element, który sprawia, że czuję się bezpieczniej. Nie grozi mi instalacja w wózku podglówka, a tym samym ćwiczę mięśnie karku :).

Z podnoszeniem głowy przez Igora wiąże się kilka zabawnych historii.

Kiedyś korzystałam z pięknej pogody na Ruince w ogródku. Chciałam sobie opalić szyję, więc odchyliłam głowę, a mój pies myślał, że właśnie mi ona opadła. Skoczył więc i niemal dokumentnie mnie rozebrał, bo odziana byłam skapo.

Innym razem, kiedy opowiadałam o tej komendzie, to śmiertelnie wystraszyłam dziecko, które myślało, że moja głowa odpada, turla się po podłodze, a Igor mi ją podaje. Tak źle na szczęście nie jest.

Niedziela, 23 grudnia 2007

ŚWIĘTA TUŻ, TUŻ...

Od kilku lat, gdy zbliża się Boże Narodzenie, Fuksiu dostaje fioła na punkcie prezentów. Kiedy coś pakujemy, szeleścimy papierami, wyciągamy pudła, dosłownie szaleje. Już nie mówię, co się dzieje, gdy w zasięgu wzroku pojawia się jakikolwiek pluszak.

W tym roku jakoś mu przeszło. Pozostała jedynie miłość do maskotek - uczucie to podziela Igor. Myślałam, że Fuksiu wydorósł, zmadrzał. A tu się okazało, że z prezentów przerzucił się na słodycze, i pewnego wieczoru wspólnie z Królewiczem, cichaczem, wyciągali sobie z jednej z reklamówek różnego rodzaju smakowitości. Dowodem były sreberka - o taką finezję podejrzewam Fuksa, Igor zapewne połykał wszystko z opakowaniem. Dużo ukraść im się nie udało, bo reklamówka stała w dobrze widocznym miejscu. Nie zauważyliśmy jakichś znaczących braków w zapasach, ale coś tam przekąsili. Tacy się kumple zrobili.

Niedziela, 30 grudnia 2007

POŚWIĄTECZNIE

Tyle biegania, przygotowań, a już po wszystkim. Święta były bardzo miłe, ale za krótkie.

W Wigilię nasze zwierzaki dostały specjalne prezenty. Chłopaki otrzymali trochę smakołyków, gryzaki i liny do ciągnięcia.

Łatek (jak to on) przyjął prezent bez emocji i poszedł spać. Zrobiliśmy mu zdjęcie i więcej jego nowych zabawek nie zobaczyliśmy, podejrzewamy, że Fuk-siu i Igor się nimi zajęli. Ostała się jedynie obróżka, Łatek wygląda w niej jak lalusz, ale co tam - z obróżką czy bez niej i tak go inne koty leją.

W Boże Narodzenie ekipa dostała podarki od Cioci Kasi — to sympatyczne, że ktoś oprócz nas pomyślał o naszych milusińskich. Ogólnie rzecz biorąc, poza paroma pokazami dla rodzinki nic w święta nie robiliśmy. Igor wychodził na spacerki z ochotnikami, a ja się wynurzyłam na dwór dopiero w drugi dzień świąt — poszłam do kościoła i obejrzeć żywą szopkę. Tyscy franciszkanie sprowadzili króliki, ptaki, renifery, kozy, dziki, baranki, świnki, konia i lamę :). Oczywiście wszystko musiałam obejrzeć, nie dotarliśmy tylko do osła. Było świetnie, chociaż trochę.

Dzisiaj mieliśmy małe przedłużenie świąt - gościliśmy na urodzinach kuzyna Wojtka i jego syna Tobiasza. Igor dostał piękne zabawki, ale zapomniałam je zabrać! Wieczorami Królewicz uwielbia skubać sobie maskotki, a szczyt szczęścia osiąga, gdy dobiera się do ich wnętrza. Wtedy maskotka jest konfiskowana, bo inaczej zostaje pożarta.

Od kilku toni ćwiczymy noszenie koszyczka i w ogóle nam nie wychodzi -. (Może na sukcesy trzeba poczekać do Nowego Roku.

Łatek (jak to on) przyjął prezent bez emocji i poszedł spać. Zrobiliśmy mu zdjęcie i więcej jego nowych zabawek nie zobaczyliśmy, podejrzewamy, że Fuk-siu i Igor się nimi zajęli. Ostała się jedynie obróżka, Łatek wygląda w niej jak lalusz, ale co tam — z obróżką czy bez niej i tak go inne koty leją.

W Boże Narodzenie ekipa dostała podarki od Cioci Kasi - to sympatyczne, że ktoś oprócz nas pomyślał o naszych milusińskich. Ogólnie rzecz biorąc, poza paroma pokazami dla rodzinki nic w święta nie robiliśmy. Igor wychodził na spacerki z ochotnikami, a ja się wynurzyłam na dwór dopiero w drugi dzień świąt — poszłam do kościoła i obejrzeć żywą szopkę. Tyscy franciszkanie sprowadzili króliki, ptaki, renifery, kozy, dziki, baranki, świnki, konia i lamę :). Oczywiście wszystko musiałam obejrzeć, nie dotarliśmy tylko do osła. Było świetnie, chociaż trochę.

Dzisiaj mieliśmy małe przedłużenie świąt — gościliśmy na urodzinach kuzyna Wojtka i jego syna Tobiasza. Igor dostał piękne zabawki, ale zapomniałam je zabrać! Wieczorami Królewicz

uwielbia skubać sobie maskotki, a szczyt szczęścia osiąga, gdy dobiera się do ich wnętrzości. Wtedy maskotka jest konfiskowana, bo inaczej zostaje pożarta.

Od kilku dni ćwiczymy noszenie koszyczka i w ogóle nam nie wychodzi :( . Może na sukcesy trzeba poczekać do Nowego Roku.

Piątek, 4 stycznia 2008

#### PODSUMOWANKO

Mama Precla9 na swoim blogu zapytała czytelników, czy to był dla nich dobry rok. Wpis ten zachęcił mnie do zrobienia podsumowania. Mogę spokojnie powiedzieć, że pomimo fatalnego początku rok okazał się rewelacyjny, ponieważ:

- dostałam Igora,
- nauczyłam go paru przydatnych komend, -zrobiliśmy pierwszy krok do dogoterapii,
- nie dałam się wakacyjnemu zapaleniu płuc,
- obroniłam pracę magisterską,
- rozpoczęłam studia doktoranckie,
- znalazłam pracę,
- odbyłam Podróż Mojego Życia,
- poznałam kilku fantastycznych ludzi,
- ogólnie jestem zadowolona, chociaż nieco mi brakuje snu :).

Sylwestra spędziłam na głośnej imprezie. Igor odprowadził mnie, poznał ekipę i wrócił z Tata do domu. O północy wspierali się z Fuksiem, ale ten ostatni uciekł w końcu do łazienki. Igor udawał, że wcale się nie boi, ale jakoś nie chciał oglądać z Rodzicami fajerwerków na balkonie.

O 6.00 przyszedł po mnie z Tata i zjadł resztki z imprezy, które znalazł pod stołem. Wszyscy byli nim zachwyceni, bo Igor mimo wczesnej pory promieniał, machał ogonem i był pełen optymizmu. Odbyliśmy noworoczny spacer i już po 7.00 spaliśmy w ciepłym łóżeczku.

Oby rok 2008 był równie miły i intensywny jak 2007. Tego Wam i sobie życzę!

9) [www.preclowastrona.blox.pl](http://www.preclowastrona.blox.pl)

Poniedziałek, 7 stycznia 2008

#### KOŃ, KOSZE I KACZUCHA

Dzisiaj będzie notka o tym i o owym, ponieważ wszystko jest ważne i z niczego nie chcę rezygnować.

W ostatni piątek wybraliśmy się z Igorem i naszymi znajomymi do knajpki zwanej przez nas „U konia”. Byłam spokojna, bo w wakacje wraz z Krzyśkiem zabraliśmy Igora do innego lokalu i wówczas Królewicz po prostu spał. Nie przewidziałam jednak, że:

- w drugiej części knajpy będzie impreza (a więc ludzie, oklaski i jedzenie); -zapomnimy smaczków dla Igora.

Mój asystent jak zwykle w nowym miejscu był nieco zaniepokojony. Wokół rozchodziły się kuszące zapachy, a ja nie miałam możliwości skupić jego uwagi na sobie i „skarmić” jego stresu. Zostało więc jedno wyjście — głaskanie. Skończyło się na tym, że Igor najpierw wlaź na Donie, później na mnie (jak tulaszki, to tulaszki), a następnie położył pysk na stole. Cud, że nas nie wyproszono.

Stwierdziłam, że czas na plan B, czyli ignorowanie. I to dało efekt - Igor w końcu się położył. Parę razy wstał i jego mina mówiła: „Kochana, chodźmy stąd, bo kompletnie mnie ten wypad nie kręci”, ale skapitulował.

Jednym słowem —za nami porażka, bez chrupek radzimy sobie bardzo średnio, szczególnie że mam ograniczoną gestykulację oraz dostęp do psa (nie mogę go przytulić ani objąć, nawet z g łaskaniem jest problem, bo mam za mało siły). Z drugiej jednak strony, pocieszam się, że nie było aż tak fatalnie, bo przecież w pewnym momencie Igor nieco „się odwiesił” i ładnie leżał.

Ćwiczymy noszenie wiklinowego koszyczka (takiego na jajka) i wyrzucanie śmieci do kosza.

Igor przynosi koszyczek do mnie (nawet z piłeczką), jeśli mu

ktos poda. Przynosi go, gdy jestem w tym pomieszczeniu, co on, i gdy jestem na przyklad w pokoju obok. Ale nie potrafi zrozumiec, ze ma zabrac koszyczek i podazac za mna. No coz, do Wielkanocy sporo czasu.

Wyrzucanie smieci zakonczylo sie dzisiaj tym, ze najpierw Igor podal mi kosz, a potem papierki do wyrzucenia. Bardzo byl z siebie zadowolony, minem mial pod tytułem: „Zadanie wykonane”. Dla niego to logiczne, ze takie rozwiazanie jest prostsze niz uczenie go zbierania smieci z pod logi i wrzucania do określonego pojemnika.

Od wczoraj Królewicz męczy puchatą kaczkę, którą dostal od Wojtków. Wy-prul z niej wszystkie flaki. Być może w ten sposób manifestuje swoje poglądy polityczne ;). Kto go tam wie.

Koszyczka Igor do dzisiaj właściwie nosić nie umie.

Natomiast znamy się już na tyle, że gdziekolwiek byśmy nie poszli, nie boję się, że Blondyn odstawi mi jakiś numer. A takowe się zdarzały — kiedyś usiadł nad jeziorem i szczekał, innym razem chciał się bawić z psem, ale zapomniał, że smycz przywiązana jest do wózka... Musiałam się nauczyć, że mój pies jest psem, i wybaczać mu te naprawdę nieliczne potknięcia.

Zazwyczaj spojrzymy na siebie i wszystko wiemy. Królewicz raczej bez konsultacji nic nie robi na własną łapę.

Ugodowy chłopak jest, po prostu.

Sobota, 12 stycznia 2008

STUDENCIAK

Igor nadal wzbudza powszechne zainteresowanie na uczelni, ale sam zaakceptował to miejsce i czuje się tam wyśmienicie. Na zajęciach śpi, na korytarzu zazwyczaj siedzi przy wózku.

Wczoraj wypytywał o niego Pan Konserwator.

— Igor jest strasznym „niuchaczem” — tłumaczył mu Tata. — Sprawdza wszystkie zakamarki na spacerach w poszukiwaniu jedzenia, bo kocha jeść.

Pan Konserwator obserwował, jak nagradzam Igora chrupkami, i w końcu skomentował:

- No, to teraz będę chodził do roboty z psim żarciem.

Wszyscy chcą zdobyć serce Igora smakołykami i trudno im wytłumaczyć, że niestety nie wchodzi to w rachubę, bo psa karmię tylko ja.

Igor jest wyjątkowo grzeczny w windzie. Wsiada na komendę, wysiada na komendę (to znaczy sygnałem jest tu komenda plus gest, ruch), a gdy jedziemy, siada obok mnie lub tam, gdzie mu wskaże Tata. Dwa razy odkasznął sobie i ku zdziwieniu wszystkich wypluł chrupkę, która najwyraźniej wpadła mu w złą dziurkę. Następnie ją odszukał i... zjadł. Wszak żadna chrupka zmarnować się nie może. Wstyd mi było okropnie - wokół wykładowcy i pracownicy naukowci, a Igor luzak pluje chrupkami.

Obecnie mam wolną chwilę, bo Królewicz padł i muszę sobie darować wieczorne ćwiczenia. Właśnie zamruczał przez sen. Igor jest wykończony, bo w końcu minęły te okropne mrozy i byliśmy na porządnym, długim spacerze. Dawno nie widziałam w takim stanie mojego studenciaka, który dzisiaj nie tylko

biegał i skakał, ale też sporo spacerował przy wózku. Musi się przyzwyczajać, bo niebawem czekają nas wiosenne przechadzki we dwoje, a wtedy o żadnych szaleństwach nie będzie mowy. Ćwiczymy więc dostojny chód przy moim boku.

Sobota, 12 stycznia 2008

PYSZCZEK

W ramach znajdowania sobie zajęć, które pozwolą mi odłożyć na później pisanie pracy zaliczeniowej z metodologii, postanowiłam wrzucić notkę o normalnej porze. Jest o czym pisać, bowiem chwilowo porzuciwszy kosze i koszyki, ćwiczymy z Igorem wchodzenie pod stół.

Przyda mi się to na wykładach, w bibliotece, ogólnie rzecz biorąc, gdy będziemy w jakimś miejscu publicznym lub u kogoś z wizytą.

Igor jest przyzwyczajony, że ma coś przynosić, chwycić, ciągnąć, popychać, jednym słowem, że pracujemy pyskiem. A tu niespodzianka, bo klikam mu na ruch łapek i tułowia. Zdziwiło go to do tego stopnia, że myślał, iż chodzi o nogę od stołu. Namiętnie tyrpał ją nosem, dając znak, że znalazł pożądany przeze mnie przedmiot. Szło nam nieźle i Igor wchodzi pod stół do połowy, jednak już zrozumiał, że kombinujemy coś z tym meblem. Myślę, że pójdzie nam szybciej niż ze śmieciami, z którymi utknęliśmy w martwym punkcie.

Środa, 16 stycznia 2008

#### IGOR SIĘ LENI

Leni się, czyli gubi sierść. Zawsze gubił, ale teraz gubi na potęgę. Jego kłaki są wszędzie, zwłaszcza na gościach i na czarnej kurtce Taty. Makabra. Jemu samemu linienie w niczym nie przeszkadza, humor ma wyśmienity, wczoraj śmigał po plaży, aż się kurzyło.

Krzysiek mówi, że powinnam rozpocząć produkcję poduszek z puchem Igora. Jakiś pomysł to jest ;).

Piątek, 18 stycznia 2008

#### BYWALEC

Intensywnie spędzamy urlop - codziennie w bibliotece lub na uczelni. Do tego stopnia, że wczoraj po powrocie dosłownie nie miałam siły się ruszyć i grzecznie o 23.00 leżałam w łóżeczku. Kto mnie zna, wie, że o takiej porze to zazwyczaj dopiero się rozkręcam.

Miałam obawy, jak zostaniemy przyjęci w czytelni Biblioteki Śląskiej, ale niepotrzebnie. Pani Bibliotekarka nie wymagała od nas żadnych dokumentów i usprawiedliwiła Igora, który na wstępie wszedł w strefę zakazaną dla przeciętnego zjadacza chleba (czyli za jej pulpucik). Stał i gapił się na specjalne „wyciągi”, którymi dostarczane są książki. „Wyciągi” się ruszały i szumiały, co niezwykle go zainteresowało.

- On u nas pierwszy raz, musi wszystko poznać - tłumaczyła mi wyrozumiała Pani Bibliotekarka, oczywiście też psiara (opowiedziała mi krótko o swoim ulubieńcu, którego przygarnęła po wypadku, jakiemu uległ).

Wyznaczono nam ustronne miejsce i Igor zapadł w błogą drzemkę, której sprzyja atmosfera biblioteki. Wstał tylko dwa razy, ale zawrócony wracał do mnie.

Królewicz jest już bywalcem owej instytucji - wchodzimy, a Pan Ochroniarz mówi:

— Cześć, Igor! — i wita się z nim czule.

W bibliotece po raz kolejny zauważyłam, jak Igor reaguje na ludzi poruszających się na wózkach. Kiedy się zbieraliśmy do wyjścia, Królewicz nagle zaczął czegoś wypatrywać i ruszył energicznie w tamtym kierunku. Nigdy tak się nie zachowuje, chyba że zauważy kogoś znajomego. Okazało się, że zobaczył chłopaka na wózku. Ten zniknął mu za szklanymi drzwiami. Mój asystent spoglądał na niego z radością, po chwili ociągania się wrócił do nas. Podobną sytuację mieliśmy kilka dni temu w parku. Tam Igor podbiegł do chłopaka na wózku i się przywitał. Nie wiem, co myśli sobie ten kudłaty łeb — może, że oto ktoś, kto zapewne ma chrupki. Albo ktoś, z kim też będzie można poćwiczyć. W każdym razie Igor reaguje na wózek bardzo pozytywnie, jakby doskonale rozumiał swoją misję, jakby chciał powiedzieć: „Jestem dla was”.

Jak było powiedziane na początku, nigdy specjalnie nie szukałam kontaktu z osobami niepełnosprawnymi. Być może dlatego, że jedna z moich chorych koleżanek - dorosła kobieta - powiedziała mi kiedyś, żebym się nie łudziła, bo i tak wszyscy mnie zostawią. Byłam wtedy nastolatką i bardzo to przeżyłam. Wydawało mi się, że jest starsza, doświadczona i na pewno ma rację.

Obiecałam sobie wtedy, że nigdy nikomu nie odbiorę nadziei, nawet jeśli będę w przyszłości zgorzkniałą, wredną babą. Później poznałam chorą osobę, która na różne sposoby wykorzystywała swoją niepełnosprawność i przyjęła postawę „mnie się należy”. Dziwiła się, iż nie walczę „o swoje”, a ja byłam zdumiona, że zamiast wyrównywać ku górze, to ona ciągnie w dół.



Niestety, kontakty z niepełnosprawnymi nie wносиły do mego życia nic pozytywnego. Na palcach jednej ręki policzę optymistycznych znajomych z turnusów rehabilitacyjnych. Chorzy są zamknięci w swoim świecie, skupieni na ćwiczeniach, skoncentrowani na swoim nieszczęściu. Powtarzam — oczywiście nie wszyscy — ale ja głównie takich spotykałam. Zamiast pokazać, że chcą być pełnoprawnymi członkami społeczeństwa, oni podkreślają, jak bardzo są chorzy i inni.

U niepełnosprawnych drażni mnie bierność, brak chęci działania i wiary we własne siły, pesymizm. Mam jednak świadomość, że było mi łatwiej, bo tak, a nie inaczej mnie „zaprogramowano”, zostałam wychowana w taki, a nie inny sposób. Teraz wiem, że mój charakter, siła woli i walki nie wynika tylko z usposobienia, ale głównie ze środowiska, w którym dorastałam. I tu ukłon w stronę mojej Rodziny.

Spotkanych na mej drodze wózkowiczów zazwyczaj zachęcam do starania się o psa asystującego, ale wielu z nich się boi - odpowiedzialności, konieczności wychodzenia, ćwiczenia, zwykłego zaangażowania. Bo taki pies jest bardzo absorbujący. Większość z nich mówi, że nie ma czasu (!) albo warunków. A moim zdaniem po prostu obawiają się, że coś w ich życiu mogłoby się zmienić na plus i najzwyczajniej w świecie ich to przeraża. Bo najtrudniej jest porzucić może monotonna, ale jednak bezpieczną szaroad.

Poniedziałek, 21 stycznia 2008

PERFECT DAY

W sobotę dwie fanki seriali - czyli Mama i ja - stawity się w Teatrze Śląskim, by obejrzeć komedię romantyczną Perfect Day w wykonaniu Teatru Kwadrat z Warszawy. Grali nasi ulubieni serialowi aktorzy — Ewa Kasprzyk, Paweł Małaczyński i Andrzej Grabarczyk. Zastanawiałam się, czy brać Igora do teatru, w którym nigdy nie był. Jednak zdecydowałam, że to zły pomysł — wiedziałam, że będą tam tłumy i my ledwo co się wepchamy (rzeczywiście - sala była wypełniona po brzegi), poza tym Igor nadal źle reaguje na oklaski. Ponadto to miał być relaksujący wieczór Mamy, a nie mogłam przewidzieć, co Igor wykombinuje.

Królewicz więc pojechał razem z Tata i Fuksiem do Babci Eli.

Dodam, że gdy jeździmy bez przyczepy, Igor siedzi z tyłu z Mamą oraz Fuksem i bezczelnie zajmuje dwie trzecie siedzenia, a wokół niego fruwa blond sierść. Każdy może sobie wyobrazić, w jakich warunkach podróżuje Mama. Ale dzielna jest. I tylko jedno kolano miała załutowane. To, co lubimy z Mamą najbardziej, to książki i seriale. Śmieszy mnie, że ludzie wstydzą się przyznać, iż oglądają tę czy inną operę mydlaną. W środowisku akademickim takie zamiłowania są bardzo źle widziane. Tymczasem ja uwielbiam polskie tasiemce. Nie mam czasu ich oglądać, więc nagrywamy je z Mamą na specjalnie oznaczone (od literki A do Z) kasety VHS (które zresztą przestano produkować I). Puszczone je sobie w wolnej chwili - Mama wieczorami, a ja przy jedzeniu, bo nigdy nie tracę czasu tylko na oglądanie telewizji. Zawsze raczę się nią przy okazji.

Ilość kaset i ich ciągła migracja — między pokojem moim i Rodziców - bardzo drażni Tatę, ale znosi to cierpliwie, bo takich fanaberii mamy mało. A czasami — chcąc, nie chcąc - sam się wciaga w jakiś serial, chociaż udaje, że wcale tak nie jest.

Teatrem natomiast zaraził mnie Przemek. To dzięki niemu pokochałam to miejsce i poznałam naszego tyskiego aktora - pana Andrzeja Warcabę, którego uwielbiam za talent, podejście do świata i poczucie humoru. Kiedyś tak się z nim zagadałam w autobusie, że... przejechałam swój przystanek. Wielka osobowość, genialny aktor, wspaniały rozmówca, świetny człowiek. Był taki czas, że z Przemkiem pojawialiśmy się w teatrze co dwa tygodnie i ciągle nam było mało. Teraz moja teatromania nieco przygasła ze względu na brak czasu, ale chociaż raz na jakiś czas staram się wybrać na coś wartościowego. Natomiast ze względów naukowych bywam na wszystkich przedstawieniach, które mają jakikolwiek związek z Anią Shirley.

79

Wtorek, 22 stycznia 2008

## JEŹDZIMY AUTOBUSEM

Wiadomo, kto podjął się nauki dobrego zachowania Igora w autobusie - Krzysiek.

Kilka wycieczek i Igor siedzi obok wózka. Nadal przeżywa te podróże — o czym świadczy Slinotok. Od czasu do czasu musimy psa wycierać. Ale jest dzielny — nie reaguje na otwieranie drzwi, cierpliwie czeka, aż dotrzemy do celu. Czasami skusi się na małe obwąchanko czyjejs siatki lub kurtki, ale szybko go przywołujemy do porządku.

Cudny jest, a ja uśmiecham się do ludzi, którzy na nas spoglądają z sympatią i podziwem.

Czwartek, 24 stycznia 2008

## KONG

W tym tygodniu Mama pracuje na drugą zmianę, popołudniami przybywają więc goście, by nas pilnować. Wczoraj odwiedziła nas Mała Ania, a następnie Donia. Dziewczyny były zachwycone postępami, jakie zrobił Igor. Wprost się go nachwalić nie mogły, tym bardziej, że Igor w ostatnim czasie nauczył się wyciągać zeszyt z mojej torby. Różnie mu to wychodzi. Wczoraj było super.

Dumna Megi chciała się dzisiaj pochwalić Marcinowi, jak Królewicz pięknie pracuje.

A Królewicz miał mnie w nosie.

Wszystkiemu winna paczka, która przyszła dziś do chłopaków. Kupiłam im kongi — podłużne zabawki z kauczuku, do których można wrzucić smakołyki. Kong sam w sobie jest atrakcyjny, bo można go gryźć i fantastycznie się odbija (Tata dzisiaj prawie rozwalił nim telewizor). A jak się wrzuci do środka chrupki, to zabawa jest na sto dwa.

Igor oszalał na punkcie kongi do tego stopnia, że chciał go zdjąć ze stołu, a to jest surowo zabronione i on jest tego świadomy.

Poniedziałek, 28 stycznia 2008

## SAMI W DOMU

Wczoraj (to znaczy w sobotę - znowu piszę po północy) byliśmy na urodzinach Cioci Tereski i Pawełka. Nie mogliśmy zabrać ze sobą Igora, bo u nich króluje Carlos — czarujący psiak, połączenie labradora i rottweilera. Wizyta \gora

pewnie by się zakończyła niezłą jatką, bo Carlos nie toleruje innych psów. Poza tym to bardzo miłe i przyjacielskie stworzenie. Nigdy nie zapomnę, jak kiedyś, gdy u nich byliśmy, zadzwonił dzwonek do drzwi i Carlos pognął powitać gości, nie zważając, że po drodze był stół, a na nim kawki i herbatki. Działo się, oj, działo się :). Ale i tak dobrze, że przebiegł POD stołem, a nie ZE stołem.

Igor musiał zostać z Fuksiem w domu. Dotychczas przebywali sami tylko dwa razy i to bardzo krótko. Nie wiedziałam, co zastaniemy, jak wrócimy. Opcji było kilka:

- a) trupa [Fuksiu mimo skromnej postury już dwa razy wyzwiał Igora na pojedynek i nieco się poczochrali),
- b) rannych,
- c) zdemolowane mieszkanie [w domu zostawał również Łatek).

Trudno było przewidzieć, czym się chłopcy zajmą (przy nas są raczej grzeczni). I co się okazało? Że chłopaki spędziły wieczór na miłym drzemkowaniu — gdy wróciliśmy, byli nieco zaspani. Wiedzą, że grunt to dobrze się wyspać! Ale potem Igora wzięło na ćwiczenia, więc musieliśmy wykonać niemal wszystkie nasze „sztuczki” i w ogóle nie przyjmował do wiadomości, że wybieram się do łóżka - gdy siedziałam na kibelku, przyniósł mi najpierw „papuśnik” (czyli poduszkę pod nogi), a później komórkę (Królewicz wie, że najważniejszy przedmiot w domu to telefon). Jego pyszczek mówił: „Kochana, co ci jeszcze przytargać? Może bobra?”. Dzisiaj natomiast miałam rano igoroterapię — leżakowaliśmy w łóżku do południa. A wieczorem zrobiliśmy pokaz dla Agatki i Andrzeja, którzy wpadli na herbatkę. Poszło nam świetnie :).

Igoroterapia to najlepsza terapia na świecie. Blondyn jest tak duży jak ja (o ile nie większy). Ma fantastyczne futerko i bardzo grzeje. Przytulać możemy się tylko na łóżku, bo w innym

wypadku by mnie zgniół. Wydziela specyficzny zapach, który wielu ludzi drażni. A dla mnie to zapach, który daje mi poczucie bezpieczeństwa — bez niego i bez odgłosu oddechu Igora trudno mi zasnąć. Podobnie jest z zapachem karmy - towarzyszy mi nieustannie, bo nagradzam Blondyna chrupkami. Nie jest to jakaś fantastyczna woń, jak śmierdzi psie żarcie, każdy wie. Ale mnie kojarzy się z najmiłszymi chwilami — z naszymi spacerami, ćwiczeniami, szkoleniami w Brzeźnicy.

Gdy Krzysiek wrócił po naszym pierwszym spotkaniu do domu, jego mama zapytała, czy aby nie był... w zoologicznym.

Igoroterapia jest dostępna dla wszystkich, którzy nie boją się brudu (spacery), smrodu (ćwiczenia z chrupkami) i wyzwiań (szukanie patyków do wspólnej zabawy). Ochotnicy muszą być glutoodporni, odpowiednio ubrani i gotowi na wszystko.

Środa, 30 stycznia 2008

#### IGRANIE Z OGNIEM

Igor jest dużym, silnym psem. Ja natomiast zbyt wielka nie jestem, a sił mam tyle, co kot napłakał. Wiem jednak, że nie zrobi mi krzywdy. Naszą ulubioną zabawą jest wyciąganie pluszaka spod gardła — wsadzam go pod brodę i mówię: „Bierz gol”, a Igor wskakuje przednimi łapami na kolana i wyszarpuje zabawkę. Wygląda to drastycznie, ale rozrywkę mamy oboje.

Jednak w trakcie zabaw i ćwiczeń muszę uważać, co mówię. Podczas nauki podnoszenia głowy Igor niemal ściągnął mnie z wózka, bo nie powiedziałam w odpowiednim momencie: „Puść!”.

Teraz już pamiętam, że kiedy złapię równowagę, muszę mu dać taką komendę. Kiedyś założyłam sobie szczątki kaczu-chy na rękę, kazałam ciągnąć i popełniłam ten sam błąd. Igor widząc, jak się wystraszyłam, już więcej nie chciał się tak bawić (czasami on jest mądrzejszy ode mnie).

Natomiast w poniedziałek przesłam samą siebie, bo kazałam Igorowi podać pilota - ze stołu.

Nie pomyślałam, że pilot nie leży jak zwykle na brzegu, tylko na środku. Komenda to komenda, Igor oparł się o blat przednimi łapami, by sięgnąć po przedmiot, a ja zobaczyłam, jak przesuwają się bieżnik i wszystko, co na nim stoi, w tym — zapalona świeczka! Oczyma wyobraźni widziałam już spalone mieszkanie, na szczęście Igor się uwinął i do katastrofy nie doszło.

Muszę pamiętać, że w tym duecie to ja jestem mądrzejsza, przynajmniej teoretycznie :). Igor to mądrała, ale na pewno nie będzie za mnie myśleć.

Piątek, 1 lutego 2008

#### SPACERKI

Właśnie doszłam do siebie po spacerze, na który zabrał nas Kuba K.

Ziiiiiiiiimno!!!!!!! Kiedy ta wiosna?

Igor był naprawdę grzeczny, aż się Kuba zdziwił. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że Królewicz zrobił spore postępy, jeśli chodzi o zachowanie na dworze. Przede wszystkim zaczął reagować na komendę: „Do mnie!”. Przybiega dziewięć na dziesięć razy (mniej więcej ;)).

Zrozumiał też, że komenda: „Nie”

obowiązuje również, gdy biega bez smyczy. Jedyne problem to pochłanianie wszystkiego, co do pochłonięcia się nadaje.

Właściwie to dawno nie byliśmy na takim spacerze jak dziś, ze względu na posiadówki w bibliotece i moją drugą zmianę. Jednak Igor nie narzeka na brak chętnych na wspólne przechadzki. Rekord spacerów pobił w środę. Najpierw wybrał się trzy razy z Tatą (gdy spałam i później, gdy miałam rehabilitację), potem z Krzyśkiem, wieczorem z Donią i Szymonem (chodzili ponad godzinę!), a na koniec z Tatą i Fuksiem. Dbają o jego kondycję, a jak.

Wczoraj był więc bardzo zdziwiony, gdy wyprosiłam go z przedpokoju, tłumacząc, że pieski do kościoła nie chadzają. Chyba myślał, że teraz tak codziennie będziemy co chwilę biegać na dwór.

Serce mi się krajało, gdy wychodziłam.

A gdy wróciłam, dostał kompletnego fioła. Kazałam mu ściągnąć rękawiczki — robi to nieporadnie, bo rzadko to ćwiczymy — i tak się rozochociał, że koniecznie chciał pomóc

Arturowi w zdejmowaniu mi futerka (nie wiem, skąd mu to przyszło do głowy, nigdy tego nie robił}. Pozwolił mi więc ściągnąć mi szalik, ale to go utwierdziło w przekonaniu, że jego pomoc jest nieodzowna :). Był żądny czynu, ignorował komendę: „Nie trzeba” — uparł się, że będzie aktywnie uczestniczył w pozbywaniu się przeze mnie okrycia wierzchniego. Potem próbował mi zdejmować buty, a w międzyczasie przynosił Arturowi papuśnik, by mi go wsadził pod nogi. Dwoił się i troił, był po prostu kochany. Może czuł się w obowiązku, bo Taty nie było, a Mama spała. Jedyńm domownikiem, który mógł się mną odpowiednio zająć, był on. Widocznie nie wierzył w umię-jętności Artura ;}.

Natomiast wieczorem, po codziennych ćwiczeniach SAMI wyciągnęliśmy z szafki piżamę i skarpetki. Tacy jesteśm samodzielni :). Musiałam się pochwalić!

Z Igorem ćwiczymy niemal codziennie. Początkowo mieliśm dużo roboty, uczyliśm się bardzo praktycznych komend. Teraz trenujemy dla utrzymania dobrej formy.

Bywają dni, kiedy Igor ma wolne — bo akurat nic mi nie spadło i w ogóle kręciło się wkoło sporo chętnych do pomocy osób. Wówczas po prostu jest i łypie czekoladowym okiem, czy wszystko w porządku.

Nigdy nie wiem, kiedy mój pupil okaże się niezbędny. Tak było na przykład, gdy zostaliśm w domu sami, a mnie koc wkręcił się w kółko i wciągnął stopę między podnóżki. Myślałam, że oszaleję z bólu. Wówczas uratował mnie Igor- pociągnął koc, poprawił nogę. Aż strach pomyśleć, ile bym wycierpiała, gdyby go w tym momencie zabrakło. Dlatego też do znudzenia powtarzamy niektóre ćwiczenia, by w odpowiednim momencie reakcja Igora była szybka i zdecydowana, by się nie wahał.

Czasami prowadzi to do zabawnych sytuacji. Kiedyś w kościele Blondyn źle odczytał mój gest dłonią i usilnie poprawiał mi nogę. Bywa, że w trakcie ważnych zawodowych spotkań Igor wykonuje szereg swoich popisowych sztuczek, chociaż mu tłumaczę, że doprawdy nic nie musi robić i spokojnie może sobie spać. Uwielbia podawać mi łapę podczas sesji Rady Miasta i robić ukłony na przystanku w oczekiwaniu na autobus. K wsi^stko to n\ e i nudów, a z wielkie'] mrto śa do chrupek.

Środa, 6 lutego 2008

### WYJĄTKOWY DZIEŃ

Igor wie, że rano nie ma ze mnie pożytku. Albo zrywam się o świcie i pracuję, albo śpię do południa. On też jest śpiochem, ale jeśli usłyszy, że domownicy wstali, rusza zbadać, co się dzieje. Dźwięk lodówki budzi go zawsze. Sprawdza więc, co tam szykują na śniadanie i czy aby nic nie spadło, pilnuje, by Tata i Fuksiu nie poszli bez niego na spacer. Jeśli go zawołam, to średnio jest chętny na tulaszki — wkoło sporo się dzieje i nic nie może mu umknąć. Chyba że bardzo nalegam, to nie ma wyjścia.

W poniedziałek chyba wyczuł, że to wyjątkowy dzień, bo sam przyszedł i po przyzwoleniu wgramolił się na łóżko. Polizał mnie po policzku, co mnie bardzo zdziwiło. Igor raczej tego nie robi - i ja się z tego cieszę, bo ma ogromny jęzor i takie czułości musiałyby kończyć się gruntownym myciem twarzy. W każdym razie tego poniedziałkowego ranka zebrato mu się na pieszczoty, a gdy Rodzice składali mi życzenia, razem z Fuksiem wpychali się między nas. Tylko Łatek miał w nosie moje urodziny. Jego nic nie wzrusza.

Po południu poszliśm z Donią na spacer, ale jakoś wyjątkowo szybko chciała wracać. Igor był niepocieszony, ja też, jednak nie marudziłam. Wszystko wyjaśniło się w domu. Kiedy zaświciłyśm światło w moim pokoju, okazało się, że są tam goście! Jak w amerykańskim filmie — siedzieli po ciemku, by zrobić mi niespodziankę. Przywitali mnie śpiewem, kwiatami i kolorowymi balonami :). Nie mogłam uwierzyć - dotychczas widziałam takie rzeczy tylko w filmach i nie sądziłam, że coś tak miłego może mnie spotkać :].

Kochani-dziękuję!!!!!!!!!!!!

Igor stwierdził, że urodziny mają swoje plusy (w zamieszaniu dwa razy rozsypałam chrupki), ale ogólnie są do niczego, bo:

-nie bawię się z nim,  
— nikt nie zwraca na niego uwagi, -jest głośno,  
- wszędzie są pękające balony.

Tych ostatnich tak nie lubi, że wieczorem, gdy szłam spać, nie chciał wejść do mojego pokoju. Razem z Tatą musieliśmy go przekonywać, że spokojnie może się położyć na swoim miejscu - u mnie w łóżku. Uległ, ale balony omija z daleka i w pośpiechu.

Nikt wcześniej ani później nie zrobił mi takiej niespodzianki. Wrażenia niezapomniane. Dziękuję, Doniu, jeszcze raz, bo to Ty to wymyśliłaś!

Czwartek, 7 lutego 2008

#### RADIO I PRASA

Dzięki Doni o naszym sukcesie (wejście do trzeciego etapu konkursu<sup>10</sup>) dowiedziały się lokalne media. Przez ostatnie dni głównie odbierałam telefony, udzielałam informacji, pozowałam do zdjęć. Nasz duet stał się w Tychach sławny.

Piękny reportaż napisała o nas Ewa Strzoda z tygodnika „Twoje Tychy”. Bardzo podoba mi się tekst, zdjęcia też są fantastyczne. Podczas wizyty dziennikarki Igor nie pokazał się z najlepszej strony, gdyż wszystkie jego zmysły skupione były na schabie, który moja Mama ubijała na obiad. Wykonywał więc zadanie

10) Ogólnopolski konkurs Blog Roku.

na chybicka i leciał do kuchni, sprawdzić, czy schab nie wylądował przypadkiem na podłodze. Ale i tak zdobył serce Ewy — wiadomo, jak to on. Musimy jednak podjąć wyzwanie i odczytać się reagowania na kuchenne odgłosy.

Wczoraj w Radiu Katowice można było wysłuchać o nas audycji. Aby ją nagrać, przyjechała do nas Anna Gładoch. Tym razem Igor spisał się prawie idealnie -poza tym, że bez komendy wyciągnął mi papucznik spod nóg. Śmiesznie było również wtedy, gdy przyniósł z kuchni telefon, podał mi go, a on po chwili spadł na podłogę. Igor więc ruszył, by go podnieść.

— Poda? — zapytała Ania. -Jasne!

A co zrobił Igor? Wziął telefon i odniósł Mamie do kuchni. Przecież dobrze wiedział, że to nie moja komórka. Ania dostała ataku śmiechu :).

Nasz gość był zawiedziony, że Igor nie szczeka. Ale trochę sobie pogadali.

Wszystko zaczęło się właśnie wtedy — gdy Mama zgłosiła mój blog do konkursu Blog Roku, a Donia nagłośniła sprawę w Urzędzie Miasta Tychy. Zdobyliśmy trzecie miejsce w głosowaniu internautów, ale zanim to nastąpiło, odwiedziły nas tabuny dziennikarzy. Zaczęliśmy być rozpoznawani na ulicach, ludzie pokazywali nas sobie nawzajem, do dziś czasami słyszę: „To nasz Blondi”, gdy Igor pomyka tyskimi trawnikami. Poznałam wtedy mnóstwo ludzi, nawiązałam sporo kontaktów. Cieszyłam się, że jestem rozpoznawana jako właścicielka pięknego, mądrego psa, że w taki, a nie inny sposób zaistniałam w mediach.

Ten konkurs wiele zmienił w naszym życiu, od tamtej pory wszystko zaczęło nabierać tempa.

Sobota, 9 lutego 2008

#### ZAPOMNIAŁAM

Zapomniałam napisać, że już dawno temu Igor nauczył się wyciągać kasetę z magnetowidu. Początki były trudne - skończyliśmy wtedy naukę zamykania szuflady i Ajki wszystko chciał pchać nosem. Kasetę też. Oczywiście kończyło się tym, że kasetka zniknęła w czeluściach magnetowidu. Igor był zdezorientowany. Patrzył z niedowierzaniem to na mnie, to na sprzęt. Jego mina mówiła: „Wow!!! Zniknęła!!! Nie ma jej! Widziałaś to? Po prostu jej nie ma! Ale sztuczka”.

Trochę czasu nam zajęło, ale teraz Igor wyciąga kasetę bez mrugnięcia okiem i bardzo często udaje mu się ją donieść prosto w moje ręce. Początkowo nieco nią rzucał o podłogę ;). 89

Niedziela, 10 lutego 2008

#### JAK BARDZO MEGI KOCHA IGORA?

Rozmowa Mamy z koleżanką:

- Magda to chyba bardzo kocha tego psa? - pyta pani Ewa.

— Jakby miała do wyboru oddać mnie albo Igora, toby pewnie oddała mnie

- mówi Mama.

— E, coś ty. Kto by jej gotował?

Sobota, 16 lutego 2008

PRAWOSKRĘTNE „NIE”

Jakoś tak się zniechęciłam do koszyków, że nie umiem do nich wrócić. Myślę, że noszenie świerconki poćwiczymy pod czujnym okiem Agi w Brzeźnicy, bo wybierzemy się tam, jak tylko będę miała trochę czasu.

Cały czas ćwiczymy wchodzenie pod stół na komendę. Już jesteśmy na etapie bez klikera, ale Igor wykonuje polecenie na raty i po każdym kroku czeka na chrupkę. Nie przejmuję się tym, bo podobnie było z zamykaniem szuflady i poprawianiem nogi. Potrzeba czasu, by wykonywał polecenie płynnie.

Od kilku dni ćwiczymy pokazywanie głową: „Nie” - to przyda nam się w pracy z dziećmi. Bardzo to się mojemu milusińskiemu podoba, bo macha głową, a chrupki wpadają do pyska. Mało wysiłku, a korzyści sporo. Jak wszystkich komend i tego uczymy się „na raty”, więc chwilowo Igor pokazuje „Nie” tylko w prawą stronę :).

Wtorek, 19 lutego 2008

PRZYMUSOWY WYPOCZYNEK

Mój kręgosłup w niedzielę wysłał do mnie jasną wiadomość — leżymy. I leżeliśmy.

Szybko musiałam dojść do siebie, bo dzisiaj miałam zajęcia, a jutro idę na koncert Grzegorza Turnauala!

Muszę pochwalić Igora, który cały wykład (1,5 godziny) przespał pod ławką, przy wózku.

Tylko raz wychylił głowę, by... powąchać prowadzącego!

W wieku piętnastu lat poszłam na operację kręgosłupa. Wstawiono mi implant zwany przeze mnie i moich bliskich breką.

Po zabiegu leżałam na OIOM-ie tak nafaszerowana różnymi dobrodziejstwami, że mniej więcej dwa dni nie miałam kontaktu z otoczeniem. Śniło mi się wówczas najpiękniejsze akwarium świata (co za kolory!), a później miś, który wewnątrz mnie opierał się o kręgosłup. Doprawdy, doświadczenia jedyne w swoim rodzaju. Na oddziale nazywano mnie panią Japroponuję, bo nie ufałam pielęgniarkom i doradzałam im, w jaki sposób mają mnie poprawiać, przewracać. Tę nazywali Docentem, bo wciąż się dopytywał o różne rzeczy. Nigdy nie zapomnę wieczoru, gdy nasz szpital miał ostry dyżur i przywieźli nam dwóch połamańców. Jeden spadł z parolotnią czy czymś takim, drugi 9 I wlaź pod auto. Byli na środkach uspokajających i przeciwbólowych, któryś żalił nam się, że koniecznie musi iść siusiu (Tata go powstrzymał, bo chciał iść do toalety na połamanych nogach). Opowiedzieli nam pół swego życiorysu, wszystko mnie później bolało ze śmiechu. Pewnie następnego dnia nie pamiętali wiele z tego, co mówili, ale jakże mi urozmaicili nudny, OIOM-owy żywot! Nie widziałam ich twarzy, ale zapamiętam ich do końca życia.

Swoją drogą, do dzisiaj nie wiem, co Rodzice zrobili, że pozwolono im siedzieć przy moim łóżku całą dobę. Pomińmy to dyplomatycznym milczeniem.

Codziennie nawiedzał nas Śpiewający Książd, niezwykle człowiek, bardzo oddany swemu powołaniu, empatyczny i pełen ciepła. Znał mnóstwo piosenek, na każdą okazję miał inną. Mamie przez sen udzielał komunii.

Gdybym tej operacji nie miała, pewnego dnia kręgosłup zgniótlby mi płuca i serce. Fakt ten oznajmił mi lekarz, zanim podjęliśmy decyzję. Bez sentymentów, prosto w oczy piętnastolatce. Bardzo doceniam jego szczerość, zawsze wolałam wiedzieć, w co gram i jaka jest stawka.

Gdybym nie złapała po operacji oddechu, do dziś mogłabym być na respiratorze. I tego wszyscy bali się najbardziej — że nie będę umiała po narkozie oddychać. A tu się okazało, że

natychmiast po zabiegu łączywie złapałam powietrze. Pani Anestezjolog była zachwycona, bo nikt do końca nie wiedział, jak to ze mną będzie. Powiedziała, że od razu widać, iż mam ogromną wolę życia.

Kręgosłup czasami się niestety buntuje — wtedy muszę poleżakować, zwolnić. Wówczas mogę poczytać zaległe książki, poleniuchować bez wyrzutów sumienia. Nauczyłam się, że czasami konieczny jest odpoczynek, by na nowo zebrać siły do codziennych obowiązków. I tak naprawdę dopiero w takich momentach czuję, że rzeczywiście jestem chora.

Poniedziałek, 25 lutego 2008

#### SLANG MOJEJ BABCI

„Piotruś nasypał Fuksiowi czipsów do gruszki, a Ajwaj mu zabrał”, czyli:

„Piotruś nasypał Fuksiowi chruppek do kongra i Ajki mu zabrał”.

Proste.

Igor reaguje na Ajwaja. Umie się chłopak dostosować.

Środa, 27 lutego 2008

#### NAJAZD

Takiej liczby ludzi w naszym mieszkaniu Igor jeszcze nie widział.

Moja wesoła rodzinka (ponad dwadzieścia osób) przyjechała do nas w sobotę. Fuksiu się ewakuował (co robi zawsze, gdy jest okazja), natomiast Igor dostał oczopląsu. Nie wiedział, czy pilnować mnie, czy kuchni (gdzie było dużo jedzenia), czy może siedzieć w dużym pokoju, gdzie też nie brakowało smakołyków.

Przylapałam Wujka Edka, gdy częstował go ciastem. CZEKOLADOWYM. Słabo mi się zrobiło i wygłosiłam mowę pod tytułem „Szkodliwy wpływ czekolady na układ nerwowy psa”.

Wujek wyraził skruchę.

Niedługo potem zauważyłam, że wrzuca wprost do pyska mojego milusińskiego 93 kabanoska. -Wujek!

— Przecież to czekoladowe nie jest — wyjaśnił mi.

Więcej jednostek niezdyscyplinowanych nie zauważyłam, a Igor w ramach dodatkowej gimnastyki zaliczył w poniedziałek jogging z dziewczynami.

Babcia pół soboty wierciła mi dziurę w brzuchu, że te chrupki Igora to takie byle co i on biedny jest głodny. Ale była dzielna i go nie dokarmiała. W niedzielę rano wstała i mi mówi:

- Czytałam tę książkę o goldenach, co dostałaś. I wiem, czemu on jest głodomorem. Bo ma długi przewód pokarmowy!

Słowo pisane ma ogromną moc.

Podczas imprezy wypróbowałam mojego dogoterapeutę - najmłodszy przedstawiciel naszej rodzinki, Nataniel, przytulał się do Igora i na nim leżał.

Ale bardziej niż tulaszki z Królewiczem podobało mu się jeżdżenie na moich kolanach (pozwoliłam mu kierować wózkiem, był zachwycony).

Igor padł w połowie rodzinnego spotkania i spał na środku kuchni. Przegapił nawet wyjście gości.

Wtorek, 4 marca 2008

#### TU I TAM

Ostatnio ciągle jesteśmy w trasie.

W środę zapakowaliśmy się do auta Wujka Olka i pojechaliśmy do znanego już nam przedszkola. Ledwo co się zmieściliśmy, bo Wujek ma palio, a nas było pięcioro plus Igor, wózek elektryczny oraz dwie torby z akcesoriami i trzecia z laptopem.

Tym razem uczestniczyliśmy w spotkaniu z rodzicami dzieci niepełnosprawnych - zrobiliśmy pokaz, opowiedziałam o psach asystujących i o dogoterapii.

Igor zachowywał się bardzo grzecznie. Kiedy w sali zbierali się ludzie, on już był gotowy do ćwiczeń i rozpakowywał torbę, chociaż nikt mu nie kazał. Jedyna wpadka, jaką zaliczyliśmy, to

wyciągnięcie papuśnika spod nóg bez komendy, a nawet przy moim zdecydowanym sprzeciwie. Poza tym Królewicz robił za gwiazdę.

Spotkanie w przedszkolu było okazją, by poznali się rodzice dzieci chorych na zanik mięśni. Z tego co wiem, „mięśniaków” jest w Tychach pięcioro, łącznie ze mną. Po oficjalnej części mieliśmy czas, by porozmawiać i wymienić się do-

świadczeniami. Igor oczywiście integrował się i robił za maskotkę. Maciusiowi chciał zjeść ciastko, a ogólnie znajomość rozpoczynał, jeśli ktoś miał chrupkę.

Wypad należał do bardzo udanych. Wielu rodziców wypytywało o wpływ psa na osobę niepełnosprawną, o dogoterapię i ewentualne zajęcia. Padały też pytania o wybór rasy i szkolenie milusińskiego. Oczywiście impreza nie odbyłaby się bez ekipy wspomagającej — Wujka, Doni i Przemka. Towarzyszyła nam też Ania W., która w końcu miała okazję zobaczyć Igora w akcji.

Czwartek spędziliśmy w Katowicach. Rano byliśmy na zajęciach i zaliczyliśmy przygodę z windą. Po seminarium jechaliśmy na dół i na odpowiednim piętrze kazałam Igorowi wysiąść. W tym momencie Tata przypomniał sobie, że w gabinecie Pani Promotor zostawiliśmy kurtkę. Zamiast wcisnąć guzik, by drzwi windy się nie zamknęły i Igor wsiadł, Tata przypadkowo nacisnął taki, że stało się coś zupełnie odwrotnego - drzwi się zatrzasnęły, winda pojechała, a Igor został. Kiedy Tata po niego zbiegł, Królewicz już się przymierzał do tego, by wsiąść do windy i nas poszukać. Biedaczek, swoje przeżył.

Później pojechaliliśmy do Babci na obiad, a następnie do biblioteki na spotkanie Klubu Dobrej Książki. Tym razem przywitał nas ten mniej miły Pan Ochroniarz, ale jakoś się chyba do nas przekonał, bo obserwował, jak czekamy na Mrówkę pod palmą. Nic nam nie można było zarzucić, dwa aniołki po prostu.

Byłam dumna z mojego psa i chciałam, żeby Pan Ochroniarz sam zobaczył, jaki Igor jest wyjątkowy. Oczywiście pokarało mnie, bo kiedy przysła Mrówka i zwróciłyśmy się z prośbą, by Pan Ochroniarz nas przeprowadził tajemnymi korytarzami do odpowiedniej sali, Igor wykorzystał chwilę nieuwagi i... wyszedł z biblioteki! Stałyśmy tuż przy drzwiach, które automatycznie się otwierają. Kiedy Mrówka po niego pobiegła, bardzo się zdziwił, że jednak nigdzie się nie wybieramy, wręcz przeciwnie — zmierzamy w głąb budynku, a nie na spacer. Po tych wszystkich przygodach Blondyn padł pod stołem i przespał całą laudację oraz dyskusję. Nawet nie wstał podczas oklasków, jedynie uniósł łeb. Cóż to z psem robi chroniczny brak snu. Bałam się tylko, że będzie szczeakał, bo coś mu się śniło i machał łapkami.

Kiedy spotkanie się skończyło, wiele osób podchodziło, by zobaczyć Igora, przywitać się z nami, wypytać. Królewicz siadał, podawał łapkę i wypinał pierś. Jedna z pań oświadczyła, że Igor powinien zostać doktorem habilitowanym.

-Ja mu dam profesurę! — oświadczył na to Boss, czyli Profesor Kisiel.

Po KDK razem z Mrówką i Anią od Poetyki ruszyłyśmy na piechotę do mojej przyjaciółki Kasi, która chwilowo i od niedawna mieszka blisko biblioteki. Mrówka się zziąjała, ale dzielnie targała mnie pod górkę. A najlepsze jest to, że jej się podobało :).

U Kasi pod blokiem powitała nas Nora-jej nowofundland. Cały dzień opowiadałam Igorowi, że wieczorem odwiedzimy psią koleżankę, a on tę koleżankę zignorował — ba! — on jej się bał i nie chciał z nią wsiąść do windy. W mieszkaniu Kasi trzymał się od niej z daleka i nie w głowie mu były harce.

Sądzę, że mój pies brzydko sobie o mnie pomyślał, gdy w piątek rano obudziłam go i padło słowo: „Jedziemy”. Tym razem zaliczyliśmy obronę pracy doktorskiej. Był na niej obecny arcybiskup Zimoń i kiedy zobaczył Igora, zapytał ze zdziwieniem:

- To psy tu też będą?

Po wyjaśnieniu mu, o co chodzi, zaakceptował Igora, a nawet uważał, by go nie obudzić :). W trakcie obrony mój milusiński stwierdził, że jakoś dawno nie ćwiczyliśmy. Podał mi więc smycz od telefonu, która zwisała mi z kolan. Widziałam, że zaraz coś wykombinuje i nie myli



łam się - wstał i wachał leżące obok nas kwiatki. Modliłam się, by nie zechciał mi ich podać.

Syknęłam

na niego, kazałam siadać, położyć się i zachowywać grzecznie. Postanowił więc poświęcić ten czas na spanie.

W sobotę darowałam sobie imprezę rodzinną i odpoczywaliśmy. Odwiedziliśmy też Krzyśka i Igor miał możliwość obcowania ze świnką morską. Natomiast w niedzielę ruszyliśmy do mojej kuzynki Moni na urodziny.

Uffffffffffff. To był szalony tydzień. Żeby Igor nie wypadł z rytmu, dziewczyny zabrały go dzisiaj na dwugodzinny spacer. Wrócił, podał mi leki, wyciągnął piżamę i padł.

Środa, 5 marca 2008

TO SIĘ KIEDYŚ MUSIAŁO STAĆ

Igor w trakcie wykładu wstał, wylazł z ławki i stanął obok Profesora. Sala ryknęła śmiechem, mnie oblał rumieniec, a Profesor rzekł:

- Niech się pani nie martwi. Rano jechałem w windzie z suczką i on ją na pewno czuje.

A mnie się wydaje, że było mu za ciepło - na wydziale mamy remont i wszystkie okna są szczelnie zamknięte.

W radiu był grzeczny. Na szczęście.

Tym profesorem był profesor Szymutko, który niestety już nie żyje. Dobrze, że akurat na niego trafiło - ktoś inny mógłby poczuć się urażony. Tymczasem on — jak zwykle — wszystko obrócił w żart.

Do nauczycieli miałam niezwykle szczęście — dzięki nim jestem dzisiaj w takim, a nie innym punkcie mojego życia. Wspierali mnie, dopingowali, wierzyli we mnie, zachęcali do działania. A niektórzy z nich ogromnie na mnie wpłynęli, bo... traktowali mnie jak innych uczniów. Wi ększej przysługi nie mogli mi oddać. Szybko nauczyli się, że jestem po prostu Magdą, wesołą dziewczynką, później nastolatką. Przekonali się, że moja niepełnosprawność nie robi ze mnie omnibusa, że bywam nieprzygotowana albo gadam na lekcji (oj, to się zdarzało często).

Doskonale pamiętam smak trójki z rosyjskiego podczas pierwszych lekcji w liceum i stan za łamania po otrzymaniu jedynki z chemii. Wydawało mi się wówczas, że na chemii kończy się świat.

Tylko raz nauczyciel nie wiedział, jak się wobec mnie zachować. Wysłałam koledze ściągę, a on ją przechwycił. Zapytał, kto ją napisał. To się przyznałam. Zamurowało go.

-Ty, Kulus?

-Ja.

-Aha.

I tyle. Bardzo byłam zawiedziona, że nie wstawił mi uwagi.

Czwartek, 6 marca 2008

ACZKOLWIEK

We wtorek gościliśmy w programie Sprawni niepełnosprawni w Radiu eM. Musieliśmy się tam wspinać po schodach, ale towarzyszył nam Krzysiek, panowie z radia pomogli, nie było problemu. Zostaliśmy bardzo miło przyjęci i oprowadzeni.

Bardzo żałuję, że nie jestem radiowcem :D.

Igor podczas audycji spał, obyło się bez wpadek i sympatycznie spędziliśmy czas z panem Łukaszem.

Dzięki audycji dowiedziałam się też, jakie bym miała przezwisko jako nauczycielka - zapewne zostałabym panią Aczkolwiek. Zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak tego słowa nadu żywam! :P

Piątek, 7 marca 2008

NAUKA NIE POSZŁA W LAS

W tym tygodniu po raz pierwszy ze środowych zajęć odbierali nas klerycy z katowickiego seminarium. Jest to zasługa mojego kolegi Tomka, który zorganizował tam grupę ochotników.

Co tydzień będziemy jeździć do domu z dwoma młodymi mężczyznami - za każdym razem z innymi.

W trakcie wykładu namalowałam plan autobusu — gdzie mam stacja, gdzie Igor, a gdzie oni. Musiałam im przecież zrobić szybkie szkolenie, zanim dojdziemy do przystanku. Okazało się, że Tomek już nieco ich zaznajomił z tematem — wiedzieli, że nie mam siły, że trzeba uważać na głowę i trzymać mnie mocno w autobusie. Mateusz i Olgierd okazali się pojętni i do domu dotarłam cała i zdrowa.

Obawiałam się, jak będzie zachowywał się w autobusie Igor - dotychczas jeździliśmy tylko z Krzyśkiem. Ale zupełnie niepotrzebnie - po wejściu Królewicz zajął swoje miejsce przy wózku, na komendę usiadł, a potem z nudów nawet się położył.

Nauka nie poszła w las. Brawa dla Krzyśka, cierpliwego nauczyciela.

Czwartek, 13 marca 2008

## NASZE MAŁE SUKCESY

### SUKCES NR 1

Codziennie wieczorem zrzucam na podłogę różne rzeczy, by Igor je pozbiarał. Jest to jedno z naszych ćwiczeń. Od jakiegoś czasu daję mu nagrodę dopiero, gdy wybiera wszystko. We wtorek bardzo się spieszyłam do szkoły i rozsypałam kosmetyki. Rodziców nie było, a mnie skończyły się chrupki. Poprosiłam Igora o pomoc, dopingowałam go głosem i... wszystko mi przyniósł! Byłam z niego dumna. To taki mały przełom w naszej przyjaźni.

### SUKCES NR 2

Wczoraj wieczorem podczas zabawy z Igorem opadła mi głowa. Nie miałam na szyi tasiemki, bo Tata siedział w kuchni. Mogłam go zawołać, ale nie chciałam mu przeszkadzać. Dotknęłam ręką brzegu koszulki od piżamy i powiedziałam komendę. Ku mojemu zdziwieniu Igor od razu zareagował i pociągnął mnie właśnie za górę od piżamy, aż złapałam równowagę. Ogromnie się w to zaangażował, odrzucił gdzieś na bok piłeczkę, którą się bawiliśmy. Do tej pory myślałam, że podnoszenie głowy to dla niego superzabawa w ciągnięcie tasiemki, a tu się okazało, że on jakoś tam po swojemu obejmuje tę sytuację całościowo. Przyznam szczerze, że mnie wzruszył!). Mój kochany psiur.

Czwartek, 13 marca 2008

## FACIO

Na uczelni Mrówka zabiera Igora do toalety, by się napił ze swojej turystycznej miseczki.

Ostatnio wchodzi, a dziewczyny mówią z oburzeniem: - Igor! To babskie WC!

Czwartek, 13 marca 2008

## U FRYZJERA

Już dawno chciałam przebić sobie uszy, ale ciągle nie miałam czasu, by wybrać się do kosmetyczki. Wyczałam jednak, że niedaleko mojej uczelni jest zakład fryzjerski, w którym taki zabieg wykonują. Namówiłam Mrówkę i skoczyłyśmy tam przed wykładem.

Obawiałam się, że nie wpuszczą nas z Igorem, bo w końcu klientki mogłyby mieć coś przeciwko temu, ale obyło się bez problemów. Królewicz powąchał najbliższe stojące kosmetyki, a później gapił się w lustro. Przyszliśmy bez chrupek :D.

Tym samym Igor ma za sobą pierwszą wizytę u fryzjera, a ja się cieszę z cudnych, antyalergicznych koleczyków.

Kiedyś, dawno temu Mama mi powiedziała, że jeśli chcę się malować, to mam się tego nauczyć. Oczywiście było to genialne posunięcie — do dzisiaj najlepszą rehabilitację mam przy zabiegach kosmetycznych. Często ludzie pytają, kto mi robił makijaż. Trudno im uwierzyć, że ktoś, kto ledwo co potrafi podrapać się po nosie, umie nakładać podkład i cienie.

A ja bez makijażu czuję się dziwnie i nieswojo, uwielbiam pomalowane paznokcie, co jakiś czas robię sobie w wannie wielogodzinne SPA. Nic mnie tak nie motywuje do ćwiczeń jak świadomość, że mogę zostać pozbawiona możliwości dbania o siebie.

Czwartek, 20 marca 2008

## AKCJA „DROŻDŻÓWKI”

Dzisiaj na uczelni ktoś postawił na podłodze pojemnik z drożdżówkami. Igor... Ha! I tu niespodzianka, bo Igor ich nie zjadł, tylko powąchał. Wracaliśmy tą samą drogą i wystarczyła komenda: „Nie”, by Blondyn smakołyki ominął.

Trochę się martwiłam, czy nie jest chory, ale wolę wierzyć, że jest po prostu grzeczny.

Czwartek, 20 marca 2008

## ZEŻARŁ BABECZKI

Tym razem to nie Igor.

Babeczki były super, do święconki. Dostałam je elegancko zapakowane. Postawiłam na biurku i przypomniało mi się o nich wieczorem, gdy myłam zęby. Niestety, za późno - Fuksiu wykorzystał sam na sam z babeczkami i je pożarł. Czyn się wydał, bo przestępcy przykleiła się do brody torebka.

Nie mam pewności, że Igor nie uczestniczył w uczcie, ale wyglądał niewinnie.

Piątek, 21 marca 2008

## WIOSENNIE

Tydzień temu w sobotę po raz pierwszy w tym roku pojechaliśmy na wieś.

Oczywiście nasze auto wyglądało jak samochód z reklamy Ikei — wypełnione po brzegi. Igor był bardzo podekscytowany wyprawą. Gdy wysiedliśmy na Ru-ince i Mama rzuciła mu patyk, to z tych emocji dobił do otwartych drzwiczek samochodowych tak, że się zamknęły.

Ruinka nieco nam podupała przez zimę — przepaliły się żarówki, zepsuła się pralka i hydrofor. Tata miał więc co robić. A my z Igorem, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, obejrzelśmy film. To był film o miłości i chyba trochę go nudził. Blondyn lubi, gdy w telewizji pokazują pieski albo kolorowe czołówki seriali. Czasami wzruszają go rżące konie. Nic poza tym.

Poza tym przeczytałam całą książkę — jakoś czas mi się tam „rozciąga” i lepiej z niego korzystam. Wieczorem skoczyliśmy jeszcze z Fuksiem i Igorem na spacer — sami! Księżyc świecił, gwiazdy mrugały i ogólnie było bajecznie.

W niedzielę na przechadzkę zabrał nas Tata. Poszliśmy w pola - to jest to, co Igor lubi najbardziej. W Tychach jest park, las, ale on kocha nieograniczoną przestrzeń. Śmigał jak strzała. Fuksia też puściliśmy i nawet nie pogonił żadnego rowerzysty. Na koniec Igor znalazł strumyk, wykapał się i wytarzał w ziemi. Wyglądał jak pies podwórkowy, był czarny, a do łap przyczepiły mu się osty, które musieliśmy mu wycinać. Fuks nie chciał być gorszy, wpakował się do wody, ale szybciotko z niej wyszedł.

SAMI — to sfowo pojawia się na bfogu bardzo często. 80 dzięki fgorowi na nowo posmakowałam samodzielności.

Pierwszy używany wózek elektryczny dostałam, gdy byłam stosunkowo małaletnia (w czwartej, może piątej klasie). Od Holendrów, zresztą bardzo sympatycznych.

Tych Holendrów skombinował mi kolega, Piotrek. Poznaliśmy się na obozie - ja miałam siedem lat, a on właśnie kończył seminarium... To nie przeszkodziło nam się zaprzyjaźnić, wariować na obozowych dyskotekach i balach. To Piotrek, gdy razem z Rodzicami odwiedzaliśmy go na parafii, jako pierwszy puszczał mi kawałki Starego Dobrego Małżeństwa.

Wózek był ogromny, o wiele za duży jak na moje gabaryty. Ale to nie przesłoniło mojej radości - oto otwierał się przede mną świat. Nie dało się mnie upilnować, łąziłam z dziećmi po tyskich osiedlach, w wakacje całe dni spędzałam poza domem. Na wsi, podczas pobytów u babci, zakopywałam się w polnych ścieżkach i w ogóle miałam więcej szczęścia niż rozumu. Bywało, że dzieciaki wspólnymi siłami wypychały mnie z jakiegoś piachu czy pola ziemniaków. Emocji nie brakowało.

Mój pech polegał na tym, że wszyscy mnie znali, więc jeśli tylko coś wykombinowałam, to natychmiast donoszono o tym Mamie (najczęściej wiadomości takie docierały do domu wcześniejszej niż ja).

W wyprawach i zabawach z rówieśnikami towarzyszyła mi moja piękna szczu-rzyca - Pestka. Potrafiła z podłogi wspiąć się na wózek, bywało, że ze mną spała (w nogach łóżka stawialiśmy jej otwartą klatkę, gdyby chciała się załatwić). Była naprawdę mądrym zwierzęciem, niestety — zachorowała na raka i musieliśmy ją uspić (dokładnie w Dzień Dziecka, który od tamtej pory zawsze niesie ze sobą to smutne wspomnienie).

Po operacji nieco przystopowałam. Osłabłam, bałam się, że podczas spacerów opadnie mi g łowa, ręka. Unikałam samotnych wypraw, a jeśli już miałam na nie ochotę, to Rodzice patrzyli na nie mało przychylnym okiem. Gdy zjawił się Igor, a później zakupiłam nowy, solidny, stabilny i zwrotny wózek, znowu zaczęłam się wypuszczać sama. Zaowocowało to tym, że - jak już pisałam - podjęłam decyzję o samodzielnych wyprawach do pracy. Po moim mieście poruszam się całkiem swobodnie, zwłaszcza gdy sprzyja aura - nie jest za zimno i nie ogranicza mnie śnieg.

Kiedyś jeden ze znajomych powiedział mi, że to niewiarygodne - im mniej mam sił, tym bardziej staję się samodzielna. I rzeczywiście coś w tym jest.

Sobota, 29 marca 2008

#### ROZRYWANY

Dzisiaj dzwoni do mnie Szymon.

- Jesteś w domu? — pyta.

-Jestem - mówię. Właśnie siedziałam nad Szekspirem. -A Igor jest?

- Nie ma.

-Jak to nie ma? - oburzył się Szymon. - Chciałem go zabrać na spacer.

- Poszedł biegać z dziewczynami - informuję.

- Uhm... No nic, to w przyszłym tygodniu po niego wpadnę.

Niedługo mój pies będzie miał więcej propozycji towarzyskich niż ja. Taki jest rozrywany.

Środa, 2 kwietnia 2008

#### WIOSNA NA WSI

Trudno w to uwierzyć, ale pojechaliśmy na wieś i byta pogoda!

Tata wykorzysta! to i zrobił porządki w ogródku. Zasadziliśmy nowego orzecha. Ja zaś miałam okazję sprawdzić, jak Igor radzi sobie w terenie. Na naszym podwórku zachowywał się całkiem w porządku - chodził przy wózku, podawał mi telefon, a nawet zakładkę z książki, którą mi wywiał. Tylko patyki z trudem od niego wydobywałam. Na spacerach też było nieźle.

Czasami, gdy idzie przy mnie, to różne zapaszki ściągają go w bok, ale to chyba zależy od dnia.

Wszystko było super do momentu, gdy Blondyn podczas galopu natknął się w rowie na kury.

Nie dały się pooglądać i uciekły w popłochu, a Ajki pobiegł za nimi na czyjeś podwórko. Mama rzuciła rower i jęczała mi nad uchem:

— Zawołaj go, zawołaj go!

Już po wszystkim zapytałam, czemu za nim nie pobiegła.

- Bo bałam się, że wyskoczy na nas baba z widłami - oświadczyła.

Wizyta Igora na obcym podwórku wywołała poruszenie wśród ptactwa. Królewicz obleciał je dookoła i z pewnym żalem dał się odwołać. Byłam pewna, że takiej rozrywki nie odpuści, a

jednak jakoś się opanował. Tak czy siak - potrzebujemy miłej kury do dyspozycji, by Ajki mógł pooglądać, co to za stwór.

Niech już ta wiosna się rozhula...

Niedziela, 6 kwietnia 2008

#### „KAWIARENKA DZIADKA BENKA' - CZYLI IGOR CHCE SIĘ WYSPAĆ

Długo się zbierałam, by opisać najbardziej pechowy w naszej dotychczasowej karierze dzień.

Musiałam odreagować. Był tak okropny, że kiedy poszłam spać, to wciąż śnił mi się od nowa.

1 kwietnia — to ta data.

W nocy przyjechaliśmy ze wsi i od rana byliśmy na nogach, bo cała rodzinka miała

zaplanowane jakieś ważne spotkania. My z Igorem jechaliśmy na uczelnię, mieliśmy spotkać się

z Elą, a później (między spotkaniem a wykładem) nagrać minutkę dla TVP3 do programu dla dzieci pt. Kawiarenka Dziadka Benka. Bohaterem tego odcinka był Jacek — instruktor, znawca psiaków i nasz dobry znajomy z Alteri oraz jego sunia Irda. Byłam spokojna, w końcu już kilka razy prezentowaliśmy się z Igorem, byli też u nas panowie z TV Silesia, więc nic nam nie było straszne.

Pech zaczął się już od świtu, bo okazało się, że przez to łązenie po polach opaliłam się jak Apacz. Co roku wiosenne słońce zaskakuje Megi i co roku jestem czerwona jak buraczek, ewentualnie różowiotka niczym świnka. Tym razem była to czerwień plus biały pasek na czole, bo na wsi spacerowałam w opasce. Nie muszę mówić, że wkurzyło mnie to okropnie.

Pudrowanie nie dało efektu.

Ale to było nic w porównaniu z tym, że w Katowicach zapomniałam wyciągnąć z samochodu kurtkę i Tata wrócił z nią do domu. W wyniku tego podczas nagrania biegałam po dworze w samej bluzce - wyglądałam idiotycznie. Apacz lansujący lato przed Biblioteką Śląską — to byłam ja.

Moje rozdrażnienie zmierzające ku załamaniu pogłębiło się, gdy zobaczyłam, co Igor wyprawia przed kamerą. Niestety, kręciliśmy w miejscu, gdzie były patyki, tłumy ludzi i pełno psów.

Królewicz więc:

— załatwiał się,

— szukał patyków,

— biegał sobie po krzakach, -gapił się na psy.

Nie reagował na żadne komendy, przeszedł samego siebie. Ilekroć przywołałam go do porządku, coś go rozpraszało i było po pracy. Koszmar. Postanowiłam więc, że wracamy na wydział, bo tam Igor mi pomaga, tam z nim ćwiczę, więc nie będzie problemu.

Mój optymizm wisiał na włosku, ale liczyłam, że teraz pokażemy, co potrafimy. Tymczasem Igor podał mi telefon i zasnął! I!! I

Jestem pełna podziwu dla ekipy telewizyjnej, bo ja na ich miejscu wyszłabym z siebie. Oni jednak zachowali stoicki spokój, w przeciwieństwie do mnie. Co więcej — pięknie zmontowali te momenty, gdy Igorowi udało się coś pokazać - widziałam, bo program leciał w sobotę rano. Oczywiście nie muszę pisać, że Igor spał na wykładzie jak zabity. Potem czekała nas podróż do domu i spotkanie z Monią. Dopiero wieczorem mogłam na spokojnie zastanowić się, co było przyczyną jego zachowania.

Odpowiedź jest prosta — na wsi albo pracowaliśmy, albo się bawiliśmy, albo spacerowaliśmy. Igor był totalnie niedospany. Z poniedziałku na wtorek spał tyle, ile ja - około 6 godzin. Na wydziale trwał remont, chodzili robotnicy, przewozili różne rzeczy, więc na spanie nie miał szans. Był po prostu wykończony.

Tylko jeżeli on nie wytrzymuje takiego tempa życia, to jak wytrzymuję je ja?

Wtedy byłam naprawdę załamana. Odebrałam to jako osobistą porażkę. Dzisiaj wiem, że Igor nie jest robotem.

Pani Promotor mniej więcej co dwa tygodnie wysyłała mi maila z prośbą, bym odpoczywała, bo w życiu najważniejsze jest życie. I ja sobie o tym przypomiinałam, gdy coś mi wysiadało i musiałam leżeć. Wtedy postanawiałam zwolnić, robiłam sobie nowy plan dnia i w ogóle pokorniałam. Jednak później wracałam do dawnego rytmu, bo tak trudno mi było z czegoś zrezygnować — z uczelni, z pisania, ze spotkań czy spacerów. Tak już mam, że co chwilę w moim życiu pojawia się jakaś kusząca propozycja — to organizacja warsztatów, to możliwość współpracy na polu redaktorskim lub pisarskim, innym razem udział w filmie dokumentalnym, jakieś imprezy, spektakle, koncerty, na których -wiadomo — muszę być.

Słowa Pani Promotor w pełni zrozumiałam, gdy na początku 2011 roku poważnie zachorowałam. Zakrzepica zmusiła mnie do leżenia przez wiele tygodni i pozwoliła w pełni docenić wartość życia. Jednak ani przez chwilę nie żałowałam, że prowadziłam taki tryb życia, jaki prowadziłam. Już taka jestem - żądna czynu i coraz to nowych wrażeń.

W chwili obecnej nie mam już tak napiętego planu dnia - wciąż zdrowieję i muszę uważać, by nie siedzieć zbyt długo. Jest to niezwykle trudne dla kogoś, kto kocha ruch i ciągłą „zmianę dekoracji”. Mierzę siły na zamiary i nie porywam się na dalekie wyprawy ani wielogodzinne szkolenia. Na szczęście nauczyłam się pisać na leżąco i dzięki temu nie marnuję ani minutki.

Poniedziałek, 7 kwietnia 2008

#### ZMAGANIA

Żeby nie było — wiosna nas nie rozleniwiła. Mały raport z naszych zmagania.

#### PODNOSENIE GŁOWY BEZ TASIEMKI

Tak mi się to spodobało, że ciągle odzrzucam głowę, a Ajki ją podnosi. Nasz zapal ostudziły dopiero dwie podarte bluzki.

#### PIŻAMA

Codziennie wyciągamy z szafy piżamę. Początkowo bardzo długo to trwało, bo Igor dawał mi ją na raty (jedna nogawka, druga itd.), ale mamy coraz lepszy czas. Nawet gdy jest wciśnięta głęboko i ja jej nie widzę, Igor kopie, aż znajdzie.

#### DRZWI

Myślałam, że nie potrzebuję, by Królewicz otwierał drzwi, bo zazwyczaj jestem z kimś. Ale jeżeli ktoś mnie wiezie, to Ajki mógłby je otwierać. W domu nie mogliśmy tego ćwiczyć, ale na Ruince - owszem, tam mamy odpowiednie drzwi. Na początek ćwiczymy zamykanie.

#### ŚWIATŁO

Na Ruince mam nisko kontakty i tam Igor na komendę: „Klik” gasi światło pyskiem. Jeszcze nie jest perfekcyjnie, ale idzie nam coraz lepiej. Postanowiłam, że nauczę go zapalać światło u mnie w pokoju w Tychach (kontakt mam w takiej drewnianej obudowie, zobaczymy, czy się nam uda tego nie zniszczyć).

#### DOMOWY TELEFON

Zazwyczaj nie mogłam odebrać domowego telefonu, bo stał na ładowarce za monitorem.

Przestawiliśmy go na półeczkę za łóżko i od tygodnia ćwiczymy

z Igorem podawanie słuchawki. Na razie jeszcze mu klikam, ale on już dobrze wie, o co chodzi. Poza tym podarliśmy dwie pary spodni, bo Ajki poprawiał mi nogę, na której miałam założony ciężki but :D. Ale cóż, nauka wymaga wyrzeczeń.

Długo się zbieraliśmy, by zrobić w naszym mieszkaniu remont. Wielu ludzi dziwiło się, że tyle lat funkcjonowaliśmy w przestrzeni mało dostosowanej do potrzeb osoby niepełnosprawnej.

My natomiast nie mieliśmy po prostu na to czasu, walczyliśmy ze szkołą, pracą, z codziennością.

Do małej, ciasnej łazienki wjeżdżałam przez próg, wejście do mieszkania też pozostawiało wiele do życzenia. W kuchni musiałam stać w drzwiach, dalej nie wjechałam.

W końcu w 2009 roku podjęliśmy decyzję, że czas na gruntowne zmiany. Remont trwał prawie dwa miesiące, ale — jak się okazało — był zrobiony w ostatnim momencie, bo wówczas zachorował Tata. Musieliśmy zaopatrzyć się w podnośniki, bo noszenie mnie nie wchodziło już w grę. Jezdny wymagał odpowiedniego podłoża, a łazienkowy — przestrzeni. Dzisiaj nie wyobrażamy sobie bez nich życia. Zlikwidowaliśmy progi, wstawiliśmy szerokie futryny, obniżyliśmy kontakty, więc Igor bez problemu gasi i zapala światło.

Część remontu dofinansował nam Państwowy Fundusz Osób Niepełnosprawnych, podnośnik jezdny dostałam z mojej ówczesnej firmy, a na resztę wzięliśmy kredyty. Zawsze miałam niechęć do wydawania pieniędzy na dobra materialne, wolę inwestować w książki i podróże, ale tym razem było warto.

Czwartek, 10 kwietnia 2008

#### WYPRAWY W NIEZNANE

Coraz cieplej i milej - chodzimy więc na spacer. Ostatnio odkrywamy nowe miejsca.

W piątek Artur zabrał nas na dziką plażę, z drugiej strony jeziora. Nigdy tam nie byłam, chociaż mieszkam tu od dwudziestu pięciu lat. Igor był w swoim żywiole - z jednej strony las, z drugiej

jezioro, szuwary i błotko. Nie pozwalałam mu się kąpać, bo miał ubrany kubraczek, a poza tym na wsi sobie popływał. Wystarczyło jednak, że zagadałam się z Arturem, a Blondyn już brodził w wodzie. Ukoronowaniem tego przyjemnego popołudnia było wytarzanie się w ziemi. Igor był CZARNY. Nawet na wsi tak się nie ubrudził. Po drodze do domu spotkał Średnika i szaleńczo sobie galopowali. Ludzie przystawali, by obejrzyć dwa zwariowane psiaki.

II 2

Stwierdziłam, że tak być nie może i samowolnym kąpielom mówimy NIE. Tym bardziej, że Królewicza nie interesuje pływanie w jeziorze, a tylko i wyłącznie taplanie się w błotnych szuwarach.

Następnego dnia na spacer zabrały nas nasze dobre duszki - Natalia i Kinga. Plan przewidywał, że idziemy lasem na polankę pod kościół. Ale źle skręciłyśmy i poszłyśmy w głąb lasu. Czulałam się tak, jakby mnie przeniesiono w czasy pierwszych Słowian - wkoło drzewka, chaszczki i śpiewające ptaszki. Oczywiście natknęłyśmy się też na odpowiednio zamulony (jak na wymagania Igora) staw, ale wyczułam, że sprawa zrobiła się poważna i naprawdę źle się to skończy, jeśli do niego wejdzie. Tylko Natalia wiedziała, gdzie jesteśmy, i co chwilę mówiła: -Za jakieś dziesięć minut dojdziemy do zameczku.

W końcu do niego dotarłyśmy.

— Czy jest tu jakieś wyjście, by znaleźć się nad jeziorem? — zapytałam ochroniarza.

Okazało się, że nie ma. Potem jednak ochroniarz stwierdził, że jest, ale zamknięte. Dał się namówić, by je otworzyć.

— To jak panie pospacerują, to proszę mnie zawołać — rzekł.

— My nie chcemy spacerować — szepnęła za mną Natalia. — My chcemy do domu!

I tym sposobem byliśmy chyba jedynymi gośćmi, którzy nie podziwiali zameczku, zwierzątek i okolicy, a jedynie przemknęli, by czym prędzej znaleźć się na odpowiednim szlaku. Istniało duże prawdopodobieństwo, że w lesie zastanie nas zmrok i widok naszego ukochanego jeziora przyjęłyśmy z ulgą. Ale tu się okazało, że znowu źle skręciłyśmy i wpakowałyśmy się w wąską i błotną || 3 dróżkę, w której mój wózek po prostu się zatapiał. Dziewczyny były bardzo dzielne i dały z siebie wszystko, by jakoś wydostać się na normalną drogę.

Igor oczywiście zagapiał się na jezioro, ale nie uległ pokusie. Pod koniec wyprawy minę miał niewyraźną - obliczyłyśmy, że przeszłyśmy prawie dziesięć kilometrów!

Moim wielkim szczęściem jest to, że mieszkam w fantastycznym miejscu. Nad jezioro i do parku mam dosłownie pięć minut, a do lasu nie dalej. I bynajmniej moje osiedle nie jest na końcu świata, chociaż na końcu miasta. Składa się z niskich bloków i domków jednorodzinnych. Dużo tu zieleni, dużo przestrzeni, ale równie wiele sklepików, w których oczywiście można zebrać wszystkie plotki. Większość mieszkańców się zna — jeśli nie osobiście, to z widzenia. Najbardziej atrakcyjne jest jezioro - chociaż zazwyczaj nie nadaje się do kąpieli. Kiedy byłam mała, spacerowałam po jego dnie, bo w ramach czyszczenia spuszczano wodę. Po tym czyszczeniu jakiś czas dało się w nim zanurzać i w wakacje codziennie rano ruszaliśmy z Tata na wielkie pływanie, obładowani niczym wielbłądy. Zabieraliśmy ze sobą sporo rzeczy, bo te wakacyjne kąpiele to był rytuał. Mieliśmy krzeselko dla Ojca, jakieś jedzonko, radio. Wstydziałam się okropnie, bo Tata chodził w afrykańskiej czapce. Dzisiaj bym się nią zachwycała, ale wtedy byłam w wieku, w którym dba się o opinię. Każdego dnia więc modliłam się, byśmy nie spotkali nikogo znajomego, a to było praktycznie niemożliwe. Woda stanowiła mój żywioł, bo mogłam w niej chodzić. Dawała mi wolność i smak tego, jak to jest, gdy ciało może się swobodnie przemieszczać. Brzydził mnie muł i wodne zielsko, zakładałam więc plastikowe sandały. Potrafiłam tak brodzić godzinami, tuż przy brzegu. Zahartowałam się do tego stopnia, że bez problemu wytrzymałam kąpiele w górskich rzekach. Tata błagał mnie:

— Madziu, wyjdźmy już!

A ja naprawdę rzadko miałam dość.

Najzabawniej było na wczasach w Górkach - my z Ojcem cały czas w wodzie, a Mama na leżaku. Tylko ten leżak okazał się felerny i... składał się razem z Mamą. Co jakiś czas z brzegu dochodziło więc nawoływanie:

— Piotrek! Piotrek! Wyciągnij mnie, bo znowu w nim utknęłam! Piotrek, no wylaż z tej wody! Na tych samych wczasach spaliłam sobie skarpetkę na ognisku, ale to już zupełnie inna historia.  
Poniedziałek, 14 kwietnia 2008

#### SZAFA

Wczoraj Mama zawiesiła nam na szafie tasiemki i ćwiczymy jej otwieranie oraz zamykanie. Dzięki temu nie muszę nikogo wołać, by wybrać ubranie. Czemu ja na to nie wpadłam wcześniej?  
Poniedziałek, 14 kwietnia 2008

#### PLYWANIE KONTROLOWANE

W piątek po raz pierwszy tej wiosny ruszyłam nad jezioro elektrykiem. Po-I 15 stanowiąc, że ładną pogodę muszę wykorzystywać na ćwiczenia z Igorem w plenerze - kiedy jest ciepło, mogę się w miarę swobodnie (jak na moje możliwości) ruszać. Uzbrojona w parówkę zabrałam się do ćwiczenia przywołania i aportu. Towarzyszyła nam Natalia i nasz sąsiad - Kuba vel Dino. Wiedziałam, że-Igor nie może się znowu wykapać, ale w pewnym momencie patyk wleciał nam do jeziora, a Blondyn za nim. Przyniósł go bardzo zadowolony, jednak wcześniej ochlapał całą naszą trójkę. W tym miejscu nie było bajorka, woda czysta, więc stwierdziłam, że zrobimy aport z jeziora. Zabawa była przednia, a do tego same plusy:

- Igor pływał i spalał naszą ćwiczebną parówkę,

— miał świetną rozrywkę,

-ćwiczył przywołanie i aport w wyjątkowych okolicznościach (ludzie, kaczki, otwarta przestrzeń).

Efekty były rewelacyjne, odżałowałam nawet ubrudzone mokrymi patykami spodnie.

Piątek, 18 kwietnia 2008

#### PODAJ DOMOWY

Na półce za moim łóżkiem stoją dwie figurki, trzy pluszaki, świecznik, stos książek i ładowarka z domowym telefonem. Pisałam już, że uczę Igora przynoszenia tego telefonu. Jesteśmy już na takim etapie, że każę mu wskoczyć na kanapę i mówię tylko: „Podaj domowy”, a Ajki już wyciąga aparat z ładowarki i wciska mi go prosto do ręki.

Gorzej z szafą. Szafa ledwo żyje, bo Ajki ma za dużo siły. Poza tym jest dwuskrzydłowa i biedak nigdy nie wie, który sznurek ciągnąć w którą stronę. Od dzisiaj ćwiczymy jedno skrzydło i jak mu się utrwali, to przejdziemy do drugiego. Niedługo pewnie zamieszczę na blogu ogłoszenie: „Szafę z drzwiami chętnie przyjmę”.

Zupełnie nie potrafię zaktywizować Królewicza na seminarium ze studentami. Śpi jak zabity. Długopisy spadają, kartki lecą, a on śpi. Tak sobie zakodował, iż ma nie przeszkadzać na zajęciach, że nic go nie rusza. Dzisiaj przeczłogał się do picia, bo mu się nie chciało wstać.

Sobota, 19 kwietnia 2008

#### PODBIJAMY TYCHY

Nadszedł najwyższy czas, by napisać konspekt pracy doktorskiej. Musiałam więc wybrać się do biblioteki. Nie miałam czasu i możliwości, by jechać do Katowic, postanowiłam odwiedzić główną bibliotekę w Tychach.

I 16

Wcześniej zadzwoniłam, by zapytać się, czy możemy tam się pojawić z Igorem. Pani z czytelnii podeszła do sprawy sceptycznie. Chyba myślała, że przyjadę z jakimś szalonym, ujadającym psem, który łązi po sali i obsikuje (wybaczcie moją bezpośredniość) kwiatki. Wymieniłam miejsca, w których bywamy, i Pani się ugięła.

Przyjęto nas serdecznie. Igor ułożył się obok wózka i zostaliśmy sami, bo Tata jechał do pracy. Wszystko było pięknie do momentu, gdy Blondyna przyszła obejrzyć jakaś pracownica.

- Proszę go nie głaskać, bo mi się rozproszy - ostrzegłam.



Jednak owa kobieta skradała się do nas i cmoknęła. Igor długo wytrzymał, w końcu wstał. Pani się zmyła, a ja musiałam ustawić na nowo Królewicza. Był bardzo grzeczny, zmienił tylko stronę wózka. Kiedy w odległości kilku metrów ||7 od nas zjawiała się cmokająca grupa bibliotekarek, nawet nie drgnął. A w moim sercu zagrały fanfary :).

Tychy bardzo dobrze przyjmują psy asystujące. Odwiedziliśmy kino w City Poincie, empik, „Palisandra” i „Chatę”. Wchodzimy też do osiedlowego marketu. Miłe :).

Czwartek, 24 kwietnia 2008

KETCHUP

Jak już pisałam, w środy z zajęć odbierają nas klerycy z katowickiego seminarium. Co tydzień na wydziale zjawia się dwuosobowy zespół. Chłopcy są niezawodni, punktualni, solidni.

Przekazują sobie wzajemnie doświadczenia, bo

dotychczas za każdym razem byli inni. Jestem zaskoczona ich umiejętnościami, jeżeli chodzi o obsługę wózka. Czuję się w ich rękach naprawdę bezpiecznie.

W każdą środę katowiczanie mogą więc obserwować galop naszego malowniczego orszaku — musimy biec, by nie uciekł nam autobus. A biegniemy dosyć daleko, bo z placu Sejmu na Korfatego (dla tych, którym Katowice nie są obce).

Klerycy opowiadają mi różne historyjki z życia seminarium, tak że cały autobus wie, że Megi w nim jedzie, bo zazwyczaj uśmieję się jak norka.

Ostatnio zapytałam, czy ich dobrze karmią (dla mnie i Igora jedzenie to priorytet ;)).

- Taaaaaaaak - odpowiedział jeden z nich. I po chwili dodał: — Z ketchupem wszystko idzie zjeść.

Wtedy byłam na etapie usamodzielniania się, odciążania Taty, który wszak dobrych kilka lat woził mnie do liceum, a potem na studia. Należało mu się nieco wolnego. Kombinowałam na różne sposoby, by we własnym zakresie załatwić sobie transport na uczelnię albo przynajmniej z niej.

Zawsze staram się, by osoby, które mi pomagają, też na tym skorzystały. Na spotkania z autorami zabieram więc znajomych polonistów, do biblioteki kogoś, kto też ma tam jakąś sprawę, na zakupy kumpele, które uwielbiają buszowanie po sklepach. O klerykach pomyślałam, bo seminarium znajduje się tuż obok mojej uczelni i akurat wstąpił do niego mój kolega, Tomek. Okazało się, że to wyśmienity pomysł, bo chłopcy na co dzień nie mają możliwości dalszych wycieczek, wyprawy ze mną stanowiły więc dla nich miłe urozmaicenie. Ba, nawet były zapisy na kilka tygodni do przodu!

Oczywiście akcja ta wymagała próśb i petycji, podchodzono do mnie jak do jeża, gdyż oto w tym męskim świecie zjawiała się blondynka, niepełnosprawna blondynka z propozycją nie do odrzucenia. Nieco zaskoczyłam szanownych Przełożonych, ale w końcu udało się ich przekonać.

Klerycy, jak wojskowi, mają tysiąc historii na każdą okazję. Usłyszałam więc o koledze, który się nie mył, i współlokatorzy zaczęli zaznaczać na kalendarzu, kiedy się kąpał. Pod datą malowali chłopka pod prysznicem. I pewnego dnia delikwent zorientował się, że chodzi o niego. Dyplomatycznie więc rozwiązali ten trudny i delikatny, przynajmniej, problem.

Inny miał obsesję na punkcie ryb. Bardzo się ich bał, nie mógł na nie patrzeć, o dotykaniu nie mówiąc. Chłopcy więc zakupili mu karpia i w misce włożyli pod łóżko, by się oswoił z problemem. Samo w sobie może to nie było zabawne, ale wizja, jak upychali karpia pod kanapą, niezwykle mnie rozbawiła.

Uwielbiałam te wyprawy z nimi, nigdy się nie nudziłam, a i opiekę miałam na najwyższym poziomie.

Wtorek, 29 kwietnia 2008

KOPARKA

Opanowaliśmy do perfekcji jeżdżenie dwuosobowym matizem w trójkę (Tata, Ajki i ja). Wzbudzamy powszechne zainteresowanie wśród innych kierowców oraz pieszych. Kiedy ktoś się na nas gapi z niedowierzaniem, a później uśmiecha, Tata mówi:

— No, tak, jeszcze nie widzieli takich świrów upchniętych w puszcze.

Igor lubi wyglądać przez okno, wszystko czujnie obserwuje, ale emocji po nim nie widać żadnych. Dopiero koparka w ruchu wprawiła go w osłupienie. Postawił uszy i nie mógł oderwać od niej oczu. Widać było, że jest chętny zawrzeć z nią bliższą znajomość.

Chyba myślał, że to taki pies. Duży i kopiający.

Na moje szczęście dotychczas nie spotkaliśmy żadnej koparki na spacerze. Mieliśmy przelotny kontakt z betoniarką, ale o tym w następnej notce.

Środa, 30 kwietnia 2008

#### BEZ ZARZUTU

W zeszłym tygodniu mieliśmy urwanie głowy.

Między pracą, uczelnią i pisanem referatu znalazłam godzinę, by skoczyć z Igorem nad jezioro. Poszedł z nami Tobiasz, ale grał w kosza, a my ruszyliśmy SAMI na spacer. Było to idealne wyjście, bo ktoś znajdował się w pobliżu, ale mogłam zostać z Igorem sam na sam. Szliśmy sobie wzdłuż brzegu.

Królewicz zaskoczył mnie pod każdym względem. Kroczył idealnie przy wózku i nic go nie wzruszało. A spotkaliśmy:

— motocykl (mijał nas),

— biegące i cmokające dzieci,

— psy (obwąchał tylko dalmatyńczyka i za dwoma się oglądał, ale zignorował goldena w jeziorze),

— betoniarkę w ruchu (zero reakcji),

— i (uwaga!) DZIECI rzucające PATYKI do WODY.

Oczywiście najbardziej zaskoczył mnie w ostatnim przypadku, bo byłam pewna, że takiej potrójnej pokusie ulegnie, ale (o dziwo) nie. Wow.

Co chwilę słyszałam jakieś uwagi na temat Królewicza — jaki mądry, jak pilnuje, jak dostojnie kroczy — i pękałam z dumy. Dla równowagi - na wsi już kilka razy pytano mnie, czy ten pies ci ągnie mój wózek, ekhe, ekhe. Stąd też moja radość z odpowiedniej postawy Blondyna.

W czym tkwi sekret? W gadaniu. Nie wiem, co na to szkoleniowcy, ale Igor lubi, gdy do niego mówię. Opowiadałam mu więc o konferencji, o referacie, o naszym wyjeździe na wieś, wyliczyłam mu, kiedy się wykąpie w jeziorze i kiedy z Norwegii wróci Krzysiek, wyłuszczyłam mu parę kwestii egzystencjalnych, ale przede wszystkim zapowiadałam różne zdarzenia, np. biegące dzieci.

Może jest to jakiś sposób, może nawet całkiem niezły, ale na moją reputację 121 to dobrze nie wpłynie. Bo cóż można powiedzieć o blondynce, która gada z psem o Sienkiewiczu...

Sobota, 10 maja 2008

#### DŁUGI WEEKEND

Tym razem pojechaliśmy na Ruinkę w zmienionym składzie. Mama szła do pracy i została w domu z Latkiem. Ruszyliśmy więc w podróż z Tata, Ciocią Kasią, kuzynką Moniką i oczywiście psiakami.

Niestety, pogoda nie dopisała i Igor nie pobiegał po polach. Ćwiczyliśmy zapalanie światła, otwieranie drzwi i szukanie telefonu, a jak nie padało i mało wiało, bawiliśmy się na podwórku. Pięknie posprzątaaliśmy patyki, które Igor porozrzucił dookoła domu. Nawet nie wiecie, jak mi ło jest samemu robić porządek, bez pomocy drugiej osoby. Doskonała z nas ekipa sprzątająca :). Uwielbiam różne rzeczy układać i porządkować, niestety — mogę to robić tylko z kimś.

Komenderować. Podnieść umiem niewiele, o przełożeniu w ogóle nie ma mowy. Na studiach najbardziej męczyło mnie układanie notatek.

Wiele lat cierpiałam z tego powodu — że okien nie umyję, nie zamiotę, nie pomogę. Teraz się śmiejemy z Mamą, że gdybym była zdrowa, to pewnie ciągle byśmy się o to kłóciły. Bo mnie by się nie chciało, a ona by mi kazała.

Zapewne gdybym miała możliwości, to ostygłby mi zapał.

Sobota, 10 maja 2008

## KONFERENCJA

Podczas konferencji towarzyszył nam Artur.

Przyjechaliśmy dużo wcześniej i spotkaliśmy przesympatycznego Pana od fe-linoterapii (czyli terapii kotami). Pan okazał się też psiarzem, więc tematów mieliśmy sporo. Zainstalowaliśmy się w sali, ale okazało się, że przed nami występują tam dzieci (też w ramach festiwalu). Dookoła nas kręciły się słoneczka, żuczki, wiewiórki, baletnice, pastuszkowie i inne barwne postacie.

Igor je zignorował.

Ale te dzieci okazały się wyjątkowo żywotne, tańczyły na scenie, klaskały i tupwały. Śpiewały również. Klęska. Byłam pewna, że Igor nie wytrzyma i w końcu do nich pobiegnie albo w ogóle zacznie biegać po sali, ale on leżał przy wózku i przy klaskaniu oraz tupaniu spoglądał na mnie. Pokazywałam mu miną, że wszystko jest w porządku i naprawdę nie musi interweniować.

Wytrwał.

Później dzieci zniknęły i rozpoczęła się konferencja. Poszło jak po maśle, chociaż występowałam pierwsza.

Kiedy dokonałam analizy, uświadomiłam sobie, jak wiele między mną i Igozem się zmieniło. Już nie panikuję i nie denerwuję się, że mi wywinie jakiś numer. Rzadko tracimy ze sobą „łączność”, chociaż nadal zdarzają mi się głupawki nad jeziorem, kiedy tarza się, w czym popadnie.

Jednak Igor posiadał zdolność wyczucia powagi chwili, co udowodnił właśnie wtedy, gdy dziecięcy tłum hałasował mu nad uchem, a on leżał i łypał okiem, czy mnie też ta ekipa tak denerwuje, jak jego.

Studia polonistyczne mnie rozczarowały. Owszem, dużo czytaliśmy, ale za mało — jeśli o mnie chodzi - mieliśmy praktyk. Sama sobie takowe załatwiłam w jednym z bardziej poczytnych dzienników i nigdy bym tego nie powtórzyła. Dziennikarski stres oraz wyższe kombinatorstwo nie są dla mnie. Żałowałam bardzo, że jednak nie zostanę dziennikarzem, bo prawdę powiedziawszy, innego pomysłu nie miałam. A redakcja była dostosowana, niedaleko mojego domu.

Dopiero później zrozumiałam, jak trafne jest powiedzenie: „Nic na siłę”. To nie był ten czas i nie to miejsce, chociaż przełożeni byli ze mnie podobno zadowoleni. Dostałam referencje i podziękowałam.

Pewności w pisaniu nabrałam dopiero na studiach doktoranckich. Zaczęłam tworzyć recenzje — początkowo dla jednego z portali literackich, później dla czasopisma „Guliwer”. Ocenianie książek dla dzieci sprawia mi wielką frajdę. Pojawiły się też artykuły o literaturze dla dzieci, wystąpienia na konferencjach - a każda tego typu inicjatywa to dla mnie potwierdzenie, że oto znalazłam coś dla siebie.

Moje pisanie to wielka zasługa Pani Promotor. Skrupulatnie czytała i czyta wszystko, co jej wysyłam na maila, poprawia, daje wskazówki. Mało kto ma tak dużo cierpliwości, czasu i serca dla swoich studentów. Poza tym Pani Promotor nieustannie mnie do tego pisania mobilizuje, podsuwa pomysły, gdzie i co można opublikować. Kiedy mam uczelniany kryzys, nie pozwala mi się w nim pograżać.

Pani Profesor była promotorką mojej pracy magisterskiej, teraz pod jej czujnym okiem piszę doktorat. Jest dla mnie nie tylko wielkim autorytetem, ale też kimś niezwykle bliskim. Wiem, że zawsze mogę liczyć na jej radę (w każdej, niekoniecznie naukowej, sprawie) i na ciepłe słowo.

Wiele to dla mnie znaczy.

Poniedziałek, 19 maja 2008

## BRZEŹNICA/KRAKÓW

Tydzień temu w niedzielę razem z Krzyśkiem wybraliśmy się na wycieczkę.

Najpierw pojechaliśmy do Brzeźnicy - o świcie, ale komfortowo, bo rodzice Krzyśka zawieźli nas samochodem. Igor dał w Brzeźnicy taki popis, że głowa boli. Łaził, gdzie chciał, napawał się widokiem i towarzystwem psów, bo u Agi trwał kurs i psiaków nie brakowało. W ogóle nie słucał komend, a nawet

w pewnym momencie mnie pociągnął (był przywiązany do wózka). Porwały go emocje - inne psy ćwiczyły i bawiły się, a on miał siedzieć przy swojej pani. Wstyd i hańba. Uczestniczyliśmy w zajęciach i w wykładzie, a potem polnymi drogami ruszyliśmy do busa.

Podróż busem wszyscy będziemy długo pamiętać. Kierowca wystartował, zanim Krzysiek posadził mnie pod oknem, więc przez dobre dwadzieścia minut stojąc, trzymał mnie, bym nie spadła z siedzenia, wózek, który złożony tkwił w przejściu, i Igora. Z tego wszystkiego najmniej uciążliwy okazał się Królewicz - położył się i tyle. Cud, że nic się nie stało. Na szczęście w pewnym momencie bus się zatrzymał, Krzysiek mógł mnie poprawić i sam usiąść obok. Mam zdjęcie, jak wyglądaliśmy z Igorem po tej fantastycznej podróży, ale oszczędzę Wam tego widoku :D. Potem obyło się bez przygód — spacer po Krakowie, obwarzanki, gruzińska knajpka, Wawel i Wisła. Blondyn postanowił się poprawić i wzbudzał zachwyt wśród turystów — taki był grzeczny i dostojny. Bez problemu wpuszczono nas do restauracji, a Igor cały czas leżał pod stołem, przy wózku i W OGÓLE nie żebrał.

Wróciliśmy PKS-em, bez ekscesów. Wszyscy wykończeni.

Krzysiek szalenieć ;) jest pierwszą osobą, która wybrała się z nami SAMA tak daleko środkami komunikacji publicznej. A to nie jest łatwa sztuka.

Samodzielne podróże rozpoczęłam w wieku siedmiu lat. "Wówczas wysłano mnie na obóz ze Stowarzyszeniem na Rzecz Niepełnosprawnych SPES1". Rodzice się wahali, bo jechały tam głównie dzieci niepełnosprawne umysłowo. Nie wiedzieli, czy się wśród nich odnajdę. Trudno było też przewidzieć, jak poradzę

11) [www.spes.org.pl](http://www.spes.org.pl)

sobie sama, bez rodzicielskiego wsparcia. Po raz pierwszy mieliśmy się rozstać, i to na tak długo. Zapewniano, że będę mieć opiekunki i odpowiednie warunki. W końcu Rodzice wyrazili zgodę, zastrzegając, że codziennie będą dzwonić. Pierwszego dnia Mama zatelefonowała, gdy ćwiczyłam. Przekazano jej, że miewam się dobrze i bawię się świetnie, więc odetchnęła z ulgą. Na to Tata popukał się w głowę i stwierdził:

— Tak, oni powiedzieli, a z Magdą nie rozmawiałaś. A tamci to wszystko ci przecież mogli wcisnąć.

I w ten sposób Mama znowu wpadła w panikę, bo gadać sobie mogli, a kto wie, co w międzyczasie ze mną robili! Ale powiedziano jej prawdę — bawiłam się wyśmienicie — na tym obozie oraz na następnych, bo od tej pory jeździłam z nimi co rok. Ba, nawet jedno zimowisko zaliczyłam!

Na czele SPES-u stał młody chłopak, Grzegorz. Jako małolata chyba mu pyskowałam, trochę się go obawiałam, często działał mi na nerwy. Jeździł jak wariat — kiedyś wylądowaliśmy wraz z obozowym transporterem w rowie. Innym razem prawie wjechaliśmy w krowę. Wtedy jeden z opiekunów zaczął się na głos modlić. My z Anią — moją przyjaciółką — myślałyśmy, że po prostu się zgrywa, więc miałyśmy niezły ubaw, ale on modlił się naprawdę. Po chwili modliło się całe auto, a Grześ zrozumiał tę delikatną aluzję i zwołał.

Teraz, z perspektywy czasu, jestem dla niego pełna podziwu — że mu się chciało, że miał ciepłość, że nie bał się odpowiedzialności. A ta była ogromna — miał pod opieką kilkadziesiąt chorych dzieciaków, którymi zajmowali się wolontariusze, najczęściej studenci. We współpracy z nimi organizował program obozu, żywność, szukał odpowiedniego miejsca.

Te obozy to była dla mnie szkoła życia. Nie byłam już pępkiem świata, nie jadałam rarytasów, musiałam się dostosować do ogółu. Walczyłam więc o najbardziej popularny dżem ananasowy i chodziłam na zajęcia plastyczne. Kiedy okazało się, że miejsca do spania są tylko na piętrze budynku, który nam udostępniono, Gcie<sup>i</sup>w<sup>W</sup>K<sup>W</sup> myślowe namioty. Razem z Tatą doprowadzili do nich światło, cała ekipa uczestniczyła w robieniu drewnianych podłóg, by łatwo było jeździć wózkami. I tym sposobem zaznałam zimnych poranków i fantastycznych, głośnych od owadów nocy pod namiotowym „dachem”. Zaliczyłam pobudkę z myszą na kołdrze i straszną burzę, kiedy to myślałam, że nas z tym namiotem zwieje.

Oczywiście nie obyło się bez przygód. Kiedyś moja opiekunka pokłóciła się z Grześkiem (dziś jest jego żoną!), wzięła więc prowiant i zabrała mnie na całodniową wycieczkę. Cóż to była za wyprawa! Do dzisiaj nie wiem, gdzie byliśmy, ale wspinałyśmy się na jakąś górę i szłyśmy w zupełnym gąszczu. Spotkałyśmy po drodze malowniczą starowinkę i Beata przekonywała mnie, że to Baba Jaga. Nigdy nie zapomnę smaku jedzonych w głęsi kotletów, które na pewno 127 nie były jakimś kulinarnym cudem, ale smakowały wyśmienicie. Śpiewałyśmy piosenki grupy Pod Budą i liczyłyśmy stada żab, które wyskakiwały na drogę. Kiedy wracałyśmy, zatrzymało się przy nas auto.

- Hej, mała! — zwrócił się kierowca do Beaty, która rzeczywiście do wielkich się nie zaliczała. - Cała wieś was szuka!

Okazało się, że moja opiekunka nie opowiedziała nikomu o naszych planach. Dostało się jej, bo faktycznie wszyscy oczekiwali nas z niepokojem.

Innym razem urządzaliśmy wyścigi na wózkach i zwichnęłam sobie rękę. Telefon mieliśmy tylko na piętrze, prowadziły do niego kręte schody. Jednak chłopcy, by Rodzice niczego się nie domyślili, wnosili mnie do niego na rękach i ja, z kończyną na temblaku, potwierdzałam, że wszystko gra. Nie przeżyłabym, gdyby chcieli mnie zabrać do domu!

Ze SPES-em zwiedziłam Międzybrodzie Bialskie. W Barwałdzie mieszkaliśmy na malowniczym wzniesieniu. W gorące, letnie wieczory, już w piżamie, byłam zabierana na polanę, z której podziwialiśmy bogato oświetlone pociągi —jeździły po górze naprzeciwko. W Brennej wstawiono mnie z wózkiem do rzeki, bym moczyła sobie nogi, a jeden z kleryków — Harnaś - podnosił mnie wraz ze sprzętem, bym zrywała sobie jeżyny. W Krasiczynie mieszkaliśmy na plebanii, która jest pierwowzorem popularnego polskiego serialu pod tym tytułem.

Obozy te wiele mnie nauczyły. Obcowałam z przyszłymi pedagogami i psychologami. Chłonełam wiedzę. Chciałam, jak oni, czytać Aronsona<sup>12</sup>. Uczyłam się, co to jest autyzm i na czym polega komunikacja alternatywna oraz czym charakteryzują się dzieci z zespołem Downa. Zyskałam dużą tolerancję dla niecodziennych zachowań i ludzi innych niż wszyscy. Kiedy Rodzice przyjeżdżali w odwiedziny, bez skrepowania wyjaśniałam, czego mogą się spodziewać po moich chorych znajomych. Opiekowały się mną wspaniałe, mądre, wrażliwe dziewczyny i kaźdej z nich coś zawdzięczam.

Piątek, 23 maja 2008

CHORZY

Mój zdrowotny przegląd wiosenny nie wypadł zbyt dobrze. Dodatkowo nabawiłam się zapalenia ucha i gardła.

Ajki natomiast przetaił sobie poduszkę na łapie.

Zamiast łązić po polach, siedzimy więc w domu. I odpoczywamy, chociaż rozpiera nas energia.

Czasami niestety trzeba.

12) Elliot Aronson - psycholog amerykański.

Piątek, 23 maja 2008

PARAFIANIN

Dzisiaj Tata odprowadził mnie do kościoła, a sam poszedł z Fuksiem i Igorem •na łąkę tuż obok.

Ale Igor nie chciał się bawić. Chciał uczestniczyć we mszy. Ze mną. Zrobił w tył zwrot i pobiegł do kościoła. A Tata za nim.

Mój Królewicz sprawdził wszystkie drzwi - niestety dla niego, a na szczęście dla mnie, były zamknięte i nikt akurat nie wychodził. Tata oczyma wyobraźni widział już, jak Igor biegnie po kościele, szukając mnie, a on skrada się za nim, by go dyskretnie wyprowadzić.

Chyba muszę poznać Igora z Proboszczem. Nie ma wyjścia.

Kościół jest dla mnie drugim domem. Miałam to szczęście, że w swoim życiu spotkałam wielu pozytywnych kleryków, później księży. Byli tacy, jacy powinni być — uśmiechnięci, radośni, pełni dobrej energii.

Jako nastolatka należałam do Ruchu Światło-Życie, czyli tak zwanej oazy. To na niej poznałam księdza Adama. Po operacji nie jeździłam już na obozy, w ogóle musiałam o siebie bardziej dbać, w określony sposób się poruszać, nie robić gwałtownych ruchów. Ale ksiądz Adam uparł się, że zabierze mnie na rekolekcje. Tłumaczyłam mu, że raczej nic z tego, bo potrzebuję opieki, odpowiedniego łóżka i w ogóle jest ze mną sporo ambarasu. On jednak był nieprzejednany, umówił się z Rodzicami na poważną rozmowę.

Ile bym straciła, gdyby tego nie zrobił!

Zorganizował mi trzyosobową ekipę, która miesiąc uczyła się, jak się mną opiekować. Tworzyliśmy zespół idealny - Jola, Monika i jej chłopak Marcin. Byli niesamowici — bardzo się o mnie troszczyli, a przy tym wyśmienicie spędzaliśmy razem czas. Na rekolekcjach dostałam pokój, w którym mogło zamieszkać z dziesięć osób, a nie trzy. Spałam na łóżku przywiezionym specjalnie z domu moderatorki.

Kiedy zachorowałam, ksiądz omal nie dostał apopleksji. A niestety miałam gorączkę i coś z gardłem. Już chciał mnie pakować do auta i wieźć do Tychów, ale Mama zaocznie stwierdziła, że antybiotyk mogę brać tam i nic się nie stanie. Rzeczywiście - poszliśmy do lekarza, przepisał mi leki i zostałam w rekolekcyjnym łóżku. Lepszej opieki nie mogłam mieć, bo Jola jest pielęgniarką, stale więc nade mną czuwała. A ja byłam szczęśliwa, że jednak zostałam!

Nigdy więcej nie przeżyłam takich sielskich dwóch tygodni. Ozdrowiałam i brałam udział we wszystkich punktach programu. Nawet nosiłam długie spódnice, jak każda oazowiczka. Żał mi było odjeżdżać, a musiałam dzień wcześniej, bo jechałam z Rodzicami na wczasy.

Później byłam na kolejnych rekolekcjach — zawsze towarzyszyły mi trzyosobowe ekipy.

Jednak nigdy już niepojechałam z księdzem Adamem i bardzo tego żałowałam.

Wspominam te wyjazdy wyjątkowo miło, a jest co wspominać. Na pierwszym stopniu mieliśmy kiepskie jedzenie i dokarmialiśmy się na różne sposoby, między innymi Tata chyłkiem przywoził nam pizzę. Kiedyś na obiad dostaliśmy suche ziemniaki i jakieś ryby w całości, których ogony wystawały nam z talerzy - okropne! Na drugim stopniu zrobiłyśmy z dziewczynami nocną imprezę' (znowu miałam wielki pokój) i zarwałyśmy moje łóżko, bo wszystkie siedziały na nim wokół mnie. Dobrze, że pod ręką był mój osobisty rekolekcyjny body-guard - Tomek - i nam pomógł, dzięki czemu sprawa nie nabrała rozgłosu.

A śmiałyśmy się z tego jak wariatki. W ogóle z tamtą, drugostopniową ekipą — Agą i Kasią — co chwilę miałyśmy powody do śmiechu.

Na tak zwany „beton" i trudności trafiłam dopiero na trzecim stopniu. Wzięłam udział tylko w połowie rekolekcji, bo druga połowa polegała na wędrowaniu po Krakowie, a ówczesna moderatorka stwierdziła, że nie jest w stanie mi tego zorganizować. Chcieć to móc, ale dałam spokój, oficjalnie formację miałam zakończoną, a w pamięci pozostawiłam tylko te dobre, rekolekcyjne wspomnienia.

Niedziela, 25 maja 2008

GRILL, WOJACZEK, ALE PRZEDE WSZYSTKIM - RYBY

Tydzień temu —,kiedy byliśmy szczęśliwi, zdrowi i żadna łapa nas nie bolała, wybraliśmy się na spacer, chociaż pogoda specjalnie nie zachęcała. Dino zabrał nas nad jezioro. Po drodze spotkaliśmy ludzi, którzy robili grilla — nie posiadali do niego nóżek i leżał po prostu na ziemi. Aż dziw, że Igor wszystkiego nie pochłonał (ostatnio zjadł dobytek jakiegoś rybaka, którego w tym miejscu przepaszamy — osobiście jakoś nie miałam odwagi na niego czekać i się tłumaczyć — nawet dokładnie nie wiem, co Królewicz-zjadł — chyba jakiś chlebek...). W każdym razie Igor bardzo chciał się z ekipą od grilla zaprzyjaźnić, oni z nim zresztą też — byli niepokieszeni, że nie mogą go nakarmić, i jeden drugiemu tłumaczył, że absolutnie nie wolno.

Nie poszliśmy daleko, bo Blondyn zbcoczył do lasu. Dino, nauczony doświadczeniem, pobiegł za nim, bo pamiętał, że w tym miejscu jest coś, w czym ostatnio mój pupil się wytarzał.

Niestety, jedzenie i padlina oraz kupy to największa

pokusa dla Ajka. Ale w życiu nie pomyślałabym, że na skraju lasu może leżeć... szczupak. Było już za późno i Igor — wielce zadowolony — niósł ze sobą odór zdechłej ryby.

Żeby było ciekawiej - zaczęło padać. Usiedliśmy więc częściowo pod parasolem, częściowo pod daszkiem (nie miałam jak pod niego wjechać) i czytaliśmy Wojaczka, bo Dino na drugi dzień zdawał maturę ustną z polskiego. Igor był w siódmym niebie — lało na niego, on śmierdzał i jeszcze mógł sobie pobięgać.

Na marginesie wspomnę, że smród surowych ryb towarzyszy Ajkowi od paru dni, bo zanim rozwalił łapę, wykapał się w jeziorze. Cuchnął wyjątkowo, a nie mogliśmy go umyć, bo ma opatrunek. Zostało wietrzenie i obietnica, że jak wyzdrowiejemy, to jedziemy do psiego salonu piękności i koniec z pływaniem w jeziorze!!!!

Poniedziałek, 26 maja 2008

MOJA MAMA JEST KOCHANA

Z okazji Dnia Matki moc serdeczności dla mojej Mamy!

Mama każdego roku powinna dostać tytuł Mamy Roku, bo:

- wstaje o 4.00, gdy idzie na pierwszą zmianę do pracy, -gotuje najlepiej na świecie,
- dzięki niej jeździmy na wioskę,
- znosi moje pomysły,
- znosi moje choroby, choróbska, anemie, -znosi smród surowych ryb,
- Zawsze ma uśmiech dla tłumu moich znajomych,
- prawie zaakceptowała, że wszystko demoluję,
- wspiera mnie, gdy siedzę pod kocem,
- nauczyła mnie, że trzeba być dzielnym i cały czas iść do przodu.

Mamo, buziaki dla Ciebie!

Z każdym rokiem podziwiam Mamę coraz bardziej. Dopiero teraz, gdy jestem dorosła, zaczynam rozumieć, jak trudne miała życie. Życie pełne znaków zapytania.

N

Największą zaletą Mamy jest to, że nigdy nade mną nie płakała, nie roztkli-wiała się w stylu chlapiąco-rzewnym. Jako dziecko nie miałam świadomości, jak bardzo jestem chora. Na pytanie, czy umrę, dostawałam odpowiedź, że każdy kiedyś umrze, bez wyjątku.

Mama przeżyła ze mną wiele - stada moich licealnych znajomych, którym zdarzyło się wylać szklanekę wody na świeżo wytapetowaną ścianę lub zamknąć tak drzwi, że z półek w pokoju obok spadały ramki (Jagoda, później już nikt tego nie dokonał!).

Kiedy przechodziłam intensywny okres towarzyski (czyli drzwi do naszego domu się nie zamykały), śmiała się, że niedługo na progu będzie śpiewać: „Wars wita was!”. Zniosła dzielnie, razem ze mną, moje obydwie pobyty w szpitalu, śpiąc w dziwnych pozycjach tuż przy moim łóżku, a także liczne zapalenia oskrzeli i zakrzepicę. Przeżyła moje burzliwe, mniej i bardziej poważne historie miłosne, kolegów wychodzących po nocach i zniszczony przez jednego z nich teflon na jej ukochanej patelni.

Kochała, chcąc nie chcąc, wszystkie znoszone przeze mnie zwierzaki, i tylko myszek kazała się pozbyć. Wysłuchiwała cierpliwie, że nie zdam matury, egzaminu na studia, egzaminów w sesji itd. To, że mnie nie udusiła, gdy uczyłam się do jedynej poprawki w życiu (z gramatyki historycznej), graniczy z cudem.

Mama ratuje naszą trójkę poczuciem humoru — w najgorszych sytuacjach potrafimy się zarykiwać ze śmiechu z własnych, absurdalnych dialogów.

Dzielną mam Mamę, po prostu.

Środa, 11 czerwca 2008

#### FUKSIU ZA TĘCZOWYM MOSTEM

Wczoraj około godziny 21.00 mój ukochany szczekacz odszedł za Tęczowy Most<sup>13</sup>.

Fuksia nabyliśmy przez ogłoszenie w gazecie. Dał je jakiś Adam, a ja właśnie kochałam się w chłopaku o tym imieniu, stwierdziłam więc, że to dobry znak.

Okazało się jednak, że szczeniaków już nie ma. Został jeden, ale bytzaklepany. Kazano nam zadzwonić jeszcze raz, bo istniała szansa, że nowi właściciele małego się rozmyślili. Stwierdziłyśmy z Mamą, że ten albo żaden. Wszystko robiłyśmy w tajemnicy przed Tatą, który o psie nie chciał słyszeć.

Dostał więc Fuksia na urodziny i sam po niego pojechał. Kiedy wszedł do klatki, już wiedział, gdzie się kierować — tak głośno szczekała mama naszego nowego pupila. Fuks odziedziczył po niej głos, a po ojcu — obcięty ogonek.

13) Kiedy umiera pies, mówi się, że odchodzi za Tęczowy Most.

35

Był bardzo żywotny, chociaż miał już dziesięć lat. Pewnie pożyłby drugie tyle, gdyby nie nieszczęśliwy wypadek. Doskonale opracował system uciekania z domu (zawsze wracał, kierowały nim głównie potrzeby, że tak powiem, towarzyskie) i świetnie szły mu skoki z wysokości. Uwielbiał podróże i był równie źle wychowany jak jego poprzednik — Mikuś. Bo psy towarzyszyły mi od zawsze — moja pierwsza psia miłość to olbrzymia jamniczka dziadków- Bela. W wieku czterech lat dostałam swojego kundelka i bez psich mordek nie wyobrażam sobie egzystowania.

Sobota, 21 czerwca 2008

#### TYLE BYŁO DNI..

W moim niebie będą miękkie sierści,

Nosy, łapy, ogony i kty.

W moim niebie będę znowu głaskać

Moje wszystkie pożegnane psy<sup>4</sup>.

Długo się zbierałam do tej notki. A Fuksiowi się ona należy, chociaż blog nie jest o nim.

Fuks spędził z nami prawie dziesięć lat. Pilnował nas wiernie i kochał całym sercem.

Zawiaadał o wszystkim, co wydawało mu się ważne. Szczekał na wszystko, co według niego godne było obszczekania (jego ulubione obiekty to: rowerzyści, samochody i pociągi).

Przeganiał wrogów Łatka. Wskakiwał na mnie i wylizywał mi buzię, chociaż mu na to nie pozwalałam. Dokonywał spektakularnych skoków z wysokości.

14) Fragment utworu Barbary Borzymowskiej.

Miał kumpla Zefirka. Jego wrogiem numer jeden był osiedlowy jamnik. Najbardziej na świecie kochał Tatę. Zniósł cierpliwie pojawienie się w naszym domu jednego kota, potem drugiego, Altury i w końcu Igora.

Wieczny optymista.

Cwaniak.

Sporo razem przeżyliśmy, sporo się nasłuchał zwierzeń, sporo moich łez wsiąkło w jego futerko.

Był psem o małym rozumku, ale wielkim sercu.

Cisza, która została po Fuksie, jest trudna do zniesienia. Cisza i pustka.



Środa, 25 czerwca 2008

### KRZYŻACY

W okolicach mojego wydziału i Biblioteki Śląskiej przesiadują Panowie Spożywający Alkohol na Świeżym Powietrzu. Igor bardzo ich lubi, a wynika to chyba z tego, że oni intensywnie pachną.

Wczoraj po wyjściu z biblioteki też do nich poleciał - spuściłam go ze smyczy, by się załatwił. Oczywiście Panowie powitali go entuzjastycznie. Podeszłam, by go odwołać (a w praktyce - odciągnąć, bo towarzystwo się głaskało). Jeden z Panów mówi do drugiego:

-O! O! Zapytajmy tej pani, ona na pewno wie, zapytajmy. - I do mnie: -Mam do pani pytanie. Westchnęłam, bo oczekiwałam jakiegoś wielce refleksyjnego pytania. Wiadomo, jakie pytania zadają tacy Panowie Spożywający Alkohol na Świeżym Powietrzu.

- W którym roku sprowadzono do Polski Krzyżaków? Osłupiałam.

- Oni od dwóch godzin już się kłócą — wyjaśniła mi koleżanka Panów.

- Konrad Mazowiecki ich sprowadził, ale kiedy dokładnie, to nie wiem - wyznałam.

A oni tak na mnie liczyli.

Poniedziałek, 30 czerwca 2008

### MYŚLAŁEM, ŻE TU BĘDZIESZ

Mam spore zaległości w notkach, bo dwa tygodnie spędziłyśmy na Ruince.

Pechowy to był urlop — zmarł Fuksiu, Tatę bolał kręgosłup, nabawiłam się kontuzji nogi, a dodatkowo zaczął nam przeciekać dach.

Łatek i Igor po swojemu przeżyli odejście Przyjaciela. Kocur dwa dni nie umiał sobie znaleźć miejsca i — co nas bardzo zdziwiło — ciągle miauczał. Natomiast Blondyn na drugi dzień po odejściu Fuksia oprotestował wychodzenie na podwórko (zawsze rano wybiegali razem, by się załatwić). W końcu wyszedł, ale swoje potrzeby załatwiał niechętnie. Doszło do tego, że musiałam chodzić z nim wkoło naszego orzecha, by coś z siebie wydusił. Czekał, aż wspólnie z Tatą pojedzie do sklepu albo ja zabiorę go na spacer i wówczas (za przeproszeniem) sikał, ile wlezie. Kiedy wróciliśmy do Tychów, Królewicz pierwsze, co zrobił, to obwąchał posłanie Fuksia. Jakby chciał powiedzieć: „Myślałem, że tu będziesz”.

Wtorek, 1 lipca 2008

### DAMA Z PIESKIEM

W taki sympatyczny sposób zostałam nazwana przez Mamę Krzysia15 na jej blogu. W niedzielę, właśnie niczym dama z pieskiem, wybrałam się na spacer do parku i nad jezioro. Na wsi wielokrotnie chodziłam sama z Igorem, więc raczej nie mam już obaw przed samotnymi wycieczkami.

Nad jeziorem oczywiście tłum, jak to w niedzielę. Wędrowaliśmy najdłuższą trasą, by Igor się zmachał. Co chwilę słyszałam wzdychania mijających nas ludzi - jaki to mój psiur mądry, wyjątkowy, fantastyczny. Udawałam, że nic nie słyszę, ale pękałam z dumy, wiadomo. W ogóle okazało się, że Igora znają ludzie, których ja w życiu na oczy nie widziałam - trzy osoby zwróciły się do niego po imieniu.

Problemy rozpoczęły się, gdy dotarliśmy do miejsca, w którym Królewicz zazwyczaj się kąpie. Przez rozwaloną poduszkę na łapie, a później przez wyjazd na wieś nie pływał w jeziorze około miesiąca.

I tu dama musiała przeprowadzić z pieskiem stanowczą rozmowę. Wyglądało to tak:

— Ajkusiu, idziemy do domu, chodź, kochanie.

A Ajkuś siedzi i ani myśli się ruszyć, a jego mina mówi: „CHCĘ PŁYWAĆ I”.

Na nic zdały się moje prośby i groźby, Igor nie zamierzał nigdzie iść. Ludzie spoglądali na nas z zaciekawieniem, bał, jedni nawet przystanęli, aby zobaczyć, jak ta mała blondynka przekona tego wielkiego psa, by ruszył w końcu tyłek.

15) [www.krzysio2005.blogspot.com](http://www.krzysio2005.blogspot.com)

Część drogi powrotnej ciągnęłam kochaneczka, a i później, kiedy już szliśmy w miarę normalnie, przystawał przy każdym psie i krzaku, jakby mówił: „Jestem obrażony i mam cię w nosie!”.

Już nie byłam damą z pieskiem, lecz wściekłą babą z upartym psem.

Wybaczyłam mu oczywiście, nawet dzisiaj planowałam mu pozwolić na tę wymarzoną kąpiel, ale w wodzie pojawiły się sinice i nic z tego.

Piątek, 4 lipca 2008

#### LENISTWO

Z powodu upałów ogarnęło nas lenistwo.

Nie robię nic ponad to, co muszę.

Igor przy wysokich temperaturach dochodzi do siebie około północy, ale i tak jest padnięty.

I tak sobie leniuchujemy.

Dzisiaj się ochłodziło i mój pies wyraził chęć współpracy oraz biegania po lesie. Ale ja nadal jestem w fazie lenistwa.

Może jutro się jakoś zmobilizuję do działania.

Może.

Mam w sobie ogromne chęci do lenistwa. W moim wykonaniu lenistwo to książki — szczególnie takie, których nikt by nie pozwolił mi czytać na studiach. W Boże Narodzenie zawsze czytam to, na co mam ochotę. Podobnie w wakacje. Ostatnio jednak każda książka sprawia mi frajdę, może po prostu filologicznie dojrzałam.

Moje lenistwo to długie spacery bez spoglądania na zegarek.

Ale przede wszystkim moje lenistwo to opalanie się na Ruince, jedzenie nieprzyzwoitej ilości chipsów i grillowanych ziemniaków, to smakowanie advocata z Ciocią Kasią i rozgrywki scrabble.

Leniuchowanie to w końcu długie godziny w wannie, moje prywatne SPA -maseczki, peelingi i inne przyjemności.

I powiem szczerze, że na takie lenistwo nie szkoda mi życia.

Piątek, 11 lipca 2008

#### LEŚNICZYNA I TYM PODOBNE

Już wspominałam, że na wsi chodziliśmy z Igozem na piesze wycieczki. Jeśli tylko pogoda dopisywała (nie było za ciepło ani za zimno), spacerowaliśmy około ośmiu kilometrów dziennie.

Do każdej wyprawy z Igozem musiałam się odpowiednio przygotować — wszak mogliśmy liczyć tylko na siebie. Na szyję zawieszałam więc smycz, by mógł mi podnieść głowę. Zabierałam też telefon i chrupki jako element motywujący. Igora oczywiście, nie mnie.

Pewnego dnia, gdy Mama nas zobaczyła przed spacerem, stwierdziła, że wyglądam jak leśniczyna, bo ubrałam się w kolorach lasu, a do tego włożyłam gustowną czapkę. Tata twierdził, że jestem szalona, bo na wsi w każdym momencie możemy spotkać jakieś kuraki albo psa puszczanego luzem. A ja wiedziałam, że musimy przejść taką szkołę życia. I spełnić chociaż trochę mój sen o samodzielności.

Snuliśmy się po polach, gdzie spotkaliśmy nisko latające jaskółki - Igor ostatnimi siłami panował nad swoimi emocjami. Jednak uspokoilałam go głosem i stale do niego mówiłam. Łaziliśmy pod lasem. Spotkaliśmy kilka wsiowych Pimpków. Tylko raz Królewiczowi puściły nerwy, gdy szczekający na niego pies chciał ugryźć dziecko. Chłopczyk próbował uspokoić swojego pupila, a ten w odpowiedzi wykonał taki gest, jakby miał zamiar go chwycić. Blondyn się zapieklił, ale już mam tak opracowaną „Akcję odwrót”, że dałam sobie radę.

Oczywiście najczęściej spacerowaliśmy po wsi i nawiązywaliśmy znajomości z tubylcami. Tak właściwie to oni z nami nawiązywali, bo wciąż stanowimy dla nich atrakcję. Gdy ktoś jedzie autem, to przy nas zwalnia i wszystkie nosy są przy szybie. Gdy ktoś idzie albo jedzie rowerem - omija nas łukiem. Kły Królewicza, jego postura i mina — budzą postrach. Jednak niektórzy

ładnie pytają, czy mogą podejść. Wtedy Blondyn dostaje komendę: „Siad” i możemy się zaznajamiać.

Panie, które wyglądają przez okno, widzą głównie rozwiane blond włosy, bo po równym asfalcie biega się fantastycznie. Zazwyczaj gdy wracamy, to już czyhają na nas przed domem, gotowe do pogawędki. Najczęściej pada pytanie, czy pies gryzie i czy ciągnie wózek.

W wyniku niechęci Igora do załatwiania się w obrębie naszego ogrodu mój psiur musiał nauczyć się jakoś radzić sobie z tym problemem na krótkiej smyczy (ze mną chodzi tylko na takowej). Podczas spacerów zwiedzaliśmy więc trawniczki i łąki. W końcu Blondyn przekonał się, że jakoś da się to zrobić.

Chcieć to móc, zawsze to powtarzam.

Już jutro znowu będziemy buszować po wsi - połowa naszej ekipy zostaje w domu, ale za to jedzie z nami Ciocia Kasia i Monia.

Wtorek, 15 lipca 2008

#### WĄCHACZ LAWENDY

Na Ruince mamy bardzo duże podwórko. Ćwiczę tam z Igorem chodzenie przy wózku bez smyczy w trudnych warunkach (Tata piełi, Mama się pojawia, to znika, czasami przejedzie pociąg, za płotem biegają dzieci, a na ziemi pełno patyków). Kiedy byliśmy na urlopie, Igora bardzo często rozpraszała... lawenda. Idziemy sobie, idziemy, mijamy lawendę i Blondyna już przy wózku nie ma - wacha to aromatyczne zioło.

Dziwne, bo zazwyczaj gustuje raczej w innych zapachach - kupy, gnoju, strumyka i ryb. Jak przechodzimy koło świniami, to po prostu przeżywa ekstazę.

Teraz już wachanko lawendy się skończyło, bo wokół niej lata pełno pszczoł, bąków i motyli. Jeden rozpraszacz nam odpadł.

Piątek, 18 lipca 2008

#### LEWA RĘKA

Kiedy zaczęłam się starać o asystenta, okazało się, że pracę z psami utrudnia mi moja lewa ręka. Chodziło o to, że jest ona bardzo słaba i do niczego się nie nadaje. Dokładniej — do podawania chrupek. A trudno jedną ręką nagradzać psa, prowadzić elektryczny wózek i wykonywać gest pomocny przy komendzie.

Igor jest bardzo cierpliwy i wie, że musi czekać na nagrodę. Zgraliśmy się.

Dzisiaj jednak na spacerze okazało się, że potrafię lewą ręką wyciągnąć chrupkę i włożyć ją Blondynowi do pyska. Do tej pory było to nie do pomyślenia, lewa ręka służyła głównie do ozdoby.

Królewicz początkowo nie wiedział, o co chodzi. Mówię: „Proszę”, a chrupki w prawej ręce nie ma. Gdzie ona jest? Ale szybko załapał, w czym rzecz. Dzięki lewej ręce nie muszę stawać, by go nagradzać. Efekt — Ajki pięknie reagował na komendy: „Czekaj” i „Do mnie”, lepiej chodził na smyczy przy wózku. Może miał dobry dzień, a może nowy, szybki podawacz chrupek go mobilizował.

Przyszłam do domu i co chwilę sprawdzałam, czy lewa ręka nadal działa. Oczywiście to moje „działa” to nic w porównaniu ze zdrową ręką, ale dla mnie to morze nowych możliwości. Igor dostał pełno chrupek, bo upewniałam się, czy wciąż potrafię je podawać.

Okazuje się więc, że u zanikowców też coś może drgnąć, poprawić się, wzmocnić. Dodatkowa rehabilitacja, l-karnityna i mój napędzacz Igor równa się sukces. Dziękuję Gibonowi, z którym ostatnio ćwiczyłam, za mobilizację!

Miejmy nadzieję, że jutro nic się nie zmieni, bo trochę boję się cieszyć. Igor już się nauczył, że oprócz prawej mam jeszcze lewą dłoń.

Piątek, 25 lipca 2008

#### KRAINA GRILLOWANYCH KIELBASEK

Właśnie wróciliśmy ze spaceru.

Nad naszym jeziorkiem dziki tłum, bo jutro zaczyna się Festiwal Muzyczny im. Ryśka Riedla. Nie ma gdzie pochodzić, bo park i teren dookoła ogrodzony. Wszędzie ludzie, muzyka i woń grilla, którego robią nawet przy ulicy. Ajki na te zapachy cały się zaglutował i miał minę pt. „Megi, zostanmy jeszcze chwilę w tej krainie grillowanych kiełbasek”.

Dzięki Igorowi festiwalowi goście nie zaczepiają mnie, tylko w odpowiedniej odległości wzdychają: „Patrz, jaki cudny pies tam idzie”. Jeden - też z daleka - życzył nam miłego wieczoru. Hehe, ma się obstawę.

Tylko jak my przeżyjemy weekend, skoro tak nam ograniczyli przestrzeń życiową? Zostają spacerki po osiedlu.

Piątek, 25 lipca 2008

#### AJKOWE WIEŚCI

U nas wiele się dzieje, ale nie mam czasu, by pisać codziennie. Ostatnie dwa weekendy spędzili śmy na wsi.

A oto garść informacji, co u nas.

Z tych nieco gorszych wieści:

- Ajki ostatnio dał plamę, bo chciał się bawić z owczarkiem, który szedł na smyczy. Za nic nie dał się odwołać. Właściciel owczarka był wściekły, bo skakały po nim dwa spore psy.

- Na wsi Królewicz nażart się jabłek, które spadają z jabłonki sąsiada, i nic nie chciał robić. Dobrze, że jest mistrzem trawienia, bo mielibyśmy spore kłopoty. Na pocieszenie jedno jabłko mi przyniósł, ale zaraz tyrpał nosem, by mu je oddać.

- Mój Blondyn ma alergiczne zapalenie ucha — nie wiadomo, czy zawiniły jabłka, czy uczulił się na coś z pól, po których biega. I z tego powodu nie nadawał się do życia -jak boli ucho, każdy wie.

Coś pozytywnego:

-Ajki ma nowego kolege, charta Arlekina. Ostatnio spotkaliśmy jego i jego Panią, gdy wybrali śmy się sami na spacer. Było mi szkoda, że się nie pobawią (ze mną Igor chodzi na smyczy), więc poprosiłam Panią Arlekina, by spuściła mojego pupila. Królewicz powąchał kumpla, trawę i usiadł przy wózku. Potem wyrównał, a następnie położył się. Całym sobą mówił: „Chyba nie myślałaś, że będę się wygłupiał. Przecież mam cię pilnować”. O zabawie nie było mowy.

- Ćwiczymy zamykanie szafek („Magda, nie trzaskajcie szafkami!”), bo dotychczas obsługiwali śmy jedną — teraz Igor ma zapamiętać nie obiekt, a komendę.

- Ćwiczymy komendę: „Półka” — przynoszenie z półki książek, kartek, katalogów.

- Dzięki lewej ręce wróciliśmy do ćwiczeń chodzenia przy wózku bez smyczy

- robimy obroty i cofamy.

A już niedługo ruszamy na obóz psiarzy. Ale o tym innym razem.

Sobota, 26 lipca 2008

#### JAK DOBRZE MIEĆ SĄSIADA

Wczoraj po spacerze jedna z sąsiadek odpięła mi Igora ze smyczy, by pobiegał jeszcze przed blokiem. Sąsiad, który gdzieś szedł, zawrócił, by mnie asekurować przy wjeżdżaniu po podjeździe, a druga sąsiadka już dzwoniła mi do drzwi.

Dobry sąsiad to podstawa.

Poniedziałek, 28 lipca 2008

#### WYTRESOWANE KACZKI

Dzisiaj Igora ściągnęło do stawu. Chłopak psychicznie nie wytrzymał. Na szczęście w stawie nie ma sinic, są natomiast kaczki. Igor zanurzył się oczywiście w kubraczku, stał i się chłodził, a kaczki pływały obok.

Mój pies — z założenia myśliwski — kapał się z ptactwem. I to jeszcze da się zrozumieć, bo w końcu ciągle go uczę, że zbyt duże emocje związane z kurakami nie są wskazane, ale kto wytresował kaczki?

Środa, 30 lipca 2008

## SAMOSIE

Ostatnimi czasy robimy się z Igozem coraz bardziej samodzielni.

Sami wypuszczamy się w pola i nad jezioro. Spacerujemy sobie tu i tam.

Odwiedziliśmy już sami bibliotekę.

A dzisiaj sami poszliśmy do weterynarza. Poradziliśmy sobie bez problemu, Ajki byt grzecznuteńki. Poza tym razem spędziliśmy kilka dobrych godzin w domu, bez nadzoru, bo pracowałam na popołudnie (i tak się złożyło, że moi Rodzice też mieli drugą zmianę). Oczywiście cały czas telefonicznie czuwał nad nami Krzysiek.

Igor lubi, gdy jesteśmy tylko we dwoje. Czuje się za mnie odpowiedzialny i zaskakuje mnie swoją rozważą. A ja uwielbiam radzić sobie sama.

Takie z nas dwa samosie :}.

Piątek, 1 sierpnia 2008

## SILNE BABY

We wtorek zaliczyliśmy wielką wyprawę w towarzystwie Tai i Kini. Zazwyczaj na wycieczki „w interesach” jeżdżą z nami chłopcy, bo transport środkami komunikacji miejskiej to naprawdę wyzwanie.

Dziewczynom jednak nic nie było straszne. Odwiedziliśmy Bibliotekę Śląską oraz mój wydział, a następnie ruszyliśmy na tramwaj, by dostać się do Chorzowa. Ajki jechał pierwszy raz czymś takim, ale spanikował tylko na chwilę. W drodze powrotnej zachowywał się, jakby tramwajem jeździł od urodzenia. Wszystko szło jak po maśle, dopóki tramwaj się nie zepsuł. Musieliśmy się z niego wygramolić i w pełnym słońcu czekać na następny.

Zachęcałyśmy Igora do kąpieli w fontannie, ale jakoś nie chciał.

Jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło — drugi raz tego dnia spotkaliśmy Kubę K., który pogawędził z nami i pomógł nam wsiąść do kolejnego tramwaju. Spadł nam z nieba. Do Chorzowa dojechaliśmy bez przygód. Dziarsko ruszyliśmy do Teatru Rozrywki, gdyż to był główny cel naszej wycieczki - musiałam odwiedzić archiwum, by zebrać materiały do artykułu. Nikt w Teatrze nie robił problemu z obecności Igora, a Królewicz zachowywał się bez zarzutu. Kiedy znaleźliśmy się znowu w Katowicach, wszyscy byli wykończeni. Upał, autobusy, tramwaje - to może dać w kość. Konieczny okazał się wypad na pizzę. Padło na „Dominium” - podaję nazwę, gdyż zostaliśmy tam bardzo miło przyjęci. Kelnerki dwukrotnie pytały, czy pieskowi nie trzeba dolać zimnej wody do miseczki, Igora potraktowano więc jako pełnowartościowego gościa. Wyprawa tak wykończyła Królewicza, że położył się i spał. Nic go nie wzruszało — ani cmokający i przemieszczający się ludzie, ani unoszące się zapachy.

Dziewczyny poradziły sobie z nami świetnie, silne baby są, chociaż na takie nie wyglądają. Zwiedziłyśmy spory kawałek Śląska. Mogłyśmy sobie plotkować o wszystkim i nagadać się za wszystkie czasy. Dzięki, kochane, za przesympatyczny dzionek!

Swoją drogą - pewnie już to pisałam - mam niewiarygodne szczęście do ludzi. Opatrzność zsyła mi anioły — zawsze odpowiednie w odpowiednim czasie.

Bez innych osób nie mogłabym nic — ani wstać z łóżka, ani się ubrać, ani umyć. Kiedy sobie to uświadomiłam po raz pierwszy, wpadłam w panikę. Byłam wtedy dzieckiem, umarł Dziadek i wówczas w pełni zrozumiałam, że nic nie trwa wiecznie, wszyscy przemijamy i zostaje po nas puste miejsce. Liczyłam pospiesznie,

ile lat mają Rodzice i ile ja ewentualnie będę mieć, gdy oni odejdą. Wyszto mi, że zostało nam jeszcze sporo czasu. Postanowiłam, że nie będę o tym myśleć.

To była lekcja numer jeden.

Później wielokrotnie musiałam zmierzyć się ze świadomością, że życie składa się z pożegnań. Przede wszystkim — rozeszły się nam drogi z Klaudią - ona poszła do ekonomika, ja do liceum. Już nie widywałyśmy się codziennie. Z czasem przyjaciele i znajomi zaczęli stopniowo się wyprowadzać, wyjeżdżać za granicę, zakładać rodziny. Wiadomo — pewne osoby są niezastąpione i zawsze się za nimi tęskni. Ale gdy jednej osoby zabrakło w moim życiu, natychmiast

pojawiała się inna - by wpaść na herbatę, iść na spacer, gdzieś wyskoczyć, czy po prostu pomóc. Czasami wydawało mi się niewiarygodne, że aż tak ktoś tam u góry planuje, kogo by mi tu podesłać.

149 Dla osób niepełnosprawnych przyjaciel to coś więcej niż kumpel, z którym można pójść na piwo. Często przyjaciel jest oknem na świat, bo z jego pomocą można wyjść z domu i pozwolić odpocząć rodzicom lub opiekunom. Dlatego, gdy taka osoba znika, pustka jest ogromna. Piszę o tym, bo często ten temat pojawia się w moich rozmowach z osobami niepełnosprawnymi. Bywa, że są rozgoryczone i złe, nie potrafią pogodzić się ze stratą. Wiele czasu musiało minąć, bym sama zaakceptowała taką kolej rzeczy.

Dzisiaj wiem, że nic nie trwa wiecznie, a pożegnania są czymś całkowicie naturalnym. Nie rozpamiętuję więc i nie hoduję w sobie żalu, że takiej czy innej osoby w moim życiu już nie ma. Myślę natomiast o tych, które są, a także o tych, które być może jeszcze się pojawiają. Wiele Aniołów spotkałam na mojej drodze, wszystkie w jak najbardziej odpowiednim momencie, z wszystkimi wymieniałam cenne doświadczenia i życiowe lekcje, od każdego czegoś się nauczyłam. A ile rozmów, przygód, dyskusji, wypraw, zwierzeń! Każdego z nich noszę w sercu. Dziękuję!

Piątek, 1 sierpnia 2008

### WYJEŹDŹAMY

Pakujemy się. Dzisiaj w nocy z Tatą i Krzyśkiem ruszamy do Borów Tucholskich.

Z nudów Igor kręci piruety przy wózku — to znaczy równa - do tyłu, do przodu, zakręty. Nie wie, że od jutra czeka go ciężka praca - jedziemy na obóz szkoleniowy. Będziemy szkolić siebie i podobno innych. Poduczymy się czegoś w kierunku dogoterapii.

Więści od nas dopiero około 12 sierpnia.

Od dziecka jestem wędrowcem. Początkowo głównie jeździliśmy nad morze i było nas na to stać, chociaż czasy - wiadomo - nie należały do najlepszych (lata 80.). Mgliste mam wspomnienia z tamtych wypraw, ale bardzo miłe. Podróżowałam w nosidełku, miałam swoje kieszonkowe i kupowałam małe figurki przedstawiające bajkowe postacie, zwane mikulami. Były to moje ulubione zabawki

- mieściły się w dłoni i były lekkie. Jednym słowem - idealne dla zanikowca.

Z Rodzicami zwiedziłam też Mazury. Zaliczyłam nawet festiwal muzyki country w Mrągowie. Byłam w Krościenku (Pieniny), Wieliczce, Bukowinie Tatrzańskiej i w Zakopanem. Tam zresztą przeżyłam jedyny w swoim życiu wypadek samochodowy (karambol).

Wiąże się z tym pewna anegdota. W dniu wypadku obudziłam się rano i mówię:  
— Śnił mi się papież.

A papież, wiadomo, dobry znak. To był jeszcze Jan Paweł II i zupełnie nie wiem, skąd mi się w tym śnie wziął, bo żadna pielgrzymka się nie odbywała.

W drodze do domu dobito do nas auto, my do następnego. Walnęłam głową o deskę rozdzielczą, zabrano mnie do szpitala. Opiekował się mną jakiś lekarz i kiedy zerknęłam na jego identyfikator, zobaczyłam nazwisko: Papież.

Zakopanego nie lubię do dziś, drażni mnie, drażnią mnie też wierzchołki gór. Natomiast kilka razy w roku jestem w Krakowie i tu każdy pretekst jest dobry, by odwiedzić to piękne miasto. Bory Tucholskie miałam wówczas zobaczyć po raz pierwszy i byłam bardzo podekscytowana!

Czwartek, 14 sierpnia 2008

### KOLEJNE WYPADY

Wróciliśmy o 3.00 w nocy z niedzieli na poniedziałek. Spałam sobie do 12.00, a później nie miałam już ani chwili. Pochłoneły mnie wnioski, czyli masa świstków do PFRON-u, bo planujemy gruntowny remont. Nienawidzę papierów, a wniosek to jest początek — najgorsze są za świadczenia, poświadczenia, kosztorysy, jakaś makabra. W międzyczasie oczywiście rehabilitacja i spacerki z Ajkim oraz wywiad w Radiu eM, tym razem przez telefon. Prowadzący się śmiał, że słuchacze wcześniej dowiedzą się czegoś o naszym wypadzie niż czytelnicy błoga.

Obiecuję relację z obozu już niebawem, tymczasem jutro ruszamy do Częstochowy, a następnie wybywamy na Ruinę, więc przez kilka dni znowu będzie cisza.

Czwartek, 21 sierpnia 2008

## KOPERNICA

Notka z poślizgiem, ale od paru dni żyję kafelkami, podnośnikami, drzwiami, kosztorysami, za świadczeniami itp. Jutro jadę do PFRON-u ze stosem papierów i właśnie dumam, czego do wniosków nie dołączyłam lub co źle wypełniłam.

Ale wracam do tematu - obóz szkoleniowy Kopernica 2008. Jazdy samochodem przez dziesięć godzin nie można zaliczyć do miłych, ale nie było najgorzej. Jechaliśmy nocą, Tata po prawie całym dniu w pracy, więc trochę miałam stracha. Jednak przy Krzyśku gawędziarzu nie było szans, by zasnął. Krzysiek nie tylko gadał, ale o 4.00 nad ranem na parkingu przy autostradzie gonił się z Igorem.

Ośrodek znajdował się w lesie (około czterech kilometrów do asfaltowej drogi, GPS ścieżyny do niego nie widział] i był kompletnie niedostosowany dla osób niepełnosprawnych. Ale nikt nie obiecywał, że będzie!

Tata zrobił wszędzie podjazdy z dech, dziewczyny zorganizowały krzesło pod prysznic i zaproponowały pomoc wszelaką.

W ogóle ludzie - głównie z Fundacji „Mały Piesek Zuzi” - okazali się genialni. Codziennie mieliśmy zajęcia z psami i wykłady z dogoterapii. Igor był przy mnie cały czas. Zaliczył kilka wpadek, ale nie mam co narzekać, warunki należały do ekstremalnych - pięćdziesięcioro ludzi i ponad trzydzieści psów. W wielu sytuacjach pokazał, jak bardzo jest spokojny, rozważny i inteligentny. Najbardziej dumna byłam na stołówce - tłum ludzi je, a mój pies... śpi przy wózku. Osoby niepełnosprawne lubią sobie ponarzekać na bariery architektoniczne. Nie wszystkie oczywiście, ale sporo z nich. Że tam nie mogli wjechać, a tu jest krawężnik, w tym sklepie schody, a w tamtym próg.

Piszę o tym, bo niedawno udzielałam wywiadu do pracy magisterskiej i zapytana o takie bariery nie miałam wiele do powiedzenia.

Zastanawiałam się, z czego to wynika.

Doszłam do wniosku, że w dużej mierze z tego, że mieszkam w przyjaznym dla osób niepełnosprawnych mieście. Mamy tu sporo dostosowanych obiektów - wjadę wszędzie: do kina, do teatru, do licznych urzędów, na lodowisko. Plusem jest również to, że większość autobusów to autobusy niskopodłogowe.

Poza tym od małego byłam nauczona, że jak się nie da czegoś zmienić, trzeba się do tego dostosować. Miałam swoje sprawdzone szlaki na osiedlu, wiedziałam, gdzie znajduje się mały krawężnik, a gdzie się nie da zjechać i trzeba wędrować naokoło. W pewnym momencie Tata ułatwił mi sprawę, bo w najważniejszych punktach wybetonował mi podjazdy. Ruszyliśmy któregoś letniego poranka z taczka i dokładnie mi pokazałam, przy którym krawężniku taki podjazdzik jest nieodzowny.

A przecież Tata mógł siedzieć w domu i narzekać, że jego dziecko swobodnie nie może się poruszać po osiedlu, bo nikt nie zlikwidował barier architektonicznych!

Tak było w wielu kwestiach, zwłaszcza gdy gdzieś wyjeżdżaliśmy. Na wsi u Babci kąpałam się w balii na środku kuchni, w domach wczasowych Tata wydobywał spod ziemi odpowiednie do wysokości wózka stoliki (bo urlop bez pisania był dla mnie urlopem straconym) i plastikowe krzesła ogrodowe, które są konieczne, by umyć mnie pod prysznicem.

Dziwię się osobom, które narzekają, że nie mogą wejść do kawiarni, klubu czy sklepu. Szkoda życia na narzekanie. W takich sytuacjach mówię:

— Ich strata. W końcu to oni nie zarobią.

Zamiast się irytować, idę do innego, bardziej przyjaznego dla niepełnosprawnych lokalu.

Kiedyś stałam przed wejściem do butiku, gdzie był ogromny próg. Zastanawialiśmy się z koleżankami, czy podjąć to wyzwanie. I wtedy na pomoc przysłała nam grupa Włochów. Wołali:

— Prosię! Prosię! — co nie było wyzywaniem mnie od świń, a po prostu naszym polskim: „Proszę”. Wnieśli mnie w pięć sekund.

Barierę architektoniczną są więc nie tylko źródłem utyskiwań. Mogą być też inspiracją do działania i twórczych rozwiązań, a także impulsem do zawierania nowych znajomości. O ile nie uziemiają niepełnosprawnych w domu. Bo niestety bywa, że ktoś nie może sobie wybudować podjazdu lub zainstalować windy, ponieważ nie zgadzają się na to inni lokatorzy. Ale to już nie jest bariera architektoniczna, a po prostu zwykła podłoga.

Czwartek, 21 sierpnia 2008

#### KUMPLE

Z naszej czwórki w Kopernicy odpoczywał właściwie tylko Tata. Spał sobie, czytał, pojechał nad morze, do pobliskich Chojnic i na zamek krzyżacki. Wyznał mi, że dziwnie się czuł w tak nienormalnej sytuacji :D. Zazwyczaj jest cały dzień na nogach, a na Ruince zawsze znajdzie się coś do przekopania czy naprawienia. W Kopernicy natomiast prawie nic nie robił, kucharz dbał, by dużo jadł (naprawdę!), jedyne, co zakłócało jego spokój, to wyciąganie mnie spod prysznic (bardzo ryzykowne) i czekanie psów („Drań się jak na wsi, gdy ktoś w nocy wraca z imprezy”).

My zaś od rana do wieczora mieliśmy zajęcia. Po obiedzie padaliśmy z Igorem na pół godziny do łóżka. Wróciłam więc wykończona, ale bardzo zadowolona, bo naprawdę sporo się nauczyłam.

Mieszkaliśmy z Hanią i jej labradorką Bella oraz z Anią i jej berneńczykiem Brunem. Bella oszczeła Igora na wstępie, więc się jej bał, zaś z Brunem jakoś się nie zaprzyjaźnił.

Bruno pewnej nocy wyszedł z pokoju Ani i przyszedł mnie polizać. Traumatyczne przeżycie — w pierwszym momencie nie wiedziałam, gdzie jestem i co to za stwór nade mną wisi.

Ogólnie Igor miał mało okazji, by poszaleć z kumplami. Ale jak już się udawało, to była zabawa na całego. Pewnego dnia w jeziorze jednocześnie bawiło się około sześciu psów- widok nie do opisanego, to należało zobaczyć. Igor wszyst-155 kich zachęcał, by ciągnęli z nim patyk, i czasami udawało mu się przekonać do tej wysublimowanej rozrywki mniejszą lub większą ekipę.

Czwartek, 21 sierpnia 2008

#### ZNOWU...?

Obawiam się, że Igor znowu ma zapalenie ucha - wczoraj i dzisiaj zachowywał się nieznośnie, jakby dosłownie ogluchł.

Hitem jest obleganie budki z lodami — puściłam go, a on zamiast zrobić siusiu i podziwiać naturę, udał się prosto do kolejki, potem do ludzi z lodami, a następnie pod okienko z miną pt. „No, miła panienko, rzuć mi tu lodem”. Moja twarz miała kolor pięknego buraka ćwikłowego. Jutro idziemy do weta i zobaczymy, czy ma chimery, czy rzeczywiście coś mu jest.

Niedziela, 24 sierpnia 2008

#### RODZINNIE

Tydzień temu spędziliśmy przesympatyczny, rodzinny weekend na Ruince.

Pojechaliśmy w piątek, nieświadomi, że nad Polską szaleje groźna trąba. Była burza, więc wyłączyliśmy telewizor i radio. Na drugi dzień okazało się, że żywioł przeszedł nieopodal naszej wioski. Oczywiście padało koszmarnie i Mama pół nocy nie spała — słuchała, czy już nas zalewa, czy chwilowo tylko strych (nadal mamy dziurkę w dachu).

Pogoda więc nie dopisała, ale za to towarzystwo owszem. Wraz z nami na Ru-inkę pojechała Ciocia Kasia i Monia, a w sobotę mieliśmy rodzinny najazd. W szczytowym momencie w naszym domku zebrało się szesnaścioro ludzi, dwa psy i kot. Chłopcy zakasali rękawy i pomogli Tacie wyładować cały wóz drewna.

Sam rozładowywałby go dobrych parę dni, a pojechaliśmy tam tylko na weekend. Chociaż nasi Sąsiedzi powiedzieli, że jakby Tata nie zdążył, to oni by to zrobili. W każdym razie chłopcy się bardzo napracowali (dzięki, chłopaki!).



Igor był zadowolony, bo dostał mnóstwo drewnianych patyków z wozu i namiętnie je gryzł. Nawet Luna go za bardzo nie wzruszała. A następnego dnia pobiegał sobie porządnie w tunelu. Śmigał też po jesiennych już polach.

Nie obyło się oczywiście bez scrabli — Ciocia Kasia i Monia lubią w nie grać prawie tak bardzo jak ja i zawsze z przyjemnością oddajemy się tej rozrywce.

W niedzielę natomiast wypogodziło się na tyle, że poszliśmy z Monia i Igorem na spacer (stąd najprawdopodobniej te problemy z uchem, Królewicz chyba jest na coś uczulony). Biegał jak szalony, bo już po żniwach i może sobie galopować, gdzie dusza zapragnie. A na koniec rodzinnego wypadu zrobiliśmy grilla.

Igor przyzwyczał się do podróży i do tłumów ludzi, które przewijają się przez nasze mieszkanie, a także przez Ruinkę. Początkowo bardzo go to stresowało, nie lubi hałasu i gwaru. Teraz przyjmuje to ze stoickim spokojem. Z Monia nawet chciał spać w jednym łóżku, bo moje ruinkowe jest dla nas dwojga za małe :}

Czwartek, 28 sierpnia 2008

#### KONIEC RZUCANIA

Żeby nauczyć Igora wkładania tabletek do mojej wypełnionej po brzegi szuflady, musiałam opracować plan działania. Plan wyglądał następująco:

1. Nauka wkładania pyska do pustej szuflady na komendę: „Pudełko”.
2. Nauka trzymania w pysku przedmiotu.
3. Nauka puszczenia przedmiotu na komendę (punkt 2. i 3. wymagały tylko utrwalenia, bo właściwie Igor to umiał).
4. Wkładanie przedmiotu do pustej szuflady.
5. Wkładanie przedmiotu do szuflady z paroma przedmiotami.
6. Przeniesienie zachowania z szuflady do ćwiczeń na moją szufladę z lekami.

Ćwiczyliśmy do obrzydzenia od pobytu w Kopernicy, gdzie w początkowej fazie pomagała nam Ola z Alteri.

Dzisiaj w nocy mój pies pominął punkt 5. i odłożył tabletki do szuflady. Taki zdolny :).

Czasami mu się myli i odkłada coś na podłogę, ale od razu się reflektuje. Zdarzyło mu się też parę razy podnieść przedmiot i zamiast mi go podać, odnieść go do szuflady do ćwiczeń.

Nadgorliwiec, he, he.

Najważniejsze, że oto w naszym wspólnym życiu skończyła się era rzucania tabletkami do celu (bo zazwyczaj tak trafiały z powrotem na miejsce). Teraz Igor otwiera szufladę, wyciąga medykamenty, odkłada je i zamyka szufladę. Kulturka.

Ktoś, kto jest samodzielny, nigdy nie zrozumie, jak to jest, gdy długopis leżący na podłodze staje się tak nieosiągalny, jakby znajdował się na Marsie. Niby jest bliźutko, ale nic go nie ruszy, jeśli ktoś po prostu go nie podniesie.

Kiedy zostawałam sama w domu i spadł mi telefon, oblewał mnie zimny pot. Bo oto przez swoją niezdarność byłam odcięta od świata.

Kiedy za piętnaście minut MUSIAŁAM wyjść z domu, a spadały mi dwa podstawowe kosmetyki i miałam pomalowane jedno oko, a nikogo ze mną nie było, doświadczałam ogromu mojej bezradności i niepełnosprawności. O, wtedy czułam się naprawdę chora.

A już najgorzej było, gdy upuszczalam na podłogę notatki i popołudnie, które miałam przeznaczyć na naukę, spędzałam w oczekiwaniu na kogoś, kto mi je podniesie, a uczyłam się w nocy.

Już nie pamiętam tych czasów- nie chcę pamiętać. Obecność Igora uwolniła mnie od wielu negatywnych emocji i lęków. Blondyn dał mi sporo nowych możliwości, m.in. pozwolił poznać, co to znaczy samej szykować się do spania. Mamy swój rytuał- wyciągamy leki, ściągamy skarpetki, później wyjmujemy piżamę. Teraz nikomu nie tłumaczę się, czemu chcę taką, a nie inną tabletkę. Igor podaje, chowa i o nic nie pyta. Luksus.

Sobota, 30 sierpnia 2008

## GŁODOMÓR

Wczoraj wędkarze podśmiewali się z Ajkiego, który nad jeziorem szukał czegoś do zjedzenia, jednocześnie zezując, czy aby oni nie mają czegoś do przekąszenia. W końcu jeden z nich zapytał (bez złośliwości):

- Ten pies to dostaje coś do jedzenia?

A ja na to:

-Jasne, raz w tygodniu coś mu daję.

Panowie byli z poczuciem humoru! więc porechotaliśmy wspólnie, a któryś dodał:

- No, to chyba go pani karmi w soboty.

159

Sobota, 30 sierpnia 2008

## ODWIEDZINY

W poniedziałek odwiedziliśmy rodzinę Losków, z którą przyjaźnię się od lat. Połączyły nas wspólne doświadczenia — zanik mięśni, a także to, że w liceum zostałam w ramach wolontariatu „starszą siostrą” jednego z braci Losków -Leszka. Odwiedzałyśmy go z koleżanką raz w tygodniu, wspólnie się bawiliśmy, graliśmy w gry planszowe, chodziliśmy na spacer. Bardzo polubiłam całą rodzinę, czuję się tam, jak u siebie, a pani Loskowa śmieje się, że jestem jej przyszywaną córką.

Do Losków wybraliśmy się sami — czyli ja i Blondyn na szlaku. Pokonaliśmy daleką trasę - szliśmy przez dwa osiedla. Oczywiście miałam z tego wielką radochę.

U Losków zaskoczyły mnie zmiany. Dawno mnie u nich nie było, a tu wyrósł fantastyczny podjazd, pojawiły się poszerzone drzwi, został zrobiony remont łazienki. A to wszystko przy pomocy PFRON-u i Bardzo pozytywnie nastroił mnie fakt, że ktoś przeszedł przez Skuteczne Zniechęcanie Zawodnika, a dodatkowo znalazł firmę, która zrobiła remont zgodnie z wytycznymi.

Wizyta okazała się przemiła. Igor pokazał, jak dba o panią, dostałam prześliczny koszyk zrobiony przez Panią Marysię. Tylko Edi, piesek Marcuszka, był przerażony, bo jest wielkości g ływy Królewicza. Miał prawo się bać.

Piątek, 12 września 2008

## WAKACYJNE DOŚWIADCZENIA

W minione wakacje Igor miał okazję zetknąć się z wieloma zjawiskami pierwszy raz. Nie pisałam o tym na bieżąco, więc teraz krótkie podsumowanie.

## TARG

Wiejski targ wyprowadził Królewicza z równowagi. Wszystko chciał wachać, łącznie z królikami. Kompletnie się zaciął. Mama powiedziała, że już go nigdy nie zabierzemy, ale Tata w niego nie zwątpił i spróbował jeszcze raz. Wypadł dużo lepiej, ale chyba musiałabym tam zamieszkać, żeby Igor się przyzwyczaił.

## KOCIĘTA

U Cioci Uli Igor spędził kilka miłych chwil z kociętami. Zachowywał się wobec nich delikatnie i wyrozumiale, a one chyba polubiły wielkiego wujka. Nawet go zaczepiały.

## KRAWCOWA

Igor odwiedził ze mną kilka razy Panią Krawcową. Zachowanie — bez zarzutu, chociaż położył się na środku pracowni.

## ZDALNIE STEROWANE ZABAWKI

Na osiedlu spotkaliśmy raz chłopców ze zdalnie sterowanymi samochodzikami. Ajki chciał je gonić. Kiedy został zapięty na smycz, podeszłam do nich i poprosiłam, by pozwolili Igorowi je powachać. Po oględzinach chłopcy włączyli autka, a ja skupiałam na sobie uwagę Królewicza. Potem oczywiście obowiązkowo-151 we głąskanko i na koniec próba przejścia obok jeżdżących samochodów. Zabawki przestały być dla Ajki interesujące. Aż dziw, że tak szybko nam poszło. Zdalnych, furczących okrętów Ajki się boi i omija je z daleka.

## FAJERWERKI

Na jednym z ostatnich spacerów nad jeziorem zaskoczyły nas fajerwerki. Nagle rozbłysły nad naszymi głowami, a Igor był luzem, więc wystraszyłam się, że na oślepie, w popłochu pobiegłam do lasu. Ale udało mi się go uspokoić — właściwie tylko głosem i „wrzuceniem” go w komendę, którą bardzo dobrze zna - „Siad”. Zrywał się co jakiś czas, ale zaraz siadał z powrotem. Poziom stresu musiał mieć ogromny, bo w pewnym momencie przestało go interesować nawet jedzenie.

Niestety, robi się zimno i na jakiś czas musimy sobie darować samotne wyprawy. Już czekamy na wiosnę.

Niedziela, 14 września 2008

## BUCZENIE

Dzisiaj bladym świtem obudziło mnie buczenie.

Otworzyłam oko i zobaczyłam Igora siedzącego przy łóżku. Od jakiegoś czasu, gdy się budzę, a nie mam na rano do pracy, wołam go do łóżka i robimy sobie dogoterapię. Ale zawsze go zapraszam, nigdy nie wchodzi sam i nigdy o 6.00!

A dzisiaj siedział i buczał. Przez nos, tak domagająco. Zawsze tak buczy, kiedy czegoś chce. — Właż — mówię, bo o takiej porze z nikim nie chce mi się dyskutować.

Nie musiałam powtarzać, ale okazało się, że Igor przeżył wielkie rozczarowanie - na jego miejscu obok mnie spał Łatek.

Zdegustowany położył się w nogach.

Ze spadkiem temperatury moje łóżko znowu robi się za małe, im zimniej, tym więcej ekipy grzeje się w mojej pościeli.

Piątek, 19 września 2008

## NORMAN DAYIES I BŁYSZCZYK

Nie mam w ogóle czasu. Wczoraj udało mi się skoczyć w końcu do lekarza po skierowanie na badania okresowe i dowiedziałam się, że mniej więcej od dwóch tygodni mam zapalenie migdałków. Tak to jest, jak się nie ma chwili, by pochorować. I dlatego dopiero teraz piszę o spotkaniu z Normanem Daviesem, które odbyło się ponad tydzień temu.

Do Biblioteki Śląskiej pojechał z nami Robert, a na miejscu czekała już polonistyczna ekipa z Mrówką na czele. W sali tłum, ale mieliśmy zarezerwowane miejsca, więc nie było problemu. Zabrałam Ajkusia, bo musi się chłopak na nowo przyzwyczajać do wykładowej atmosfery.

Wszystko szło gładko, tylko oklaski Igora nieco zaniepokoiły. Były bardzo długie, bo z Daviesem pojawiły się trzy osoby prowadzące spotkanie i każda była oklaskiwana. Ajki wstał i spoglądał na mnie. Nie miałam szans uspokoić go głosem, bo hałas zrobił się okropny. Ajki widząc, że mam coś w lewej ręce, sięgnął, by to zjeść - myślał, że jest to chrupka.

A to był błyszczyk! Taki miniaturowy. Kiedy Davies się pojawił, akurat się malowałam, a w lewej ręce miałam otwartą buteleczkę.

Królewicz przememlał błyszczyk i fantastycznie nim splunął. Ulżyło mi, bo jakoś nie miałam pomysłu, jak wydostać błyszczyk z psa.

Resztę spotkania przespał. Mieliśmy ubaw, bo coś mu się śniło i zapiszczał, ale na szczęście Norman tego nie słyszał :D.

Poniedziałek, 22 września 2008

## ALLYOU NEED IS... PARÓWKA

Leje i leje, a jak nie leje, to wieje.

Jem te antybiotyki i słaba jestem strasznie.

Nie byliśmy z Ajkim cztery dni na długim spacerze, na szczęście zawsze ktoś się znajdzie, by chłopak sobie pobiegał. Dzisiaj na przechadzkę zabrała go

Mama. Zazwyczaj chodzi z nim na smyczy, bo panikuje, że się zgubi, wpadnie pod auto itd.

Pytam: -Załatwił się?

- Nie, bo cały czas gapił się na parówkę.

- ?

- Musiałam ją ze sobą zabrać, żeby mnie słuchał. To się nazywa motywacja.

Wtorek, 23 września 2008

### DRZEMY PIŻAMĘ

Zazwyczaj Ajki podnosi mi głowę za pomocą tasiemki, którą mam zawieszoną na szyi. A jak jej nie ma, to ciągnie za cokolwiek, byle pańcia mu do pionu wróciła. I tym sposobem zrobiliśmy dwie dziury w bluzie od piżamy. Stara byta, więc miała iść na szmaty.

Korzystając z tego, podaraliśmy ją na strzępy. Zabawa przednia, szczególnie dla Ajka. Mata rzecz, a tyle radochy :).

PS. Dzisiaj Igor przyniósł mi z kuchni koszyczek, w którym leżał cukierek. Pyszczyk mu się radował. A ja byłam dumna.

W naszej karierze zniszczyliśmy naprawdę sporo rzeczy.

Zacznijmy od tego, że nie jestem najlepszym kierowcą. Pan Bóg wiedział, co robi, gdy zdecydował, że nigdy nie będę prowadzić samochodu. Znajomi

i przyjaciele, bliższa i dalsza rodzina mają świadomość, jak to jest być przejechanym elektrykiem, który waży ponad sto kilo. I dodam, że nigdy nikogo nie przejechałam specjalnie.

Przy każdej wizycie w hipermarkecie Tata prosi mnie, bym nie wjechała w misternie ułożone puszcзки. Bowiem doskonale wie, że mam na swoim koncie kraksę z rowerzystą i obdarcie wielu futryn. Wie, że przejechałam panią, która wychodziła z przystanku, a w zamierzchłej przeszłości dobiłam do kamiennego kwietnika. Niedawno zaś, biegnąc przez Katowice, złapaliśmy w smycz jakąś kobietę — niefortunnie weszła między mnie i Igora.

Staram się poprawić, ale to nie zawsze wychodzi i czasami bywam Panną Demolką.

Z Igorem niszczyliśmy głównie spodnie - bo uczyliśmy się poprawiać nogę. Piżam też trochę poszło. Zrobiliśmy kilka dziur w skarpetkach. Telefon przeżył, bo jest aluminiowy, ale aparat fotograficzny nie działa w nim od wielu miesięcy.

Teraz, kiedy mniej się uczymy, a raczej utrwalamy, strat jest niewiele. Jednak - trzeba to przyznać — dla nauki trochę poświęciliśmy.

Środa, 24 września 2008

### PORZĄDKOWY

Ajki lubi się udzielać - to Mamie coś podniesie, to Tacie poda. Uwielbia asystować w ładowaniu zmywarki. Pewnie liczy, że coś mu skapnie z brudnych talerzy.

Wczoraj przychodzi do mnie z miną pt. „Mam coś dla ciebie”. Patrę — nic z pyska nie zwisa (zazwyczaj jak chce przypomnieć, że jest cool, to przynosi mi komórkę). Ale jednak coś tam tkwiło - wcisnął mi do ręki paperek z cukierka!

Nawet nie widziałam, kiedy mi spadł. Nie miałam przy sobie chrupek, ale moje okrzyki chyba mu uświadomiły, że zbieranie paperek z podłogi jest jak najbardziej w porządku.

A mógł przecież go:

— wylizać,

— wymemlać, -zjeść.

To się robi z papierkami według filozofii życiowej mojego psa.

Ale nie - on przyniósł. Taki porządkowy z niego.

Niedziela, 5 października 2008

### NA CHANDRĘ NAJLEPSZY JOGGING

Dzisiaj cały dzień miałam zajęty, ale późnym popołudniem udało mi się znaleźć czas na spacer z Królewiczem. Ubrałam się ciepło, zaopatrzyłam w niezbędne rekwizyty (rękawiczki oraz chrupki) i ruszyliśmy. Sami.

Bardzo tego potrzebowaliśmy.

Mam nowy, szybki wózek, przy którym Ajki biega. Śmieję się więc, że wspólnie uprawiamy jogging. Owo bieganie dobrze robi Igorowi i mnie. Jemu na kondycję, a mnie na samopoczucie.

Zresztą i dla mnie to jest ćwiczenie -jedną ręką kieruję, drugą podaję od czasu do czasu chrupki, a poza tym przy takiej prędkości (ok. 10 km/h] prawie wszystkie moje jeszcze istniejące mięśnie muszą pracować.

Trochę ryzykowna była ta wyprawa, bo słońce zaszło i zrobiło się zimno, a im chłodniej, tym mniej mam siły. Ale zarządzałam przerwy na odpoczynek, Igor jest wyrozumiały i nie robił mi wyrzutów, że tych przystanków trochę się nabierało.

Dzielnie ustawił mnie do pionu, gdy opadła mi głowa (choć branie do pyska szalika nieco go brzydzi, a za niego musiał ciągnąć).

Pobyliśmy sobie razem. Podumaliśmy. Nawdychaliśmy się jesieni.

Taki jogging to supersprawa :).

Piątek, 10 października 2008

## MY I DZIECIAKI

Nie chciałam nic pisać, by nie zapeszyć, ale teraz już mogę się przyznać — od początku września jeździmy z Ajkim do szkoły integracyjnej. Tam pracujemy z chłopcami z grupy rewalidacyjnej.

Niezwykle doświadczenie - dla mnie, dla Igora i oczywiście dla dzieci. Na miejscu są pedagog i osoba wspomagająca. Wszystko więc się odbywa tak, jak mnie uczono w „Małym Piesku Zuzi”.

Spotkaniom tym towarzyszy wiele emocji. Dla mnie są szkołą życia. Niestety, ze względu na prywatność chłopców nie mogę ich dokładnie opisywać. Ale chciałam, byście wiedzieli, że nasze marzenie o pracy w dogoterapii się spełniło :). Trzeba tu dodać, że spełniło się w znacznej mierze dzięki Arturowi, bo to on co tydzień pakuje nas do auta i jest naszym kierowcą. A pakowanie do auta mnie i mojego elektryka to nie lada sztuka.

Po zajęciach z chłopcami, kiedy czekam na Artura przed szkołą, oblegają nas dzieciaki. Większość z nich ma zespół Downa, inne jakieś schorzenia, których nie znam, niektóre są opóźnione. Staram się im wyjaśnić, co zrobić, by Igor dał łapę, przybił żółwika, ale zazwyczaj mnie zagadują i sami znajdują wspólny język z Ajkim. Wypytyują, a ja im opowiadam — o tym, jak Blondyn mi pomaga, skąd przyjeżdżamy.

Królewicz bardzo lubi te wyprawy, bo łączą się z pasztetem, którym jest nagradzany.

Początkowo się stresował, ale do nowego otoczenia przyzwyczajałam go bardzo powoli. Teraz, gdy przychodzi do nas Artur, Igor od razu wpada w podróżnicze podekscytowanie.

Skoro już mówimy o dogoterapii, wspomnę również o naszych wizytach w tyskiej ochronce dla dzieci.

Byliśmy tam dwukrotnie — raz na krótko, by Ajki poznał otoczenie, i drugi raz, by pobyć z dzieciakami trochę dłużej. Pomysłodawczynią była Taia, która jest tam wolontariuszką. To ona przygotowała piękny plakat, na którym zostały wypisane zasady naszego spotkania (m.in. jeden z punktów informował, że dzieci nie jedzą chrupek od psa], Również Taia zrobiła dla dzieciaków psie medale - zdobywał je każdy, kto brał udział w konkurencjach. Przyjechaliśmy tam całą „Ajkową ekipą”, czyli ja, Igor, Taia, Kinia i Krzysiek.

Spotkanie miało charakter edukacyjny - przez zabawę nauczyliśmy, jak postępuje się z psem, czym się go karmi, czym różni się pies przewodnik od psa asystującego, jakie rasy najczęściej są pomocnikami ludzi itd. Nie zabrakło jednak atrakcji takich jak przeciąganie liny i zbieranie chrupek razem z Igorem.

Królewicz cały czas się udziela i sprawia wielu osobom sporo radości :).

Wtorek, 14 października 2008

## ROZKŁAD JAZDY

Rok akademicki za pasem, a ja ztapatam jesienny spadek formy i pół weekendu przeleżałam na Ruince. Jedyny tego plus to to, że przeczytałam półtorej książki. Poza tym byłam marudna, bo okropnie mnie drażnią spadki formy i czasami tracę do nich cierpliwość. Leżenie jednak dało efekt i jestem gotowa do działania.

Swoją drogą muszę być gotowa, bo od tego tygodnia zaczynam zajęcia. Mój rozkład jazdy na kilka następnych miesięcy jest dosyć ambitny:

- poniedziałki - wspólnie z Krzyskiem brniemy przez epoki literackie,
- wtorki - dogoterapia,
- środy i czwartki - uczelnia,

169 - od czwartku do poniedziałku praca,

+ gibanie z Gibonem, czyli rehabilitacja,

+ ćwiczenia z Wujkiem Olkiem,

+ raz w miesiącu Klub Dobrej Książki i Wspólnota Dorosłych.

Im więcej do zrobienia, tym więcej czasu! I tego się trzymajmy.

Czwartek, 16 października 2008

BYWAJĄ TAKIE DNI...

Wczoraj mieliśmy niewiarygodnego pecha. Chyba go wyczerpaliśmy na kilka następnych miesięcy.

Lista nieszczęść w porządku chronologicznym:

1. Z rana odezwały się moje plecy-zjadłam tabletkę, Mama zrobiła opatrunek i postanowiłam o tym nie myśleć. Musiałam jechać na uczelnię, stwierdziłam, że o plecach pomyślę wieczorem.
2. Na spacerze Igor wykorzystał chwilę nieuwagi i zjadł pół osiedlowego śmietnika. Cud, że się nie rozchorował.
3. Nie przyjechał nasz autobus, musieliśmy czekać na następny, a Mrówka zmuszona została do biwakowania na przystanku w Katowicach, gdzie nas oczekiwała.
4. W tę środę po raz pierwszy w tym semestrze mieli nas odwozić po wykładzie klerycy. Zapomnieli o tym, coś nam chyba przekaz informacji w którymś momencie nawalił. Tym sposobem stanęłam przed dylematem — co robić? Późno, ciemno, do domu daleko, Tata w pracy, a Mrówka mieszka w zupełnie innej części Śląska. Zadzwoiłam do seminarium, złapałam kolegę kolegi, który mi kleryków załatwił, i mówię:  
— Słuchaj, wykombinuj mi kogoś, bo nie mam jak wrócić do domu!

I już miałam obstawę.

Nie ma sytuacji bez wyjścia! Paweł mówi, że Opatrzność nade mną czuwała, bo oni właśnie wychodzili biegać. Złapałam go w ostatnim momencie. Zapominalskich nie zlokalizowano, ale myślę, że mają przekichane ;), bo jak już staliśmy na przystanku, to dzwoniło do mnie z przeprosinami.

5. Przyjechał autobus bez otwieranej klapki i chłopcy musieli wepchnąć mojego elektryka do środka własnymi siłami.

Kiedy wróciłam do domu, odetchnęłam z ulgą, że to już koniec. Igor był wykończony, chyba za bardzo się wczuł w mój nastrój. Leżąc w łóżku, pomyślałam sobie, że i tak wiele nieprzyjemności nas ominęło. Na przykład Igor mógł dostać niestrawności po śmieciach, a nie dostał i był bardzo grzeczny. Mogłam nie trafić na Pawła i czekać w Katowicach do nocy na Tatę.

Tak do końca nie dałam się pechowi, ale mam nadzieję, że już się od nas odczepił :D.

Czwartek, 23 października 2008

SAMI AUTOBUSEM

Tydzień temu pojechaliśmy sami do Katowic. Autobusem.

Mama mi zabroniła. Kategorycznie. Pomimo moich wyjaśnień, że właściwie nic się nie może stać. Było mi przykro, że robię coś wbrew Maminej woli, ale czułam, że MUSZĘ.

Mam teraz stabilnego, ciężkiego elektryka z pasem jak w samochodzie, nikt więc nie musi mnie trzymać. A jak głowa opadnie, to jest Igor, chociaż szalik mi ją ładnie stabilizuje.

Do autobusu zapakował nas Tata i powiadomił kierowcę, gdzie wysiadamy. Bałam się okropnie, ale szybko mi przeszło. Ludzie się do nas uśmiechali, Igor zachowywał się grzecznie i

wspierał mnie, kładąc swoim zwyczajem pysk na bucie. Bez niego pewnie bym się nie odważyła. Wymienialiśmy spojrzenia: „OK?” - „OK”. Jeśli OK, to Igor spał, bo był wtedy wykończony po sławetnej uczcie w śmietniku.

A na miejscu czekała na nas Mrówka, która musi przyzwyczać się do Megi w wersji samojeżdżącej. Do tej pory na uczelni jeździłam na zwykłym wózku bez napędu.

Jadąc autobusem do Katowic, miałam ochotę zakrzyknąć niczym Leo na kadłubie Titanica:

„Jestem królem świata!” :D.

Dzisiaj już nikt nie pamięta, że Mama zabroniła mi wtedy jechać. Sama chyba o tym zapomniała. Ale -jak zwykle - trochę racji miała, bo kilka lat później zdarzyło się, że w autobusie wywinęłam orła. Stałam nieprzepisowo, tyłem do drzwi i wywróciłam się. Bardzo mnie poturbowało, zabrało mnie pogotowie, ale dochodziłam do siebie w domu.

Igor był w takim szoku, że pierwszy raz w życiu nie zjadł rozsypanych chrupek.

Trochę więc nabrałam dystansu do autobusowych przejazdów, ale całkowicie z nich nie zrezygnowałam.

Zazwyczaj, gdy jedziemy sami, natychmiast znajduje się ktoś, kto chciałby z nami pogadać.

Wysłuchuję więc opowieści o psach i pieskach, o kotach też się zdarza. Blondyn jest doskonałym pretekstem do autobusowych pogawędek, a te rozmowy świadczą o tym, że Polacy to nie same gbury chowające się za gazetami.

Czwartek, 23 października 2008

#### NIE OPUSZCZAJ MNIE NIGDY WIĘCEJ

Dni mijają w tempie rekordowym, ostatnio głównie pod hasłem „konferencja”, bo jadę na taką na początku listopada. Muszę coś na nią skrobnąć, ale muszę też czytać i pisać tysiąc innych rzeczy, a w sobotę wybieram się na Targi

Książki do Krakowa. Stresik więc jest, ale na razie pozytywny, niezjadający, adrenalina dobrze mi robi.

Do dzisiaj nie miałam okazji zatrzymać się i podumać, jaką to piękną mamy jesień. Z Igorem chodziliśmy na spacer wieczorami, a wtedy o podziwianiu kolorowych liści nie ma mowy.

Dzisiaj ruszyliśmy z Monia i jej koleżanką na długą przechadzkę. Mój pies był wniebowzięty — tarzał się, bawił z dwiema koleżankami, wykapał się w jeziorze. No i najważniejsze — tuż obok miał ukochaną pańczę, bez której ostatnimi czasy spaceru nie mają sensu.

Od niedawna Igor nie chce chodzić na rekreacyjne bieganie i zabawy z patykiem beze mnie,

ewentualnie bez Taty. Jeśli już, to może pospacerować z Taią i Timonem albo z Kinia. Z kimkolwiek innym spacer kończy się na stawaniu z miną: „Nigdzie nie idę”. Czyżby Królewicz zaczął się bać, że ten ktoś, kto po niego przychodzi, chce go zabrać na zawsze? Nie wiem.

Z jednej strony, dobrze, że się przywiązał, bo mówi mi tym zachowaniem: „Nie opuszczaj mnie nigdy więcej”. Z drugiej zaś, chciałabym, by wychodził z kimś się poruszać, gdy ja mam na drugą zmianę albo po prostu (z różnych względów) nie mogę z nim iść.

A Igor widocznie nie chce ryzykować, bo w jego łepetynie pojawiła się chyba myśl, że każdy, nawet najsympatyczniejszy gość, może zechcieć zabrać go od blondyny. Niech więc sobie sami chodzą biegać, a on spokojnie będzie pilnował swojej pani. Koniec dyskusji.

Igor od najmłodszych lat zwiedził sporo domów. Musiał poznać wiele sytuacji i wielu ludzi, by później dobrze spełniać swoją życiową misję. Dlatego często zmieniał miejsce zamieszkania - ośrodek w Brzeźnicy, mieszkanie rodziców

Agi, mieszkanie Jacka, w którym przyzwyczał się do kotów. Jestem pierwszą osobą, z którą mieszka tak długo, i trochę się naczekałam na jakieś emocje czy uczucia z jego strony. Cieszą mnie nasze porozumiewawcze spojrzenia, jego radość na mój widok, jego buczenie, które świadczy o tym, że Igor chce wleźć na łóżko po odrobinę czułości. Coraz częściej Blondyn na swój powściągliwy sposób pokazuje, że ma dla mnie gorące serce.

Środa, 29 października 2008

#### NIE DO ZAMĘCZENIA

Wujek Olek mówi mi wczoraj:

- Magda, o tobie napiszą w najnowszej encyklopedii zdrowia. I tam pod hasłem „Magda” będzie napisane: „Nie do zameczenia”.

He, he, no niby tak.

Ale kubek z herbatą coraz cięższy.

Kiedy w wieku 97 lat umierała Prababcia, lekarz powiedział nam, że z jej genami mamy zapewnioną długowieczność.

Często te słowa wspominamy, bo już kilka razy okazywało się, że — paradoksalnie - mam naprawdę mocny organizm. Najpierw przy operacji, potem podczas licznych wywrotek (aż dziw bierze, że mam całą głowę), następnie w trakcie problemów z jedzeniem, a także w ostatnim czasie, kiedy to z zakrzepicą

biegałam do pracy, ćwiczyłam, pływałam i miałam masaże. Oczywiście nie byłam świadoma, że jestem tak poważnie chora.

Moi bliscy twierdzą, że jestem nie do zdarcia.

Tymczasem po ostatnim, wielomiesięcznym chorowaniu wiem już, że mój organizm też musi czasami odpocząć. Zdaję sobie sprawę, że jeśli chcę być długowieczna, muszę o siebie zadbać (i to jest najlepszy dowód na to, że się starzeję ;)).

Jednak przekonałam się, że na zanik mięśni i na zachowanie formy najlepsze są przyzwyczajenia. Jeśli daną czynność powtarzam codziennie, to jakoś mniej widać postęp choroby, a przynajmniej tak się wydaje. Dlatego dużo piszę, dlatego ćwiczę z Ajkim, dlatego sama się maluję i sama jem zupy (a jedzenie zup jest wybitnie trudne dla zanikowców), nawet wtedy, gdy jestem zmęczona. 175 Nie chcę wyjść z wprawy.

Środa, 29 października 2008

PRZYJACIELE IGORA

Dbam, by Igor nie tylko chodził na długie spacery, ale też by miał towarzystwo.

I tak wczoraj wybraliśmy się do parku z Bartkiem i Luną oraz Olą i Kajlą. Dziewczyny szalały, Blondyn nieco mniej, ale myślę, że całe towarzystwo wróciło zadowolone.

Ola opowiadała mi, że Kajla —jako typowy golden — uwielbia kąpiele. Jej miłość do wody jest tak ogromna, że młoda pakuje się Oli do wanny, gdy ta się kąpie. Na szczęście Igor nie ma takich pomysłów i asystuje PRZY wannie, a nie W niej.

Natomiast dzisiaj byliśmy na spacerze z Mateuszem i jego pupilem Maksem. Igor nie zapałał miłością do nowego kolegi i raczej go omijał, ja zaś uśmiechałam się do łez. Maks jest niezwykle energiczny i już pod blokiem chciał wyrwać oponę, w której są zasadzone kwiatki. Następnie w rowie znalazł cztery razy większy od niego konar i z nim biegł. Poza tym Maks bardzo lubi gałęzie i skacze po drzewach, by ich dosięgnąć. W życiu nie widziałam psa, którego fascynują gałązki - patyki, owszem, ale gałązki na drzewach?! Hitem jednak było to, że Maks zapomniał, iż nie umie pływać. Skoczył do jeziora za Igorem i zaczął się topić. Mateusz już chciał zdejmować buty i go ratować, ale jakoś poradził sobie sam.

Myślę, że Maks ma zaawansowane ADHD :D. I najbardziej na świecie kocha swoją piłeczkę.

Igor więc ma psich przyjaciół, a wiadomo - w kupie rażniej.

Niedziela, 2 listopada 2008

MEGI W RAJU

Tydzień temu razem z Natalią, Blanką i Marcinem wybraliśmy się na Targi Książki w Krakowie.

Dostałam oczopląsu i poczułam, że gdyby ktoś ofiarował mi tysiąc złotych, to bez problemu bym go tam wydała. Książki mnie kuszą - i o ile reklamy w internecie nie działają na mnie specjalnie, o tyle widok tyłu namacalnych książek mnie oszołomił. Na co drugim stoisku dostrzegałam coś, co chciałabym mieć na własność. Mam całą listę książek do kupienia w pierwszej kolejności.



Nie mam pojęcia, kiedy je przeczytam, bo aktualnie muszę pochłonąć „lektury nakazane”, ale wiem, że ich pragnę!

Znalazłam się w raju.

Po raz kolejny spotkałam Krystynę Siesicką, do której mam wielki sentyment, bo z jej twórczości pisałam magisterkę. Ojciec Leon Knabit wyściskał mnie i Natalię, gdy byłyśmy u niego po podpis na książce. Pogadał z nami i nas pobłogosławił, jakbyśmy byli znajomymi od lat.

Odwiedziłyśmy też Izabelę Sowę, Jerzego Pilcha i Wojciecha Cejrowskiego. Ten ostatni oczywiście wystąpił na bosaka :). Poza tym spotkałyśmy Rafała Bryndala, któremu odruchowo powiedziałam: „Dzień dobry”.

Mieliśmy mało czasu, bo o 16.00 musiałam być w domu na imprezie urodzinowej Taty. Igor z nami nie pojechał i dobrze się stało, bo w hali było gorąco 177 i tłoczno, a my po niej biegaliśmy.

Blondyn był odmiennego zdania i pół dnia spędził pod drzwiami w oczekiwaniu na swoją panią.

We wtorek znowu jadę do Krakowa - tym razem do Wydawnictwa Literackiego w celach naukowych.

Kiedy byłam mała, Tata czytał mi książeczki z serii „Poczytaj mi, mamoo...”. Bo o czytanie męczyłam Rodziców niemiłosiernie. Nie umiałam sama składać literek i Mama przekonała mnie, że na owych opowiastkach jest napisane: „Poczytaj mi, tato...”. Wierzyłam w to święcie i od tej pory z czytelnictwymi pragnieniami przychodziłam do Taty.

Swoją drogą, po latach odnalazłam te książeczki i byłam oburzona przebiegłością Mamy.

Z drugiej jednak strony, nie dziwię się w ogóle, bo potrafiłam być nieznośna i wierciłam dziurę w brzuchu do upadłego. Naszą ukochaną lekturą z Tatą były Burzliwe dzieje pirata Rabarbara Wojciecha Witkowskiego. Lecz pewnego dnia podczas delegacji Tacie udało się kupić kasety magnetofonowe ze słuchowiskiem Ania z Zielonego Wzgórza Lucy Maud Montgomery. Od tej pory już nikogo nie nękałam o czytanie — słuchałam w kółko i ciągle było mi mało. Świat Ani mnie zafascynował i z zapalem uczyłam się czytać, by samodzielnie zapoznać się z tym dziełem. Książki stały się moją pasją, a czytanie chlebem powszednim, i to niemal dosłownie, bo czytałam także przy jedzeniu.

Do końca życia zapamiętam długie, rozkoszne popołudnia mojego dzieciństwa, które spędziłam nad książkami. Nie było komputerów, w telewizji dwa programy, zaś dostęp do małej lampki i rzędem zapisanych kartek był nieograniczony. Czekałam niecierpliwie na powrót Mamy z biblioteki czy księgarni, by zobaczyć, co tym razem mi przyniosła. Oglądałam długo jej zdobycze i cieszyłam się na czytelniczą ucztę.

W liceum nieco mi przeszło — nowe znajomości, nowy świat, era Internetu i Gadu-Gadu. Do pochłaniania książek wróciłam, chcąc nie chcąc, na studiach. Jednak prawdziwa mania czytania dopadła mnie na nowo dopiero na studiach doktoranckich. Czytam to, co recenzuję, to, co muszę, i to, co chcę — zazwyczaj kilka pozycji jednocześnie.

Nie ma w moim kalendarzu dni bez książki.

Środa, 12 listopada 2008

#### SALATKA OWOCOWA I INNE PRZYGODY

Ostatni tydzień był po prostu szalony. Głównie przez to, że uczestniczyłam w konferencji „Poznanie, przeżywanie i odkrywanie rzeczywistości społecznej i kulturowej w edukacji”. Wyłaszałam na niej referat pt. „Pole dla wyobraźni — o obchodach urodzin Ani z Zielonego Wzgórza w kraju i na świecie”. Wzwiązku z tym we wtorek bladym świtem ruszyliśmy z Mateuszem do Krakowa - musiałam tam pojechać w celu zdobycia materiałów.

Matt doskonale się mną opiekuje w każdych okolicznościach, nie straszna więc mu była nawet wyprawa pociągiem.

Pierwszy raz znalazłam się w Krakowie tak wcześnie — artyści rozkładali obrazy, a uliczni sprzedawcy wyciągali towar. Mieliśmy trochę czasu, więc powłóczyliśmy się po bocznych uliczkach.

Następnie spędziliśmy „urocze” chwile w archiwum Wydawnictwa Literackiego, przeglądając dziesięć kartonów z pracami dzieci (2400 dzieł!). Matt nosił kartony i robił cierpliwie zdjęcia - jestem pełna podziwu, że nie uciekł.

Wycieczkę zakończyliśmy maratonem po antykwariatach.

Miałam bardzo mało czasu, by wszystko przygotować - streszczenia, prezentację itd., ale wynikało to oczywiście z tego, że zawsze robię wszystko na ostatni moment.

Nie miałam czasu spać, jeść ani ćwiczyć, więc kiedy w środę wieczorem wszystko zostało zapięte na ostatni guzik, w nagrodę zjadłam sobie ogromną miche

sałatki owocowej i zagryzłam zupą jarzynową. W efekcie rano zamiast myśleć

o referacie, myślałam tylko o moim żołądku.

A właściwie w ogóle nie byłam w stanie myśleć. Dodatkowo zaczęła mnie boleć nerka.

Z pierwszej części obrad nie pamiętam nic. Po akcji ratunkowej Taty, który przyjechał z lekarstwami, oraz po półgodzinnym dochodzeniu do siebie, stwierdziłam, że jakoś to będzie.

Występowałam ostatnia, miałam więc sporo czasu, by ochłonąć. Tylko nerka mnie ciągle bolała.

Igor chyba widział, że mi lepiej, bo od połowy drugiej części dawał mi znać, że jest super-podawał łapę i przybijał żółwika. Kiedy wyjechałam na środek, by wygłosić referat, usiadł obok wózka, ale po chwili wrócił na nasze miejsce przy Tai - widocznie stwierdził, że jest nudno. Nie chciałam robić przedstawienia i go odwoływać, mówiłam więc dalej, a kątem oka widziałam, jak Ajki wspina się na Taię. Poradziła sobie, ale mój pies był już w takim zabawowym nastroju, że położył się na plecach, wystawił „podwozie” i się wytarzał.

I już nikt mnie nie słuchał, wszyscy zachwyceni i rozbawieni podziwiali mojego psa!

Na tym konferencyjne przygody się skończyły, ale pół długiego weekendu walczyłam z gorączką i wracałam do normy. Ruinka i Babcia Tosia podziały lepiej niż jakiegokolwiek lekarstwo.

Niedziela, 16 listopada 2008

## HEROIZM

Wracamy do domu autobusem, my z Taią plotkujemy, jest miło i nagle patrzę, a Blondyn wacha parówki wystające z siatki jakiejś pani I

I już oczyma wyobraźni widziałam ten skandal - pies asystujący zezarł kiełbaski, cały autobus oburzony, a najbardziej owa pani, która wiozła pewnie parówki na kolację.

-Yyyy — wybulgotałam, bo tak się zestresowałam. — Nie!!!!!!!

Igor na mnie spojrział: „OK, nie to nie. Głupi nie jestem”.

I jechał tak biedak z parówkami dyndającymi mu przed nosem. A ta kobieta 193 nie przesunęła się ani o krok, dopiero pod koniec podróży poszła sobie usiąść.

Heroiczny to był czyn ze strony Ajka. Ja na jego miejscu bym te parówki pożarła.

Środa, 19 listopada 2008

## BIEGAMY

Zeszły tydzień spędziliśmy głównie w trzech miejscach: w bibliotece, na uczelni i w autobusie. Zna nas już połowa tyskich kierowców.

Biegaliśmy sobie po Katowicach, bo ciągle byliśmy spóźnieni. Ten mój szybki wózek jest świetny. Czasami się zapominam i potem reszta ekipy musi mnie gonić. Ale Igorowi bieganie bardzo się podoba.

Za wsparcie, wspólne rechotanie nad „Szpilkami”, pomoc w przedzieraniu się przez morze artykułów i książek, za sprint po Katowicach, jedzenie w autobusie i pomyślnie zakończenie tygodnia nad pizzą dziękuję Tai i Bartoszewi. Bez Was bym tego tygodnia nie przeżyła.

Studiowałam w Katowicach pięć lat i poznałam tylko Teatr im. Stanisława Wyspiańskiego. Z auta na uczelnię, z uczelni do auta. Czasami udawało mi się namówić Tatę na krótki spacer do sklepu rybnego nieopodal mojego wydziału. Mam sentyment do tamtych okolic, bo tam

wychowała się Mama. W jej dawnym mieszkaniu znajduje się teraz jakiś zakład, o ile się nie mylę - fotograficzny.

Dopiero era Igora i samodzielnych wypraw autobusem pozwoliły mi oswoić to miasto. Zaczęłam poznawać stare uliczki, odwiedzać katedrę, znalazłam moją ulubioną pizzerię, odkryłam deptak na Mariackiej i świąteczny jarmark na Dyrekcyjnej. Okazało się, że Katowice to pełne uroku miasto, które naprawdę nie składa się tylko ze spalin i hałasu. Przy każdej okazji robię sobie długi spacer po katowickich pełnych uroku zakątkach.

Czwartek, 20 listopada 2008

#### WARSZTATY

Trochę za późno ta notka, bo miejsc już nie ma i można wpisać się tylko na listę rezerwową, ale nie mogę pominąć takiego faktu z mojego życiorysu:

Przy okazji kolejnego spotkania z cyklu „W dobrym TTONie być Aniołem” zapraszamy gimnazjalistów oraz uczniów pierwszych klas szkół średnich do wzięcia udziału w WARSZTATACH TWÓRCZEGO PISANIA zakończonych konkursem na najlepszą pracę. Dla zwycięzcy przewidziano ATRAKCYJNĄ NAGRODĘ — BON NA ZAKUPY W SALONIE EMPIK!

#### JĘŚLI:

- jesteś humanistą,
- lubisz język polski i literaturę,
- wiążesz swoją przyszłość z dziennikarstwem,
- masz otwarty umysł, chęć działania i dużo pomysłów,
- pragniesz sprawdzić swoje pisarskie umiejętności

TO SERDECZNIE CIĘ ZAPRASZAMY!!!!!!!!!!!!!!

#### DOWIESZ SIĘ:

- jak tworzy się interesujący blog,
- czym różni się pamiętnik od dziennika,
- jak przygotować się do pisania wywiadu i reportażu,
- czym charakteryzuje się felieton,
- jak pisać, by być czytany,
- jak doskonalić swój warsztat pisarski.

#### WARSZTATY POPROWADZI:

Magdalena Kulus

#### GOŚCIE SPECJALNI:

prof. Marian Kisiel i prof. Krzysztof Kłosiński

Asystent Ajki również będzie obecny, chociaż humanistą nie jest. Już jestem ciekawa uczestników!

Te warsztaty były spełnieniem moich marzeń, ale też wielkim wyzwaniem. Sama miałam przygotować zajęcia, sama je poprowadzić, sama napisać odpowiednie materiały dla uczestników, sama zaprosić gości.

Co ciekawe, stresowałam się, ale był to stres mobilizujący, który dawał mi mnóstwo energii.

Same warsztaty okazały się wielką przygodą i próbą. Czy uda mi się zapanować nad młodzieżą, czy wystarczy mi sił fizycznych i w końcu - czy ich zainteresuję?

Tamten tydzień — spotkania z uczestnikami, rozmowy, dyskusje — był dla mnie fantastycznym przeżyciem i do dziś bardzo miło go wspominam.

Wtorek, 25 listopada 2008

#### JEST PIĘKNIE

Tyle się dzieje, że powinnam codziennie pisać.

Ale napiszę tylko: jest pięknie.

Moc obowiązków, pozytywni ludzie wokół nas, Boże Narodzenie niebawem, nauka (moja i Ajka), ślizganie się po śniegu, puch z nieba, zamarznęte ze śmiechu zęby, spacer, tarzanie się Igora „w tym białym czymś”. Blondyn promienieje i macha uszami bardziej niż zwykle.

Wtorek, 25 listopada 2008

KTO SIĘ NIE ROZWIJA...

...ten się cofa. Tak mawia moja Pani Promotor i Ajki (jako porządny student) w pełni się z tym zgadza.

W ostatnim miesiącu Blondyn nauczył się wyrzucać śmieci, kłaniać i odkładać piłeczkę do ringa. Wciąż doskonalimy te umiejętności, ale jest nieźle. Blondyn ma teraz więcej obowiązków, bo na wydziale poruszamy się sami. Tylko guzik w windzie jest poza naszym zasięgiem.

Igor pokazuje mi każdy papierek na podłodze z miną: „Wyrzucamy? Ja bym wyrzucił”. I w ten sposób zostałam śmieciarzem ;). Mogę uczestniczyć w akcji „Sprzątanie świata”, he, he.

197

Środa, 3 grudnia 2008

NIEZNOŚNIK

Najpierw Igorowe podsumowanie warsztatów.

Blondyn zachowywał się niezdalnie. Już pierwszego dnia oświadczył mi, że on tam nie chce być.

Chodził pod drzwi, zniknął, nie pilnował się wózka, nie miał ochoty pracować i w ogóle nie podobało mu się, że jestem zajęta. Bo przecież mamy klikać, bawić się i chodzić na spacer, a nie ciągle z kimś rozmawiać.

Zjadł na dworze pizzę wyłożoną dla ptaków, mięcho jakies i coś, czego nie miałam możliwości obejrzeć. Trudno było się z nim dogadać.

Blondyn po prostu wymaga uwagi i zainteresowania. Nieustannego. Nowe miejsce, nowi ludzie, a do tego zupełnie inny niż zazwyczaj plan tygodnia nieco wytrąciły go z równowagi.

Niedziela, 7 grudnia 2008

JAK TO BYŁO Z WARSZTATAMI

Pewnego dnia odwiedziły nas Panie z Urzędu Miasta. Chciały, bym coś zrobiła w ramach Tyskich Targów Osób Niepełnosprawnych. Robótki ręczne nie wchodziły w grę ;), wymyśliłam więc warsztaty. Pomysł się spodobał i w ten sposób wszystko się zaczęło... :]

Miałam przygotować zajęcia, materiały i zaprosić gości, a Panie z UM nagłośniły sprawę w mediach, znalazły też odpowiednią salę. Zajęły się wszystkimi sprawami organizacyjnymi, za co jestem im niezmiernie wdzięczna!

Uczestnicy - fantastyczni! Młodzi, mądrzy, wartościowi ludzie. Wielokrotnie mnie zaskakiwali. Nie dali mi odczuć, że jestem na wózku, że jakoś się różnię od nauczycieli, z którymi spotykają się w szkole. Szybko nauczyli się, że nie wyciągnę ręki po kartkę czy długopis, że trzeba mi je podać, podsunąć.

Kochani, naprawdę kochani.

Na koniec od pewnej sympatycznej grupki dostałam kwiaty, a w nich malutkie kopertki z podziękowaniami. Bardzo to było miłe i wzruszające, przyznam szczerze :). Dziękuję, moi drodzy! Oczywiście mam do siebie tysiąc dwieście uwag i sto pomysłów, co mogłam zrobić inaczej lub lepiej, ale ogólnie jestem zadowolona.

DZIĘKUJĘ:

Paniom z UM za pomysł i świetną organizację, Profesorom - za zaangażowanie, przybycie, wykłady i uśmiechy :), Uczestnikom — za to wszystko, o czym wyżej,

Justynie, że czuwała nad nami cały tydzień i dzielnie uczyła się, jak rozbierać mnie z kurtki, Tai i Bartoszowi — za wsparcie nieustanne, Wszystkim, którzy kibicowali warsztatom, podglądali, trzymali kciuki.

Zasmuciły mnie jedynie prace, które Uczestnicy pisali w ostatni dzień. Temat brzmiał:

„Akceptacja, integracja, tolerancja. Niepełnosprawni wokół mnie”. To, w jaki sposób młodzież

postrzega chore osoby, jest dla mnie przerażające. 98% prac było o tym, jacy jesteśmy biedni, wyśmiewani, poniewierani, nieszczęśliwi i jak nam się trudno żyje. Dodawano oczywiście, że jak już się nieco pozbieramy, to jesteśmy dzielni i godni podziwu. Wszystko to zostało okraszone smutnymi refleksjami na temat naszego społeczeństwa.

Hm.

Mało kto wpadł na to, że osoba niepełnosprawna jest po prostu nieco inna, ale może normalnie żyć i zapominać o swoim kalectwie. Że nie zawsze choroba nad nami dominuje. Że czasami ktoś jeździ na wózku, ale jest na tyle samodzielny, że nikt na niego nie patrzy przez pryzmat niepełnosprawności. Różnie bywa. A tu — biedni, poszkodowani, zapłaczmy nad nimi.

Jednak te prace, które były inne, pozwalają mi mieć nadzieję, że po tych warsztatach chociaż kilka osób zmieni swe myślenie o niepełnosprawnych. Liczę, że te zajęcia pozostawią w nich coś więcej niż tylko informacje o gatunkach dziennikarskich.

Środa, 10 grudnia 2008

#### ZMĘCZENI

Jesteśmy zmęczeni.

W niedzielę podczas TTONu mieliśmy zajęcia z dziećmi, ale nie wyszły najlepiej.

Przede wszystkim czekano na nas półgodziny, bo było opóźnienie, a ja musiałam rozdać nagrody i wręczyć dyplomy uczestnikom warsztatów. Poza tym sala była za mała i duszna, a dzieci - od 2 do chyba 12 lat. Maluchy miały dosyć czekania, cmokały na Igora i wieszały się na nim, z trudem zapanowaliśmy nad sytuacją.

Były to najszybsze zajęcia w naszej karierze.

Ale najlepsze jest to, że mój pupil, po przebywaniu w tłumie przy stoiskach, a później obściskiwany przez dzieci, jednak w tych warunkach pracował. Podniósł mi głowę, podał przedmiot, przyniósł kartkę od Tai, wyrzucił śmieci, przybił żółwika, zdjął skarpetkę. Zrobił ładny pokaz. A byłam pewna, że psychicznie się wypalił, bo przeżyć miał sporo.

Wtorek, 16 grudnia 2008

#### POD GÓRKĘ

Stało się to, czego się najbardziej bałam - Igor zjadł coś na dworze i się rozchorował.

Biedaczek, nie spał półtorej doby, nie jadł i nie pił. Dostał antybiotyk i dopiero dzisiaj spokojnie zasnął. Śpi od 16.00 i nic go nie rusza. Musi odpoczywać, Pożeracz.

Choroba Igora jest tylko dodatkiem do licznych nieprzyjemności, które ostatnio mnie spotkały.

Szpile i szpileczki wbijane mimochodem, firma remontowa,

która wszystko partaczy, bank, który mnie ciąga od oddziału do oddziału, autobusy bez kłapek, niegrzeczny kierowca i w ogóle mało pozytywne fluidy.

Przeczekuję.

I powtarzam za Kochanowskim:

Nie porzucaj nadzieje,

Jakoć się kolwiek dzieje:

Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,

A po ziej chwili pięknu dzień przychodzi.

Jestem tylko człowiekiem.

201 Życie nauczyło mnie, że czasami nie da się przeczekać. Czasem ma się ochotę krzyknąć, gryźć, bić pięściami, bo tak jest źle. Gdy wali się wszystko, trudno zachować spokój. Gdy pod próg przypelza samotność - ta najgorsza z najgorszych, samotność z napisem: „Nikt nie jest w stanie cię zrozumieć” - wydaje się, że oto świat się kończy i już nic — NIC — dobrego się nie wydarzy.

Najgorzej jest, gdy traci się wiarę w ludzi, bo tę odzyskać najtrudniej. Jeśli się jeźmy na innych, nigdy nie odnajdziemy ścieżki do szczęścia. Stara prawda — co wysyłamy w świat, to otrzymujemy.

Kilka razy pod wpływem wydarzeń mało pomyślnych, a nawet, można rzec, traumatycznych, musiałam na nowo uczyć się radości życia. Ten mój optymizm wylewa mi się uszami mimochodem, nawet jeśli jestem w bardzo poważnym „dołku” psychicznym.

Pamiętam, jak kiedyś przed wykładem czy po nim Profesor Kłosiński stwierdził, że świetnie wyglądam, i zapytał, co u mnie. A ja, niczym rodowity Amerykanin, odparłam, że jakoś leci, i opowiedziałam w kilku zdaniach, co porabiam. Nic to nie było nadzwyczajnego. I na koniec Profesor mówi:

-Ja to w pani podziwiam tę radość! Ona od pani bije, fantastycznie się pani uśmiecha.

A ja znajdowałam się na granicy wytrzymałości i okropnie mi wtedy było źle. Starłam się, by nie było tego widać, ale coraz mniej miałam sił, by grać. Okazało się, że grało się samo, mimowolnie.

Takie sytuacje zdarzyły mi się kilkakrotnie. Myjka, która przychodziła pomagać nam po zawale Taty, powiedziała mi kiedyś, że lubi ze mną przebywać, bo promienieje ode mnie taka radość, że innym jest głupio, gdy są ponurzy. A ja w początkowej fazie naszych spotkań tkwiłam w otchłani rozpacz i specjalnie nie chciało mi się żyć. Myjka tego nie zauważyła. Okazało się, że po mnie po prostu nie widać pewnych emocji, gdy zaprogramuję się na spotkania z innymi ludźmi. Wszystkie moje emocje odbijają się niestety na Rodzicach, którzy doskonale mnie znają. Nawet gdybym chciała przed nimi coś ukryć, to nie ma na to szans.

Jest tylko kilka osób, które widziały jnnie w fazie: „Leżę, chcę umrzeć, dajcie mi spokój” (a nikomu tego nie życzę - ani spotkania ze mną w takim stanie, ani takiego stanu). I jestem im niezmiernie wdzięczna, że byli ze mną, gdy coś takiego mi się przytrafiło. Najwięcej na ten temat wiedzą, jak wspominałam, Rodzice - świadkowie wszystkich moich gorszych dni.

Miejmy nadzieję, że nigdy nie napiszą o nich książki, he, he.

Kiedy zachorowałam na zakrzepicę i mój stan był naprawdę poważny, zrozumiałam, że szkoda życia na tak zwane dołki. W pełni uświadomiłam sobie, jak wielkim darem jest życie (brzmi to patetycznie, ale naprawdę tak jest!), jak wiele w nim można zrobić dobrego i -jak mało mamy na to czasu.

203

Niedziela, 21 grudnia 2008

MUFFIN I REKA

Z nowości — ostatnio Igor zaprzyjaźnił się z Muffinem, rocznym goldenem, i z jego panią Anią. Chłopaki się uwielbiają, Muffin uczy Igora, jak się obgryza drzewa, walczą o patyki i się tarzają.

Poza tym uczę Igora podnoszenia mnie, gdy przechylę się za bardzo w prawo. Dzisiaj po raz pierwszy Blondyn wkroczył do akcji „na żywo”, to znaczy nie udawałam, tylko naprawdę nie umiałam się podnieść. Za pierwszym razem musiała nam pomóc Mama, za drugim daliśmy sobie radę sami, chociaż przy okazji mój nadgorliwy pies wyciągnął mi poduszkę spod nóg. Ale dojdziemy do perfekcji.

Niedziela, 21 grudnia 2008

ZDROWY I ZADOWOLONY

Zawiadamiam, że Igor ma się już dobrze. Dziękuję w jego i w swoim imieniu za Waszą troskę, pamięć i wsparcie.

Był nieco niezadowolony z siedzenia w domu, ale dobrze się stało, że go nie zabrałam do Katowic na zakupy, bo grasują tam dzikie tłumy. Przywiozłam mu pluszaka z wyprzedaży i to nieco mu zrekompensowało moją długą nieobecność. Nie pojechał też na spotkanie wigilijne do mojej firmy i z żalu oraz tęsknoty wcisnął się na łóżko i spał z Rodzicami.

Natomiast nie mogło go zabraknąć na uczelnianym spotkaniu opłatkowym. Jako ulubieniec Pani Promotor był traktowany na równi z innymi obecnymi

i większość (jeśli nie wszyscy) ze zgromadzonych składała mu życzenia i dzieliła się z nim opłatkiem. W drodze powrotnej zaliczyliśmy tyski empik i nauczyliśmy się, jak lawirować między

półkami, stosami książek i ludźmi. Nauka cofania, skręcania przy wózku nie poszła w las i w pełni wykorzystaliśmy nasze umiejętności.

Czy choroba czegoś nauczy Igora, to się okaże. Ostatnio kilka razy przyniósł mi swoje łupy i oddał za chrupki, część z nich musieliśmy mu wydostać z pyska, ale niczego chyba nie pochłonął. A przynajmniej niczego dużego.

W tuskim empiku jesteśmy stałymi klientami. Gdy raz zjawiłam się tam bez Igora, Pan Ochroniarz od razu to zauważył i dopytywał, gdzie piesek. Cieszy mnie, że Blondyn jest lubiany, ale przede wszystkim — akceptowany. Bo wiem, że ów Pan Ochroniarz nie będzie zadawał tysiąca pytań kolejnej osobie, która zjawi się w empiku z asystentem. Dumna jestem z Ajka, że przeciera szlaki dla kolejnych psów.

Natomiast jeśli chodzi o jedzenie śmieci, to Igor nie nauczył się wiele. Zasada jest jedna - połknąć łup, zanim>ktos podbiegnie i go zabierze. Je wszystko, co znajdzie, w każdej fazie rozkładu. Kiedy był szczeniakiem, połknął gęsią szyjkę, którą dostał do obgryzania. Weterynarz się śmiał, że jakby mu zrobić zdjęcie, toby miał dwa kręgosłupy. Innym razem zjadł piętnaście kilo karmy, bo ktoś nie domknął beczki z jedzeniem.

Jego ulubioną rozrywką jest przeszukiwanie resztek, obwąchiwanie, pochłanianie wszystkiego, co nawinie się pod pysk. Podobno goldeny z tego wyrastają, Igor nie. Mieliśmy z tego powodu wiele nieprzyjemności, niestrawności, nieprzespanych nocy. Wydaliśmy mnóstwo pieniędzy na weterynarza z powodu niedyspozycji żołądkowych Blondyna.

Kaganiec nie jest rozwiązaniem, bo komunikujemy się z Ajkim za pomocą jego pyska, a jak to zrobić, gdy pysk jest schowany? Zostato więc pilnowanie, ale nie jest to łatwe, bo Igor wyczuwa i lokalizuje śmieci na odległość.

Im starszy, tym wcale nie mądrzejszy pod tym względem. Ale cóż, nie ma idealów.

Poniedziałek, 22 grudnia 2008

BOHATER KSIĄŻKI?

Na początku grudnia wybraliśmy się na spotkanie z panią Moniką Szwają, pisarką. Igor spał pod stołem, jak to asystent — udawał, że go nie ma. Ujawnił się dopiero, gdy poszliśmy po dedykacje w książkach. Pani Monika była zachwycona.

Na koniec Pisarka powiedziała, że myśli o wprowadzeniu takiego psa do swojej powieści, i wzięła ode mnie numer telefonu, by ewentualnie się skonsultować. Może więc Igor zaistnieje w polskiej literaturze? Albo przynajmniej ktoś do Igora podobny.

Czasami aż trudno mi uwierzyć, że razem z Blondynem staliśmy się inspiracją dla Pióra.

Postacie bardzo do nas podobne pojawiły się w Gosposi prawie do wszystkiego. Dziwne to uczucie zaistnieć w książce Autorki, której powieści towarzyszą mi od lat. Powieść ta niezmiernie mnie cieszyła, fragmenty

czytałam jeszcze w księgarni, a w domu co chwilę zaglądałam na pierwszą stronę, czy aby dedykacja dla nas nie jest li i tylko wymysłem mojej wyobraźni. Miałam świadomość, że tekst ten trafi do setek ludzi, że chora na zanik mięśni Lucy i jej pies Ferdynand zagoszczą w wielu domach i... sercach. To miłe mieć świadomość, że gdy mnie już dawno nie będzie, oni będą nadal cieszyć czytelników.

Piątek, 2 stycznia 2009

SYLWESTER

We wtorek zamierzałam napisać notkę podsumowującą miniony rok. I w środku nocy, gdy w końcu miałam czas, wysiadła mi myszka.

Wczoraj z powodu szaleństwa przygotowań, urodzin Cioci i obowiązkowego spaceru z Igorem notka również nie powstała.

Jeszcze chwila i dzisiaj też bym nic nie napisała, ale - taaadaaaaaaam - jestem.

Koniec roku mieliśmy trudny - stąd też moje długie milczenie. Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. Panowie od Remontu sobie poszli i chwilowo nie wrócą (ufff, kolejny etap

Wielkiej Zadymy dopiero w lutym), Tata powoli zdrowieje (nie dał się korzonkom), Igor radosny, bo mu jezioro zamarzło i wynajduje na nim chleb. A jak pięknie jest nad tym naszym bajorkiem, po prostu bajkowo!

Sylwestra, tak jak w tamtym roku, spędziłam bez Igora. Został w ramionach Mamy, bo już od rana krążył spanikowany. Na spacerze nie chciał się bawić, nie interesowało go przeciąganie liny, co chwilę nasłuchiwał, bo ciągle ktoś strzelał. Nie wiem, czemu niektórzy świętują już od 30 grudnia. Igor do niczego się nie nadawał.

Ja natomiast świetnie się bawiłam na przesympatycznej, kameralnej imprezce u Tai. Trudno opisać jej klimat, bo nie do opisania jest Robert, który udaje Kate na dziobie Titanica, czy Kuba śpiewający do mojej szczotki do włosów. Nie do powtórzenia są hasła Kini i nic nie odda charakteru posiadówki w łazience. Fantastyczna atmosfera, przemiła ekipa i I'm a believer do rana.

Sobota, 3 stycznia 2009

URLOP

Mam urlop.

W urlopowych planach: Igor i książki.

A tymczasem jakiś Wirusik, bo się po mrozie latało. Wczoraj to wypięłam chyba więcej niż normalnie przez tydzień, tak mnie suszyło (z powodów gorączkowych oczywiście, a nie kacowo-alkoholowo-sylwestrowych ;)). Ale — jak to mówi Mama - przynajmniej parę dni nie będzie mnie nosić.

Megi w Nowym Roku bojowo nastawiona, ma w nosie Wirusika.

Czwartek, 8 stycznia 2009

KOLEDA

Coraz bardziej w naszym życiu zauważalna jest nieobecność Fuksia. Najgorzej było w święta, bo Fuks, wielki miłośnik prezentów, z zapalem ich poszukiwał, ku naszej uciechu.

Wczoraj kolejny raz odczuliśmy, że Mały Łobuz jest już za Tęczowym Mostem. Mieliśmy kolędę i nikt nam nie dał cynku, że ktoś dzwoni pod drzwiami dzwonkiem, nikt nie czekał na ministrantów ani na księdza, nikogo siłą nie musieliśmy upychać w łazience i absolutnie nikt nie wył z nami Ojciec nasz.

Uwierzcie mi, smutne to było niezmiernie.

Mieliśmy natomiast inne atrakcje. Już w drzwiach ministranci mówią: „Ale superpies!”, a za chwilę: „Aaaaa, to Igor!”. Jeden z nich przypomniał mi, że latem na jego zdalnie sterowanym autku Blondyn uczył się, że takich zabawek nie gonimy, tylko godnie je omijamy.

Chłopcy zaśpiewali i zaczęła się zabawa — żółwik, łapa, tulaszki i próby „Siad”.

W końcu padło pytanie:

— A gdzie ksiądz? Czy on nie poszedł dalej?

Ksiądz na szczęście się znalazł i jeszcze nie poszukiwał zaginionych ministrantów, którzy powinni czekać na klatce, he, he.

Chłopcy mieli uciechę, a ja kolejną okazję do kontaktu Igora z dziećmi i to zupełnie odmiennymi od tych, które spotykamy w Bielsku. Tam to Igor musi być aktywny, tu aktywni byli nasi goście :D.

W czasie wizyty księdza Igor był grzeczny, aż nudno :P.

Wtorek, 13 stycznia 2009

MIŁOŚNIK KSIĄŻEK

Mój kot wychował się na książkach. Ja czytałam, a on na nich sypiał. Najbardziej lubił sesję, bo wtedy wszystko było usłane kserówkami.

Teraz jest wielce zadowolony, bo wracamy do starych czasów, gdy biurko tonie w książkach. Jem antybiotyk (jednak) i siedzę w papierach, których mam pod dostatkiem, bo Taia ruszyła z misją do Biblioteki Śląskiej i przywiozła mi materiały (za co jestem bardzo wdzięczna :)).



Mniej zadowolony jest Igor, bo gdy my z Latkiem czytamy, on nieco się nudzi. Dzisiaj przyłapałam go na obgryzaniu butelki z wodą mineralną, którą sam ściągnął ze stołu.

209

Sobota, 17 stycznia 2009

NIE WIDZĘ TEGO

W parafii zaproszono mnie na oazę, bym dała świadectwo i opowiedziała o swojej relacji z Bogiem.

Wiele lat należałam do tej oazy, a moderatorką jest aktualnie Mała Ania. Kiedyś byłam jej animatorką.

Pojawił się jednak problem - co z Igorem? Na kolędzie wyjaśniłam sprawę Wikaremu, ten miał ją przekazać Proboszczowi. Cieszyłam się, że w końcu tę sprawę załatwię, bo wiosną, latem i jesienią lubię sama chodzić do kościoła i bez Blondyna czuję się jak bez ręki, a teraz, gdy mnie poprawia, to można

rzec — jak bez paru mięśni. A do lata zamierzam go nauczyć poprawiania prawej dtoni, więc w ogóle by się chłopak przydat.

Jednak Proboszcz milczał.

Stawiłam się więc na plebanii na rozmowę, wyjaśniłam, powiedziałam nawet, że będziemy stali w przedświątku podczas mszy.

— Nie widzę tego - usłyszałam.

— To może napiszę do arcybiskupa? — zapytałam.

— To ja zapytam w kurii — padła szybka odpowiedź.

I cisza.

Sama nie wiem, co o tym myśleć.

-----

210

Mam to szczęście, że w swoim życiu spotkałam wielu ludzi autentycznie wierzących, którzy faktycznie doświadczyli obecności Boga, opowiadali o Nim z entuzjazmem i radością.

Niekoniecznie były to osoby duchowne, chociaż wśród duchownych — księży, kleryków, zakonników — do dziś mam mnóstwo znajomych.

Jako nastolatka byłam zabierana przez znajomych ze SPES-u na trwające około dwóch godzin msze, podczas których dużo się śpiewało i tańczyło. Panowała tam niezwykła atmosfera, chociaż z wszystko miało miejsce w zwyczajnej, katowickiej parafii. Nigdy tam się nie nudziłam, z niecierpliwością czekałam na każde tego typu spotkanie. Poza tym należałam do Ruchu Światło-Życie, a później do Wspólnoty Dorosłych.

Moje relacje z Bogiem są pogmatwane, często się z Nim spieram, tupię nogą, buntuję się, ale zawsze wracam, bo mam pewność, że On jest. Miałam

I

|

szczęście kilka razy w swoim życiu doświadczyć Boga Żywego i mam nadzieję, że te doświadczenia nigdy nie pozwolą mi w Niego zwątpić.

Dzięki wierze pogodziłam się z chorobą. Wiem, że to ona jakoś mnie ukształtowała, bez niej byłabym zupełnie innym człowiekiem i pewnie traciłabym czas na głupoty. Zanik mięśni otworzył mi oczy na wiele spraw, pozwolił mi dotknąć metafizyki. Dzięki niemu szybko się nauczyłam, co w życiu jest najważniejsze.

Bóg umacnia mnie w czasie każdej infekcji, był przy mnie podczas wszystkich trudnych momentów w moim życiu. Śmieję się, że mój Anioł Stróż nieźle się napracował, gdy ze wspomnianą już zakrzepicą biegałam po mieście. Kiedy się boję, trafiam w Piśmie Świętym na słowa o odwadze, gdy tracę siły, czytam, że wszystko jest możliwe, jeśli się tylko wierzy. Gdy chorowałam, zawsze otwierałam Biblię na fragmentach o uzdrowieniu.

Nigdy się na Bogu nie zawiodłam, co więcej — czasami doświadczam tego, jak zmienia i koryguje moje plany. Zawsze te modyfikacje wychodzą mi na dobre.

Jestem pewna, że Bóg wybrał dla mnie najlepszą drogę, i staram się wywiązywać ze stawianych przede mną zadań. Czasami panikuję, czasami skręcam w boczną uliczkę, ale zawsze wracam. To Bóg daje mi siłę. Każdego dnia.

Sobota, 17 stycznia 2009

#### PRACE FIZYCZNE

Zostałam uziemiona w domu. Najpierw przez mój dziwny stan zdrowotny, a teraz przez śnieg. Wszystko jednak jest po coś. Zrobiłam sobie plan dnia i jeszcze nie marudzę. Mam porę na ćwiczenia, na czytanie, na doktorat, a nocami — dla urozmaicenia — piszę dla przyjemności. Trenujemy z Igorem „Nie” i podawanie przedmiotów ze stołu oraz poprawianie mnie. Idzie mu coraz lepiej i coraz bardziej nam się to przydaje. Niedługo cała będę w tasiemkach, bo za nie Igor mnie przeciąga w odpowiednią stronę.

Prowadzę też poważne prace fizyczne, bo piszę rozdział. Walczę więc z przewracaniem stron, przesuwaniem książek i wydobywaniem spod tego wszystkiego zeszytu. Czuję się potem, jakbym kopała rów przez pół dnia i równocześnie czytała książki. Zapomniałam już, że praca naukowa jest taka męcząca.

RS. Oczywiście w życiu nie kopałam rowu, ale — jak mawia Ania Shirley — jestem w stanie wyobrazić sobie, jak to jest! ;)

Praca naukowa jest wykańczająca dla kogoś, kto ledwo rusza rękami. Czasami się zastanawiam, skąd czerpałam tyle energii, by pisać te wszystkie rozprawy na studiach — wszak musiałam do nich znaleźć materiały i z nich skorzystać. Rodzice mają swoje sprawy, kiedy studiowałam, obydwójce pracowali, nigdy by mi do głowy nie przyszło ich prosić, aby siedzieli ze mną całe popołudnie i przewracali kartki. Nie przyszłoby mi też do głowy prosić o to kogokolwiek innego.

Obecnie mam do pomocy dwa zaostrome pięknie drewnienka (zrobione oczywiście przez Tatę), dzięki którym mogę przewracać strony „na odległość” (gdy książka leży przed klawiaturą, a ja piszę na komputerze).

W wyprawach do biblioteki przez wiele lat towarzyszyły mi koleżanki i koledzy, kuzynki i kuzyni - wszyscy wykazywali się wielką odwagą, bo moja wizyta w tej instytucji to orka na ugorze — poszukiwanie, spisywanie, wypisywanie, kserowanie, obłęd jakiś. Ogólnie wyprawy te są dla obu stron bardzo pouczające. Dla mnie - wiadomo, bo znajdują to, czego szukam, a dla osób towarzyszących, bo zawsze czegoś się dowiedzą i nabywają nowe umiejętności.

W roku akademickim 2010/2011 przyznano mi z uczelni asystenta - ten towarzyszy mi nie tylko na zajęciach, ale także w bibliotece. Jest to dla mnie ogromne ułatwienie, bo mam opiekę i wolną głowę - nie muszę kombinować, kogo poprosić o pomoc — a asystent jest zadowolony, bo zarabia pieniądze.

Jednak zanim to się stało, jedna z pracownic Biblioteki Śląskiej napisała do mnie maila, że jeśli bym potrzebowała pomocy, to mam dać znać. A to kolejny dowód, że są jeszcze mili i bezinteresowni ludzie na tym świecie.

Niedziela, 25 stycznia 2009

#### DEBIUTY

Igor był na pierwszym w życiu egzaminie. Moim, bo swoich to już trochę miał. Zdawaliśmy socjologię. Spał sobie smacznie, zero wsparcia z jego strony!

Oczywiście w oczekiwaniu na egzamin zebraliśmy śmieci z wydziałowej podłogi i wyrzuciliśmy elegancko do kosza.

Byliśmy też w spożywczym. W dużym, samoobsługowym, katowickim spożywczym. Ajki oszołomiony, bo wkoło wędliny, serki, tysiące zapachów, ale jak tylko chciał coś wachać, to go upominałam i już grzecznie siedział przy wózku.

Oczywiście Nadgorliwy Pan Ochroniarz chciał nas wyrzucić, musiałam pogadać z kierowniczką, pokazać legitymację i w mig zrobiło się bardzo przyjemnie,

wszyscy okazali się mili, tolerancyjni i zaznajomieni z tematem („Tak, widziałam program o takich psach!”).

Myślę, że Blondyn śni teraz po nocach o Krainie Sklepów Spożywczych, w których jest zwykłym kundlem i pożera wszystko, co mu wpadnie w tapy.

Niedziela, 25 stycznia 2009

NIEUGIĘTY

- Pytał ksiądz?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nie byłem tam.

A ja będę w czwartek na Wydziale Teologicznym, więc dowiem się, jak mam dostarczyć list do arcybiskupa.

Gorzej, jak on się nie zgodzi.

To będzie katastrofa.

Poniedziałek, 26 stycznia 2009

POŚWIĘCENIE

Odkąd ćwiczę z Gibonem, zwracam większą uwagę na to, co jem. Był czas, że naprawdę zdrowo się odżywiałam. Teraz trochę gorzej, bo przez zimę i to dziwne osłabienie nieco sobie dogadzam.

Tata natomiast (niby) jest przeciwnikiem fast foodów. Kiedy jem jakieś „śmieci”, to zawsze się nasłucham, jakie to okropne jedzenie, że w McDonalddie to w bułce mam krowę z palikiem zmieloną, w chipsach sam tłuszcz, a w mleku w tubce wyłącznie cukier.

I ostatnio zobaczyłam, jak Tata jadł właśnie chipsy, które zostały po naszej babskiej nasiadówce.

- Tato, takie niezdrowe chipsy pochłaniasz? - zapytałam z dezaprobatą.

- Ktoś się musi poświęcić... - odrzekł ze zboląłą miną, mieląc dzielnie pyszne cebulowe.

Tata jako pierwszy (jeszcze przed Lucy Maud Montgomery) nauczył mnie, czym jest wyobraźnia. Kiedy byłam mała, bawiłam się wspomnianymi już figurkami — mikulami. Jedną z nich był Pan Koń, któremu Tata dorobił okulary. Gdy tylko miał czas, wcielał się w postać Pana Konia. Wymyślił go, wykreował, wydawało mi się, że Pan Koń istnieje naprawdę. Ten mikul ożywał, gdy tylko do zabawy przyłączał się Tata.

Nigdy nie zapomnę tamtych chwil ani tego, jak Tata się angażował w tworzenie mojego, osobistego, bajkowego świata.

14

215

Poza tym przez wiele lat Tata wmawiał mi, że istnieją krasnoludki. Opowiadał historie, pokazywał pseudonaukowe książki, udowadniał, przestawiał kaptcie, bym uwierzyła w małych brodaczy. Byłam już na tyle duża, że jakoś do końca nie brałam tego na poważnie, ale w głębi serca bardzo chciałam, by miał rację.

Przez długie lata marzyłam, by przyłapać zabawki na tym, jak ożywają. Byłam pewna, że po moim wyjściu z pokoju żyją własnym życiem. Kiedy nie nakarmiłam małego, gumowego kuczka, miałam okropne wyrzuty sumienia, bo przecież on był głodny i czekał, a ja zapomniałam! Tata wiedział o moich marzeniach i kiedyś, gdy wróciłam do domu, okazało się, że w domku dla lalek wszystko jest poprzestawiane! Byłam oszołomiona tym odkryciem, pewna, że oto mam dowód, iż moje przypuszczenia są słuszne.

Tata nauczył mnie, że czasami warto przysypać świat złudzeniami — słodkimi i nieszkodliwymi. Może dlatego dzisiaj tak bardzo ciągnie mnie do wymyślania historii? A jeśli już nie ma mikuli i domku dla lalek, to jedyne, co mogę z nimi zrobić, to spisać.

Sobota, 31 stycznia 2009

## GOŚCIE

Ostatnio pojawili się u nas goście. Mam zaszczyt przedstawić:

- Panią Anemię,
- Pana Stań Podgorączkowego (zasiedział się u nas chłopak - już trzeci tydzień],
- Pana Fatalne Wyniki Badań,
- Pana Zły Humor.

W związku z nimi pojawiła się też Pani MP3, która jako jedyna jest pozytywna w tym towarzystwie i umiła mi życie.

A Igor jest cały czas na „nie”, bo wróciliśmy do nauki przeczenia.

Wtorek, 3 lutego 2009

## JAK GDYBY NIGDY NIC

Najbardziej fenomenalne w moim życiu jest to, że Pan Zły Humor zostaje przepędzony przez specjalnych wysłanników.

Jedni mailem wysyłają piosenki i dobre słowo oraz cierpliwie tłumaczą, skąd mogły się wziąć zadziwiające momentami wyniki moich badań. Tłumaczą, czuwają, służą fachową poradą.

Inni zabierają mnie na pizzę i robią jajecznicę z serkiem topionym, najlepszą na świecie.

Jeszcze inni o 1.00 parzą mi herbatę „Fruit Kiss” i biegają z termoforem.

Mniej subtelni kupują wino i gadają do nocy (wypić butelkę wina we dwójkę to jest sztuka, przynajmniej w moim towarzystwie!).

Zaś ci najbardziej kudłaci w nocy pomlaskują mi w nogach, a rano, gdy pracuję, wiszą mi z mokrym nochem nad klawiaturą, z miną pod tytułem: „Rzuć no chrupkę”.

I kiedy sobie człowiek to uświadomi, to staje się tak, jak gdyby nigdy nic. Jakby Pan Zły Humor znalazł się u mnie tylko przypadkiem :).

Sobota, 14 lutego 2009

## ANIOŁ O ZAPACHU NIEBA

Od tygodnia mieszka z nami anioł o zapachu nieba :].

Pomysł na takiego anioła dał Robert, jeszcze podczas sylwestra. Natomiast wykonała go Taia. Trzeba tu dodać, że od dobrych paru lat zbieram słońce, a na Ruince kolekcjonuję właśnie anioły.

By stworzyć takiego anioła, Taia zawitała w kwaciarni, spożywczym i w aptece, tłumacząc cierpliwie sprzedawcom, że potrzebuje pachnących i ładnych składników na zapach nieba. I tak anioł składa się z: róży, anyżu, jabłka, grejpfruta, mięty, nagietka, czarnej malwy, lawendy, tymianku i choinki. Na skrzydłach ma cukier migdałowy, a na brwiach — cynamonowy.

Jest nieco rubaszny, nieco rozpustny, jedyny w swoim rodzaju.

Taia mówiła, że chciała dokleić jeszcze chrupkę Igora, bo moje niebo na pewno będzie trochę nimi pachnieć, ale ze względu na ich smrodek — zrezygnowała.

Anioł o zapachu nieba nie pojedzie na Ruinkę. Zostanie ze mną, w Tychach, by przypominać mi, że mam wokół siebie ludzi, którzy chcą dla mnie wyczarować niebo:).

Wtorek, 17 lutego 2009

## REKORD

U nas śniegu po pachy. Ostatnie dni spędziłam w domu, bo znowu łykam antybiotyki. Teraz to już tak się posypałam, że pół dnia spędzam na jedzeniu tabletek, co ma skutecznie przepędzić Pana Fatalne Wyniki Badań. Pobiłam

życiowy rekord i pochłaniam czternaście pigułek dziennie (dzisiaj się licytowałam z Babcią, która z nas je ich więcej).

A piękne są, kolorki mają śliczne.

— Fajne masz m&m'sy — stwierdził Przemek, który zastał mnie dzisiaj w trakcie tabletkowania.

Biedny Igor więc w kółko wyciąga i chowa medykamenty — ostatnio to jego główne zadanie oprócz poprawiania mnie za tasiemkę. Dziękuję zaangażowanym, którzy zabierają Igora na spacer. Inaczej by mi chłopak w domu zwariował.

Czwartek, 19 lutego 2009

### KOŚCIOŁA CIĄG DALSZY

Chodzimy z Igorem do katowickiej katedry i jeszcze nikt nas z niej nie wyrzucił. Byliśmy nawet na mszy i Blondyn zachowywał się pięknie, chociaż na końcu widać było, że pragnie wyjść. Ale wytrwał. Muzyka, śpiewy i dzwonki kompletnie go nie wzruszają, zainteresował się tylko znakiem pokoju.

Początkowo unikałam wzroku ludzi, bo bałam się wspomnianego wyrzucania. Ale reakcje są pozytywne. I jakoś nikomu nie przeszkadza, że się modlimy, a obok drzemie Igor — wszak też stworzenie Boże.

Złożyłam w kurii pismo do arcybiskupa z prośbą o oficjalną zgodę na obecność Igora w kościołach metropolii katowickiej. Muszę się przyznać, że uwzględniłam tam postawę mojego Proboszcza.

Czyli naskarżyłam.

I czekamy, jaka zapadnie decyzja.

Poniedziałek, 23 lutego 2009

### TEATRZYK

Niedziela, wczesny ranek, ja zta, bo budzik mi dzwoni i muszę wstać do pracy.

- Otwieramy teatrzyk, proszę państwa, otwieramy - mówi Tata, odsłaniając powoli roletę. - Co tam dzisiaj w teatrzyku? - nie zwraca na mnie uwagi, a ja dalej dogorywam w łóżku. — Co tam dzisiaj gramy? Hm. Ciekawe — robi pauzę, odsłania roletę do końca i woła - Zima!!! — Jakby to było coś wysoce zaskakującego. Jakby od dobrych kilkunastu dni nie sypało śniegiem cały czas. Jakby naprawdę w lutowy poranek oczekiwał za oknem tropików. — Proszę państwa, dzisiaj w teatrzyku zima!!!

Poziomy absurdu mnie rozwała, a Tata gada z Ajkim, bo według niego Ajki wyglądający przez okno zajął łóżę.

I jak mam się nie czuć wiecznie młoda w takim towarzystwie?

Kiedyś, gdy byłam na turnusie w Wągrowcu, bardzo się wzruszyłam przyjazdem Taty. Nie wiem, dlaczego akurat tamten przyjazd utkwił mi w pamięci, ale bardzo się ucieszyłam na jego widok.

Tata pojawił się, by pomóc nam się spakować i zabrać nas do domu. Znaleźliśmy jednak czas, by wybrać się do pobliskiego Poznania, miasta rodzinnego Ojca. Jechaliśmy sami, nie mam pojęcia, dlaczego Ania, która się mną opiekowała na tym turnusie, została wtedy w ośrodku.

Piękna to była wycieczka, chociaż polegała głównie na spacerowaniu. Ale na zawsze zapamiętam tamten pogodny wieczór, lenistwo i Tatę, który nigdzie się nie spieszył, niczym nie martwił i miał czas tylko dla mnie.

W ogóle jakoś tak się składało, że zazwyczaj do Poznania jeździliśmy sami. To były wycieczki jedyne w swoim rodzaju — zwiedzaliśmy stare kąty i obowiązkowo Jeżyce, bo jestem fanką księżek Małgorzaty Musierowicz. O nic się nie troskaliśmy, Tata kupował mi bransoletki z muliny i opowiadał, jak to kiedyś było, gdy chodził z babcią na targ i bawił się na podwórku kamienicy przy ulicy Polnej.

Z uśmiechem wspominamy, jak postanowił mnie zabrać na przejażdżkę tramwajem, bym z tej perspektywy zobaczyła wszystkie bliskie jego sercu miejsca. Tylko nie przewidział, że minęło kilkadziesiąt lat i tramwaje nie mają już takiego ślimaczego tempa jak dawniej. Zamiast wyglądać przez okno, z całych sił staraliśmy się utrzymać równowagę i nie doprowadzić do tego, by mój wózek wjechał prosto do budki motorniczego. U celu byliśmy w kilka minut i nie zobaczyłam nic.

Tata zabierał mnie nie tylko do Poznania. Na wiosnę często wybywaliśmy do zoo i do wesołego miasteczka. Jednak największą cierpliwością wykazał się, gdy zapalałam wielką miłością do muzyki, a dokładnie do Andrzeja Piasecznego zwanego Piaskiem. Nie szczędził czasu i pieniędzy, zabierał mnie na koncerty, a po nich czekał na artystów z tłumem rozkrzyczanych nastolatków.

Kiedyś usłyszałam w radiu, że ukochany wokalista podpisuje płyty w jakimś zabrzańskim sklepie muzycznym i oczywiście zapragnęłam natychmiast tam się znaleźć. Tata więc zapakował mnie do auta i pojechaliśmy. Ale na miejscu okazało się, że gdy dotarliśmy, po Piasku nie było już śladu. Kilka dobrych godzin czekaliśmy na koncert, który miał odbyć się dopiero wieczorem.

Innym razem wraz z perkusistą Mafii uratował mnie przed stratowaniem, bo kiedy Piasek podpisywał mi płytę, został zauważony przez wielbicielki, a te nie miały względu na nic ani na nikogo. Jedna strzeliła mi aparatem w oko.

Tata przeżył liczne koncerty Mafii i Piaska, ale byliśmy też na występach zespołu Hey i Backstreet Boys. Tych ostatnich Ojciec nie wysłuchał, bo pisk dziewcząt był taki, iż zostawił mnie pod opieką kuzynki, a sam czekał w holu. Był świadkiem mdlejących na widok Piasecznego nastolatków, pomalowanych przez nie autokarów oraz latających staników, które rzucały do stóp idola. Nigdy nie wyśmiewał mojej fascynacji, a przecież z perspektywy dorosłego człowieka musiała być ona dosyć zabawna.

Wdzięczna jestem Tacie, że nie zabijał we mnie tamtych emocji, wykazał pełne zrozumienie i dzięki temu dał mi wiele radości.

Wtedy wydawało mi się to wszystko naturalne, dzisiaj cenię każde wspomnienie i z nostalgią myślę o tamtych czasach, które, niestety, nigdy nie wrócą.

222

Piątek, 27 lutego 2009

## NASZE STRACHY

Pies asystujący nie powinien bać się niczego. Oczywiście w praktyce jest to niemożliwe. Odkąd więc Igor do mnie trafił, walczyliśmy z różnymi strachami.

Blondyna niepokoi przede wszystkim hałas o dużym natężeniu. Ostatnio podawał mi kliker i niestety upadł mu tak, że się włączył i buczał przeraźliwie. Musiałam potem mu pokazywać, że kliker jest OK i nie zaczyna buczeć od każdego dotyku psich zębów.

Dał się przekonać.

Długo Igor był chyba jedynym psem asystującym w Polsce, który bał się dzwoniącego telefonu. Podawał go, odnajdywał i przynosił nawet, gdy byłam w innym pomieszczeniu, ale w momencie, kiedy zaczynał dzwonić, nasza współpraca się kończyła.

Igor gapił się na niego bardzo zdziwiony. Jego mina mówiła: „Megi, on OŻYŁ!!!!!!! Świeci, buczy i SKACZE!!! A kysz, a kysz, a kysz!”.

Ale nadeszła chwila próby. Mama spała, bo miała na rano, Tata wyszedł do pracy, a dzwoniący telefon spadł. Dzwonił właśnie Tata i wiedziałam, że jak nie odbiorę, to obudzi biedną Mamę, bo się będzie niepokoił, że coś się stało. Kilka chwil trwało, zanim Igor zebrał się w sobie i podał mi komórkę, zmobilizowany oczywiście moim dopingiem.

Przełamał się chłopak, okazało się, że dzwoniący telefon nie gryzie, i problem nam się rozwiązał. Wibrujące komórki nie są nam straszne, chociaż Igor ma do nich pewien dystans i trzeba go gorąco namawiać, by taki sprzęt podał.

Do pewnego momentu Blondyn bał się krzesel, które złożone stoją w moim pokoju. Kiedyś się przewróciły, narobiły hałasu i od tej pory omijał je z daleka. Postanowiłam więc, że jedno z nich będzie naszym stoliczkiem na zabawki. Mój bohater był taki spanikowany, że nawet nie chciał dotknąć krzesła, ale zaczęło mu się kpiarzyć z zabawą i dzisiaj nawet wchodzi pod nie, by wyci

ągnąć piłeczkę. Już wie, że krzesła nie zjadają goldenów, ale lęka się wszystkich przewracających się przedmiotów.

Na wsi Igor unika sita do przesiewu ziemi. Boi się go okropnie i nie ma szans, by do niego podszedł. Co takiego jest w nim straszego, wie tylko Blondyn o Bujnej Wyobraźni.

Ogólnie rzecz biorąc, Ajki jest bardzo dzielny i odważny. Ale jak się czegoś boi, to natychmiast mnie zawiadamia i zachęca do opuszczenia strefy zero, bo wychodzi z założenia, że lepiej jest unikać przyczyny strachu, niż ten strach oswoić.

Środa, II marca 2009

### POWIEW WOLNOŚCI

Chciałam zawiadomić, że żyjemy.

Śniegi stopniały, temperatura na plusie, Stan Podgorączkowy nas opuścił, czas więc wrócić do normalnego życia.

W zeszłym tygodniu poczuliśmy powiew wolności. Z Klaudią spotkaliśmy się na mieście i sami wracaliśmy autobusem, co oczywiście sprawiło mi ogromną frajdę. Byliśmy też (po dłuuuuuugiej przerwie) na zajęciach dogoterapeutycznych u naszych dzieciaków. Igor ucieszył się niezmiernie na ich widok. Bez Ajka (za to z Ciastkami] zaliczyłam koncert Starego Dobrego Małżeństwa. Jechałam na niego chyba najstarszym na Śląsku autobusem, aż dziw, że nie rozleciał się po drodze.

W bieżącym tygodniu zajmujemy się głównie spacerkami i pisaniem, bo w tym mamy największe zaległości. Codziennie ktoś z nami męczy patyk nad jeziorem. Dzisiaj Ajki robił wiosenne porządki w leśnym bajorku, to znaczy wyląwiał z niego gałęzie i wynosił na brzeg. Sprawiało mu to wielką radość, mniej ucieszyła się Mama, gdy zobaczyła go po powrocie.

Biedny Blondyn miał dzisiaj traumatyczne przeżycia z kobietami, co którąś spotkał, to afera.

Jedna zbyt natarczywie okazywała mu uczucia, a druga nie chciała mu oddać patyka. Chyba chłopak zostanie singlem ;].

Czwartek, 12 marca 2009

### NOWE ŁĄDY

Wiosna jest mokra - kałuże, bajorka, błoto. W związku z tym każdy, kto wybiera się z nami męczyć patyk, wygląda po powrocie jak Shrek po błotnej kąpieli. Wracamy jednak do naszych leśnych wypraw, do łążenia dookoła jeziora i ćwiczenia aportu.

A wczoraj wspólnie z Monia odkryłyśmy Krainę za Wiaduktem. Nigdy tam nie chodziłam, a okazało się, że wystarczy skręcić i asfalt się kończy — przenosimy się na wieś. Pola, nieużytki i widać horyzont! Jak na naszej Ruince. Ajki był w siódmym niebie, biegał sobie, pogonił jakiegoś ptaka, a na koniec wpakował się oczywiście do deszczówki.

Wtorek, 17 marca 2009

### KILKANAŚCIE DNI

Sezon wiosenny zaczynamy wówczas, gdy pierwszy raz jedziemy na Ruinkę. Do tegorocznego wiosennego wypadu zostało kilkanaście dni. Odliczamy więc niecierpliwie, chociaż nie wiadomo, w jakiej będę formie i czy temperatura okaże się odpowiednia.

Wspominamy letnie miesiące. Może w tym roku uda się nam wyhodować więcej niż jedną gruszkę? Tęsknimy niezmiernie za przestrzenią, za gorącym, zielonym piecem, za rozmowami przy płocie, za małymi pomidorami i Niebieską Krową z kuchni, a także za naszymi jaszczurkami.

A tymczasem grad za oknem.

Mieszkanie na Ruince ma wiele plusów.

Przede wszystkim ten, że można wyjść na dwór, kiedy się chce. W piżamie i w skarpetkach, z dziwną fryzurą. Poza tym można czytać i uczyć się na dworze. Można się grzać przy piecu, można robić wiele fantastycznych rzeczy, które dla mieszkańca miasta są niedostępne. Dlatego co wiosnę odliczamy dni, kiedy to znowu zapakujemy nasze auto po sufit i pojedziemy na wieś.

Wiemy, że wszyscy i wszystko na nas tam czeka.

Wtorek, 17 marca 2009

### UNICESTWIONY KOSZYCZEK

Muszę się przyznać — straciłam do siebie cierpliwość. Bo ileż można chorować?! Od paru dobrych miesięcy ciągle mi coś (bardziej lub mniej) szwankuje. I wybitnie mnie to irytuje.

v

Gdzie ta wiosna?

Wymyślamy sobie z Ajkim ćwiczenia, klikamy, bawimy się.

Dzisiaj przemieliśmy wiklinowy koszyczek. Spadł nam pod wózek, zapomniałam o tym i go przejechałam. Wyrzuciliśmy szczątki, ale i tak się dziadostwo rozniosło po całym pokoju. Ani tego odkurzyć, ani pozbierać, nic fajnego.

Tata wrócił z pracy, wszedł do nas, ocenił sytuację, pomamrotał coś pod nosem. Byłam przygotowana na jakąś mowę, która nam się należała, bo naśmieciliśmy niezmiernie. A Tata mówi:

- Fajnie tu u ciebie. Jak w stodole. Też tak sądzę :D.

Niedziela, 22 marca 2009

### CHLIP-HOP

Ponad tydzień siedziałam w domu. Jak na moje możliwości, to bardzo długo. Igor zaliczał wiosenne wyprawy beze mnie i bardzo się ucieszył, gdy zobaczył wczoraj, że zbieram się do wyjścia. A ja szłam do kościoła, zawiódł się więc okropnie. Rozczarowanie było podwójne, bo potem pojechałam do teatru, też bez niego, ale niestety po kąpielach w jeziorze nie nadawał się do oficjalnych występów (on dosłownie przesiąka tym okropnym, glonowym zapachem).

Pierwszy wiosenny wieczór spędziłam w katowickim Korezie na spektaklu Chlip-Hop. Trudno to nazwać spektaklem, to raczej spotkanie przyjaciół, bo całość opiera się na dialogu Magdy Umer i Andrzeja Poniedziałkiego. Rozmawiają sobie, śpiewają, przygrywa im Wojciech Borkowski i jest chwilami lirycznie, chwilami zabawnie.

Mistrzostwo pod każdym względem.

Pośmiałam się, powzruszałam, przemyślałam sobie to i owo, pokochałam pana

Poniedziałkiego i zostałam zaczarowana przez panią Umer.

Gdy jechaliśmy na spektakl, zadzwoniła Mrówka, która właśnie była po Chlip-Hopie (grano go o 18.00 i o 21.00).

- Nie przeżyjesz tego, Megi. Nie przeżyjesz — orzekła, a ja pomyślałam, że takie to słabe jest albo sala nieogrzewana i znowu się rozchoruję. Albo taki

tłum, że oddychać się nie da. - Nie przeżyjesz tego — powtórzyła. — Umrzesz. I to będzie piękna śmierć. - Westchnęła niczym Kubuś Puchatek po zjedzeniu miodku.

Przeżyłam, ale ciągle bujam w obłokach.

Dziękuję Robertowi, który mi towarzyszył i cały wieczór dzielnie opiekował się moim blyszczykiem ;).

Wtorek, 31 marca 2009

### KATASTROFA

A nawet kilka katastrof.

Takie katastrofki. Nękają nas od początku roku i nagminnie psują nam humor.

W ramach odpędzania złych nastrojów umówiliśmy się dzisiaj na wiosenny, piękny spacer z blogowymi znajomymi - Złośnicą i Brzydalem16 oraz z Bartoszem. Dziękuję, kochani!

Pisząc tę notkę, nie wiedziałam, że katastrofki to dopiero nas czekają. Czarne chmury zbierały się nad moją głową i kłębiły - coraz bardziej i bardziej. Nie miałam wtedy świadomości, że mój bezpieczny świat stanie na głowie, że oto zmiernają w moim kierunku wielkie zmiany, których nic nie zatrzyma.

16) [www.brzydalizlosnica.blogspot.com](http://www.brzydalizlosnica.blogspot.com)



Mama czasami się zastanawiała, czy to nie były znaki. Dzisiaj wiemy, że wszystko potoczyło się tak, jak powinno. Puzzle naszej życiowej układanki zostały dokładnie przez Kogoś przemyślane i ułożone w odpowiedniej, chociaż dla nas zaskakującej, kolejności.

Wtorek, 31 marca 2009

#### APEL ŁAKOMCZUCHÓW

Jesteśmy łakomczuchami — ja i Ajki.

Igor-jak wiadomo - lubi jeść wszystko. Ja najbardziej przepadam za czekoladą, mięsem (pod różnymi postaciami) i ziemniakami (we wszystkich wcieleniach).

Nasze nieszczęście polega na tym, że nie możemy jeść tego, co chcemy. Blondyn praktycznie zawsze, a ja w ostatnim czasie.

Poza tym czytam właśnie o wojnie, bo piszę artykuł o wojennych kobietach, i zaczęłam doceniać moją pełną lodówkę.

W związku z tym wszystkim apel.

Kochani! Dopóki możecie pożerać — pozerajcie, dopóki Wam żołądki pracują, to sobie nie odmawiajcie i rozkoszujcie się fantastycznym, czasami kalorycznym jedzonkiem. O ile Wam lekarz nie nakazał, to się nie odchudzajcie, bo niestety zauważyłam, że zazwyczaj odchudzają się ci, co nie muszą. A tyle ich omija!

Mało to filozoficzne, mało metafizyczne, ale jakże bliskie łakomczuchom! Nie namawiamy do obżarstwa w poście (o, nie!), ale zachęcamy do pofolgowania sobie od czasu do czasu, a każdy smakosz przyzna, że jedzenie to poezja, tylko taka bardziej konkretna .).

O tym już było, ale taki apel należy powtórzyć. Bez wątpienia.

Czwartek, 2 kwietnia 2009

#### SEZON NA ŚMIERDZIELA

Mój pies jest zadziwiony tempem, jakie mu znowu narzuciłam. Mamy plan dnia, ściśle go przestrzegamy, by niczego nie zawalić — pracy, korków, pisania, spacerów. Przede wszystkim dbamy o formę, bo musimy mieć siłę i chęci do tego wszystkiego.

Dzisiaj rano Ajki udawał, że w ogóle do niego nie dociera, iż gdzieś jedziemy, i do ostatniej chwili wylegiwał się w łóżku. Zachęcał mnie, bym też w nim pozostała, bo on po wczorajszych zabawach z Muffinem nie miał siły NA NIC. Po powrocie z uczelni pognaliśmy na łąkę, a potem nad jezioro i pies, gdy wrócił do domu, zasnął w pierwszym lepszym miejscu, czyli w kuchennych drzwiach. Szybko został wyrzucony, bo wraz z wiosną otwarliśmy sezon na śmierdziela — po kąpieli w jeziorze, wytarzaniu się w lesie i moczeniu nóg w bajorze Igor niesie za sobą bardzo intensywny zapach. A myć go codziennie nie sposób.

Piątek, 10 kwietnia 2009

#### DECYZJA

Sprawa obecności Igora w kościele utknęła w martwym punkcie. Popchnęła ją Pewna Bardzo Wpływowa Osoba, która zapewne chce pozostać anonimowa. W kilka dni wszystko się wyjaśniło.

Arcybiskup podjął decyzję od razu, sprawa miała być załatwiona telefonicznie, ale się do mnie nie dodzwoniono. Wczoraj otrzymałam list z przeprosinami od Sekretarza i zaświadczenie, że Igor może bez problemu wchodzić DO WSZYSTKICH KOŚCIOŁÓW NASZEJ ARCHIDIECEZJI!

Jestem dumna, że mamy tak postępowego arcybiskupa.

Jestem też dumna z mojego psa, który jest jednym z niewielu (może jedynym?) psem pracującym posiadającym takie zaświadczenie. Wierzę, że godnie będzie reprezentował „swoją grupę zawodową” i wkrótce asystent w kościele nie będzie niczym niezwykłym.

Kościół to dla Igora miejsce takie, jak wszystkie. Przychodzi, rozgląda się i widząc, na co się zanoszą, idzie spać. Podczas kolędy zaprezentował Proboszczowi, co potrafi, nie zrobił furory,

bo nieco go zacięło, ale uzyskaliśmy pozwolenie na odwiedziny także w naszym parafialnym kościele. Staram się zawsze stać na uboczu, żeby nie robić sensacji, ale ludzie są już na tyle świadomi, że mało kto zwraca na nas uwagę.

Piątek, 10 kwietnia 2009

ZAPACHNIAŁO, ZAJAŚNIAŁO...

Ajkjemu zdarza się czasami dzień Wyluzowanego Psa i wówczas miewa dziwne pomysły.

Wczoraj trafił się właśnie taki dzień.

Najpierw wskoczył do jeziora w miejscu, gdzie dzieci karmiły łabędzie, i wyłowił cały rzucony im chleb. Łabędzie były oburzone, dzieci mniej, ja mu kazałam natychmiast wyłączyć, a on wylaź, owszem, ale dopiero gdy zjadł ostatni okruszek.

Następnie chciał poczęstować się kielbaskami, które były przeznaczone na grilla, i tym sposobem musiałam nawiązać znajomość z gromadą nastolatków, zresztą bardzo miłych, nawet się nie wściekli, że jakaś psia mordą pojawiła się przy ich jedzeniu.

Na koniec Igor wpakował się w trzciny tuż przy rybakach i podejrzewam, że skutecznie wyplószył im wszystkie ryby. Też okazali się wyrozumiali, chociaż mieli o co się denerwować.

Więcej przygód nie zaliczyliśmy, bo Blondyn został przypięty i szedł dalej przy wózku.

\*•

Taki koniec spaceru Wyluzowanemu Psu bardzo nie odpowiadał. Dzisiaj liczył na jakąś kolejną wyprawę i gdy zobaczył, że zbieram się do wyjścia, już stał gotowy przy drzwiach. A okazało się, że jedziemy do Katowic, czyli z kąpanka nici.

Po załatwieniu spraw wszelakich wstąpiliśmy na koniec do banku, gdzie Blondyn uciął sobie drzemkę. Myślę, że śnił o coraz bardziej zielonych łąkach, bo aura naprawdę wiosenna. Nad naszym jeziorkiem wieczorami żaby urządzają koncerty dla wszystkich, którzy chcą słuchać :), a dzisiaj dostaliśmy pierwsze tulipany.

Niedziela, 26 kwietnia 2009

DZIAŁO SIĘ

Czasami w domu skrzypią drzwi.

Jest to denerwujące, ale ma swój urok, więc myślimy sobie, że da się z tym żyć. Jednak jeśli przegapimy moment, gdy w domu zaczynają nam skrzypieć nie tylko drzwi, ale też schody, okna i podłoga, to pewnego pięknego dnia możemy obudzić się z sufitem na głowie.

I ja się obudziłam, tuż po świętach.

Oczywiście ten sufit to przenośnia, nie wydarzyła się katastrofa budowlana. Było natomiast leżenie w łóżku i dociekania — co mi jest? Kilka dobrych dni wyjętych z życiorysu, gapienie się w błękitne niebo za oknem i edukacja telewizyjna (czy wiecie, że oni nadal emitują Koto Fortuny?! Ja nie wiedziałam).

Nie ma sensu o tym wiele pisać.

Zostałam zmuszona do zwolnienia, relaksowania się i odpoczywania. Zajmuję się spaniem, psem, czytaniem, spacerowaniem. Powinnam leżeć, ale już nie mogę!

Igor zadowolony, bo opuściłam łóżko i mamy czas dla siebie. A w trakcie leżakowania ćwiczyliśmy podawanie przedmiotów, więc zdarzyło się, że leżałam nie tylko z chrupkami, ale ze wszystkim, co dało się przytargać. Dotychczas nie praktykowaliśmy przynoszenia rzeczy do łóżka, teraz to mamy obcykane.

Musiałam się pozbierać, bo pogody i wiosny szkoda, a Blondyn dawał mi do zrozumienia, że już czas ruszyć dookoła jeziora. Nie miałam wyjścia.

Zachorowałam nagle i na długo.

Przynajmniej wtedy mi się wydawało, że na długo, bo do pewnego momentu mojego życia naprawdę rzadko chorowałam. Na kilka miesięcy położyła mnie dopiero owa zakrzepica, która dopadła mnie na początku 2011 roku, połączona z zapaleniem oskrzeli, a wcześniej z zapaleniem tchawicy.

Wtedy, w kwietniu 2009, nie wiadomo było, o co chodzi, poza tym, że o brzuch — bolał przy każdym ruchu. Jak już się mogłam ruszyć, to robiono mi badania, miałam nawet skierowanie do szpitala. Sprawa była o tyle utrudniona, że większość narządów wewnętrznych mam w zupełnie innym miejscu, niż powinnam. Oczywiście ze skierowania nie skorzystałam.

Męczyło mnie leżenie i świadomość, że coś mi jest. Nie chciałam zwalniać, nie chciałam z niczego rezygnować, a czułam, że chwilowo muszę.

Z perspektywy czasu i prawdziwego chorowania, kiedy to ratowano mnie kofla-torem (specjalną maszyną, która pomaga w odkrztuszaniu), a także serwowano mi ogromne zastrzyki, mogę spokojnie powiedzieć, że tamta niedyspozycja, chociaż uciążliwa, nie była niczym strasznym. Prowadząc aktywne życie, wychodziłam z założenia, że mam po prostu mniej siły, nie myślałam o sobie, jak o przewlekle chorej, nie dawałam sobie taryfy ulgowej, nie biegałam po lekarzach. Dzięki temu bardzo często osoby, które mnie poznawały, nie postrzegały mnie przez pryzmat wózka.

Teraz, kiedy za mną dwumiesięczne leżenie w łóżku, nietęgę miny lekarzy, kiedy mój organizm przestał być niezawodny i pokazał, że z jednej choroby może wpaść w drugą, na nowo uczę się takiej postawy. Nieco jestem słabsza, nieco bardziej rozważna, ale dalej twierdzę, że aktywność, ruch, duża ilość zajęć - to najlepszy sposób na zanik mięśni.

Poniedziałek, 27 kwietnia 2009

#### WIELKANOCNY PREZENT

Na wsi kościół jest na tyle daleko, że Ksiądz przyjeżdża do Gospodarza i u niego wszystkim święci pokarmy. Byliśmy ze święconką i my, a po wszystkim Ksiądz zapytał o Igora. Wynikało z tego, że Blondyn znany jest mu ze słyszenia, więc pewnie ludzie coś mu opowiadali. Ucięliśmy sobie miłą pogawędkę, pochwaliłam się decyzją arcybiskupa, chociaż tam jego władza nie sięga.

Ksiądz nie zdziwił się, nie oniemiał, nie obruszył, nie skrzywił (a na to byłam przygotowana), tylko mówi:

- No, tak. Święty Franciszek twierdził, że zwierzęta też się modlą.

Pociągnęłam temat i od ręki dostaliśmy pozwolenie na chodzenie do kościoła na wsi. Bez pism do tamtejszego arcybiskupa. Bez min, zastanawiania się i innych takich.

Nie wiem, czy Ksiądz zdaje sobie sprawę, jaką sensację wzbudzimy z Ajkim w wiejskim kościele. Ale wierzę, że poradzi sobie ze wszystkimi, którzy mogą mieć o to pretensje.

Konkretny facet jest.

Konkretny i cierpliwy, a do tego z poczuciem humoru. Kiedy latem 2009 na dłużej zamieszkałam na wsi, często chodziliśmy do kościoła. Ogólnie Ajki zachowywał się dobrze, czasami tylko się otrzepał czy nieapetycznie zagluto-wał. Trochę mu się nudziło podczas mszy, ale dawał radę.

Jednak pewnej pięknej niedzieli mój Blondyn zorientował się, że ten facet w kiece rozdaje jedzenie! I my stoimy w kolejce po nie! Był więc pewien, że i on dostanie smakołyk z tego pięknego kielicha, co wyraźnie sygnalizował mnie i księdzu wymownymi spojrzeniami.

Dał się przekonać, że nic z tego, ale sytuacja była zabawna. Ledwo go odciągnęłam sprzed ołtarza.

Oczywiście nasz Wioskowy Proboszcz wyczuł komizm i uśmiechał się pod nosem.

O skargach na nas nic nie wiem, liczę po cichu, że po prostu żadna nie wpłynęła.

Wtorek, 5 maja 2009

#### TAK WŁAŚNIE MIAŁO BYĆ

Marzyłam o takiej majówce całą zimę. Całą!

Było wszystko — głupawka o 2.00 nad ranem, bo aniołkowi wypadło oko, scrabble, spacer, słońce (mnóstwo słońca!!!), opalanie się, kwitnące drzewka, kwiatki w kształcie serduszek, nasze ulubione Radio ZW, wyścigi z Grzesiem (he, he), czas dla Igora i słuchanie Magdy Umer.

Ale przede wszystkim rodzinna - Ciocia Kasia, wielka fanka wieczornych partyjek, i Monia, z którą w kapciach po nocy biegałyśmy na łąkę, by Igor się załatwił.

Było popołudnie z Ekipą, Która Najechała na Dom Babci ;) oraz z samą Babcią, która jak zwykle miała wyśmienity humor i dokonała przeglądu w naszym ogródku. Ze względu na konieczność oszczędzania sił nie pojechałam na rodzin-

ne ognisko, ale gdy następnego dnia zjawiłam się w Domu Babci, natychmiast wystawiono mi kanapę na podwórko (sic!), bym łąpała witaminę D.

W kontekście ostatniego leżakowania w łóżku ten weekend smakował jeszcze lepiej.

Igor również bawił się doskonale. Ciocia Kasia i Monika były chętne do współpracy, więc po ćwiczyliśmy komendy na dogoterapię - ściąganie komuś skarpetek, przybijanie żółwika, podawanie przedmiotów od osoby do osoby. Blondyn znalazł się w swoim żywiole. Musiał tylko uważać na słońce, bo prażyło intensywnie!

Sobota, 9 maja 2009

MANIA KARANIA j

Niezależnie od tego, jaki zbiornik wodny mijamy (jezioro, rzeka czy kałuża), Igor staje i daje mi do zrozumienia, że chętnie by się wykapał. Uczymy się więc na nowo dyscypliny, bo Blondyn musi sobie przypomnieć, że to ja tu rządzę. Wczoraj zaczął zatrzymywać mi się na mieście i myślałam, że znowu jakiś bunt, ale okazało się, że kolejny raz coś zjadł na dworze i pobolewał go brzuch.

Muszę chyba jednak postawić na kaganiec, ale w kagańcu to on się obraża i koniec dyskusji.

Jednakże pragnę się pochwalić, że w czwartek zrobiliśmy próbę, czy damy radę sami podbijać Katowice. Im cieplej, tym lepiej mi się porusza, pilot do uczelnianych drzwi na szyję, tasiemka do poprawiania na ramię i jedziemy. Teraz asekurowali nas Ciastkowie, ale udawaliśmy, że ich nie ma. Było super.

Piątek, 22 maja 2009

STARAŁAM SIĘ

Naprawdę dtugi czas starałam się odpoczywać i oszczędzać. Naprawdę.

Ale tak wyszło, że w tamtym tygodniu zrobiła się gonitwa. Praca, angielski, zaległy angielski, uczelnia, biblioteka, rehabilitacja, kosmetyczka, fryzjer, na-siadówka u Blanki i Marcina, a na koniec ślub i wesele Justy i Wita. Wróciłam o 6.00.

Mój pies tłumaczył mi, że trochę za dużo się przemieszczamy, i na przykład w piątek na rozstaju dróg mieliśmy poważną rozmowę — bo ja w lewo do kosmetyczki, a on w prawo - nad jezioro. Ale obiecałam mu spacer w późniejszym terminie i jakoś dał się przekonać. Po wizycie u Blanki i Marcina zaliczyliśmy uroczą, nocną, majową przechadzkę, a drugą, z kąpielą, w poniedziałek, tuż po wizycie u Pani Promotor.

Obecnie obydwójce jesteście wykończeni, bo w ramach dostarczania rozrywek Blondynowi kupiłam mu płotek. Psiary (ja, Taia i Ania) zabrały swoich pupili na łąkę i urządziły skakanie oraz czołganie. Tylko Muffin wyszedł na tym dobrze, bo oprotestował te zabawy, reszta natomiast skakania ma dosyć na dobrych kilka dni. Najdzielniejszy był Timon, kundel ze schroniska. Swoje lata ma, a radził sobie świetnie.

Odkąd pojawił się Igor, nie zdarzyła mi się taka chwila, bym nie miała nic do zrobienia. Bo zawsze coś - trzeba pobawić się, pouczyć, iść na spacer, do weta itd.

Ciągle jestem w wirze i mam nadzieję, że uda mi się bez komplikacji dotrzeć do urlopu. Już nie jestem taka bojowa i trochę stracha mam.

Naprawdę się starałam. A wyszło —jak zwykle :).

Sobota, 23 maja 2009

SKACZEMY

Igor chyba kiedyś skakał przez płotki, bo bardzo mu się podobało. Ale najwyraźniej ćwiczył z kimś chodzącym, bo jak szedł lub biegł przy wózku, to płotek miał w nosie. Z Blondynem trenowała więc ostatnio Ania od Muffina.

Muffin w tym czasie wolał spacerować.

Płotek jest świetny, lekki, można go zabrać na spacer i postawić gdziekolwiek. Na wsi mamy już tunel, powoli więc kompletujemy przenośny psi plac zabaw.

238

239

Piątek, 29 maja 2009

SAMI DAMY RADE

Korzystając z ciepłych dni, bywaliśmy to tu, to tam sami. Ogólnie ta samodzielność nieźle nam wychodzi, poza momentami, gdy coś nie idzie zgodnie z planem. Tak zdarzyło się ostatnio. Dojechaliśmy do Katowic i zaczęło padać, ręka zmarzła, musieliśmy prosić jakąś panią, by nacisnęła guzik na pilocie do uczelnianych drzwi. Jednak takich sytuacji podbramkowych jest niewiele.

Igor wie, że gdy jesteśmy sami, to jest poważnie. Ostatnio tak się wczuł, że sięgnął po kartę, którą podawał mi Pan Bibliotekarz. Wzbudził tym szmerek podziwu, a u mnie — głębokie zdumienie. W życiu nie uczyłam go, by nosił w pysku karty biblioteczne!

Piątek, 29 maja 2009

O DYSCYPLINIE

Człowiek, który wychowuje psa, musi być bardzo konsekwentny. Milusińscy natychmiast wyczuwają, gdy im nieco odpuścimy.

1. Wyjadanie chrupek.

Kilka razy pozwoliłam Igorowi zjeść chrupki z miski, w której je trzymam przy wózku. Od tej pory zdarza się, że niby mimochodem Blondyn zanurza w niej jęzor. Irytuje mnie to i złości, a wszystkich wokół bawi. Uczymy się więc na nowo, że chrupki bierzemy z ręki na komendę: „Proszę”.

2. Miłość do Pani Promotor.

Igor kocha Panią Promotor i nie umie tych emocji ukryć. Ostatnio zapomniał się i włąził podczas wykładu na katedrę, a następnie przytulił się bez skrupowania do Pani Profesor. Zrobił to trzy razy! Oczywiście nikomu to nie przeszkadzało, Blondyn opamiętał się i wrócił do mnie, ale obawiam się, że mu się to ugruntuje i podobnie będzie się zachowywał na innych zajęciach.

3. Wymuszanie przez stawanie.

Z tym walczyliśmy od mojej choroby, ale sytuacja już jest opanowana i Igor jak dawniej pięknie biega po Katowicach i nie tylko.

Pamiętam, że mieliśmy wtedy trochę problemów wychowawczych. Igor jest stworzeniem niezwykle empatycznym i moje emocje odbijają się na jego zachowaniu. Ja się wyluzowałam, więc on też. Poza tym wówczas po raz pierwszy, odkąd się do mnie sprowadził, nie znajdował się cały czas w centrum uwagi.

Nawet jeśli z Igozem chodzi się na spacer, ćwiczy i trenuje - to za mało. On musi czuć, że robimy coś razem, że oto czas poświęcony jemu i nic innego mnie nie absorbuje. Potrzebuje też, by go przytulać, głaskać, a przede wszystkim — mówić do niego. Czasami mam wrażenie, że jest dużo mądrzejszy ode mnie, że wie i rozumie więcej, niż mi się wydaje.

Igor ma swój świat. Bez konfliktów i przemocy, pełen łagodności. Blondyn nienawidzi sporów — woli się wycofać, stchórzyć, niż uczestniczyć w jatce. Ceni sobie święty spokój. Hałas, krzyk - to dla niego tortura. Gdyby ludzie żyli według Igorowych wartości, na świecie byłoby milej i przyjaźniej.

Sobota, 30 maja 2009

WYPADEK

Mieliśmy wypadek wynikający z mojej oślej głupoty i braku wyobraźni.

Muszę go tu opisać ku przestrodze innych wózkowiczów biegających z psami.

No, właśnie. Dopiero co pisałam, że znowu sobie biegamy. Już nie będziemy.

W nowym wózku mam rączkę jak w wózku dziecięcym, nie ma więc szans, by smycz się zsuneła. Tym razem Igor stanął nie w ramach buntu, bo to mu już przeszło, ale ot, tak sobie, bo coś tam wyniuchał, a dodatkowo jakoś zaplątał się w słupek. Trudno mi ocenić, co zrobił, bo biegł obok mnie, a już chwilę potem wywinęłam orła na przejściu dla pieszych i leżałam, więc nie widziałam nic.

Mam świetny wózek i on mnie uratował — nie uderzyłam ani głową, ani niczym innym. W ogóle nic mnie nie boli.

Igor zjadł chrupki, które się wysypały, a później zdobył się na skrucę. Ale w gruncie rzeczy wina była tylko i wyłącznie po mojej stronie. Mam nauczkę i na pewno dorobimy rączkę na smycz, która w razie czego po prostu spadnie.

A ja od dzisiaj będę już tylko dostojnie spacerować. Koniec biegów!

To był mój kolejny tego typu wyczyn. Kiedyś, w drodze na targ, wjechałam na zbyt stromy podjazd i wywróciłam się do tyłu. Uderzyłam z całej siły głową o asfalt, do dzisiaj nie wiem, jakim cudem jej nie rozwaliałam.

Podnieśli mnie przechodnie, którzy szybko się zbiegli, bo widowiskowy był ten mój przewrót, nie powiem. Głowa bolała mnie okropnie. Tata w pracy, Mama bez samochodu, zadzwoniłam więc po Tomka (tego samego, który był ze mną na studniówce i jeździł ze mną na rekolekcje). Stwierdziłam, że jakoś doturlam się do pobliskiego szpitala (!! I), bo przecież TYLKO boli mnie głowa. Towarzyszyła mi kuzynka Karolina, po chwili pojawił się Tomek i rzeczywiście na piechotę poszliśmy na prześwietlenie.

W końcu i tak musiałam zadzwonić po Mamę, bo nie miałam dokumentów, ale najważniejsze, że nic się nie stało. Guz był ogromny, wstyd, że zachowałam się tak nierozsądnie - również, ale ogólnie cała historia dobrze się zakończyła.

Tylko Karolina do dziś boi się naszych wypraw elektrykiem, bo długo miała wyrzuty sumienia, że mnie nie przypilnowała, że to, co się stało, było jej winą. A przecież to ja myślałam o niebieskich migdałach!

Niedziela, 31 maja 2009

NIC DWA RAZY SIĘ NIE ZDARZA...

...i dlatego tak mi żal tego maja.

To był wyjątkowy miesiąc, trochę przełomowy, pełen dobrych chwil. Działo się wiele, szybko i zdrowo, czyli tak, jak z Igorem lubimy najbardziej :).

Chciałabym zapuszkować wspomnienia, by w każdej chwili móc do nich wrócić. Jaka szkoda, że w życiu, jak na filmie, nie można zrobić przewijania wstecz.

Pamiętam noc, kiedy publikowałam tę notkę. Długo zastanawiałam się, czy to napisać, czy nie jest to zbyt intymne, czy odda w pełni, co czuję, czy ubrane w słowa nie okaże się kiczowate i głupie.

Dzisiaj wiem, że wiele wspomnień — tak jak się obawiałam — zatarło się i wyblakło. Pamiętam jednak smak tamtego maja i to, jak bardzo byłam szczęśliwa. Pamiętam smażone wspólnie z Taim jajecznice i nasze rozmowy, żarty, śmiechy. Pamiętam pachnące wiosną spacerzy. Pamiętam długie, ciepłe, bez troskie wieczory i te ranki, gdy w autobusie uśmiechałam się do każdego, kto wsiadał, bo po prostu nie mogłam się powstrzymać. Pamiętam moje zielone i żółte makijaże, moje jaskrawe, czerwone paznokcie, krótkie jak nigdy wcześniej.

Maj był też początkiem wielkich przedsięwzięć i dobrych wiadomości. To w maju zadzwoniła do mnie Monika Szwaja i dowiedziałam się, że bohaterowie podobni do mnie i do Blondyna pojawią się w powieści. Kiedy odebrałam ten telefon, omal nie padłam trupem z wrażenia, a po zakończonej rozmowie prawie odtączyłam kankana.

Także w maju odbyłam wiele spotkań z Radkiem Kaźmierczakiem, który kręcił film Z nich jesteście śmy dumni. Ukazuje on sylwetki trzech tyszanek — w tym mnie. Jestem zaszczycona, że mogłam w nim wystąpić. Wiele wniosła do mojego życia znajomość z Radkiem - fotografem, wielkim artystą, fantastycznym człowiekiem. Często mi towarzyszył, bo chciał jak najlepiej

poznać mnie i moją codzienność. Były więc dyskusje, rozmowy... i parówki z coca-colą. Jego film był prezentowany w Tychach podczas oficjalnej premiery, a później wyświetlano go w tyskich szkołach. Jest dostępny także w internecie.

Kiedy pisałam tę ostatnią, majową notkę, naprawdę miałam poczucie, że coś się kończy. Znałam przecież powiedzenie, że szczęśliwym się bywa, a nie jest. Nie miałam natomiast przecucia, że niedługo dojdzie w moim życiu do całkowitej rewolucji i już nic nie będzie jak dawniej.

W lipcu, podczas weekendowego wypoczynku na Ruince, Tata miał zawał. Odratowano go, jednak zdarzenie to miało ogromny wpływ na dalszy bieg wypadków.

Wtorek, 21 lipca 2009

### TYSIĄC LAT PÓŹNIEJ

Ponad tydzień temu, wyjeżdżając na wieś, spakowałam figurki słoni, by od tej pory zamieszkały na Ruince. To był pierwszy krok do remontu, ogromnego remontu w naszym tyskim mieszkaniu. „Coś się kończy, coś się zaczyna” — myślałam, bo oto kawałek po kawałku żegnałam się ze starym pokojem. Po rewolucji zamieszkam w dużym, do mnie dostosowanym, w którym spokojnie pomieszczę wszystko, co mi potrzebne.

Nie wiedziałam, że wyjeżdżam nie na dwa dni, lecz na długie miesiące.

Przez głowę mi nie przeszło, że nasze mieszkanie w starym wcieleniu zobaczę tylko raz, i to przelotem.

Podczas weekendu, w niedzielne popołudnie Tata miał zawał. To, co działo się tego dnia na Ruince, było jak najgorszy koszmar. Wszystko odbywało się szybko, a trzeba było działać, gdy z Mama tym razem została w Tychach, Tata wylądował w szpitalu w Kluczborku, a ja — najzwyczajniej w świecie — potrzebowałam pomocy w najprostszych czynnościach.

Dodatkowo dzień przed wyjazdem w księgarni stanął mi elektryk, którego byłam zmuszona tam zostawić - Tata miał go odebrać w poniedziałek.

Dni po zawale to ludzie, ludzie, ludzie... Ludzka troska, telefony, serdeczność. Ale przede wszystkim — konkretna pomoc, czyn i obecność. Dziękuję, kochani!

Siedzę na Ruince. Minęło tysiąc lat od ostatniego wpisu. Tata jest poważnie chory, czeka go operacja (by-passy). Nasze życie całkowicie się zmieniło, a mamy świadomość, że to jeszcze nie koniec. Możemy jednak tylko czekać.

Tata musiał iść na operację, więc nie mógł się mną już opiekować — to wydawało się niewyobrażalne, bo bez mięśni Taty praktycznie nie funkcjonowałam.

Przez prawie dwa miesiące mieszkaliśmy na Ruince. Najpierw towarzyszyła nam Taia z Ciastkiem, później Ciocia Krysia. Na co dzień pomagała nam także sąsiadka - Wiola. Wygrałam los na loterii, że miałam wówczas obok siebie takie osoby. Dzięki nim odzyskiwałam poczucie bezpieczeństwa i spokój.

W międzyczasie musieliśmy zrobić remont, bo dostaliśmy w końcu dofinansowanie z PFRON-u i gonili nas terminy. Mama została w Tychach, a my na wsi.

Wtorek, 25 sierpnia 2009

### NADAL NA WSI

Igor wyczuwał moje nastroje. I kompletnie nie rozumiał, dlaczego mam taki kiepski humor. Piękna pogoda, pola puste, do pełnego szczęścia brakuje tylko Muffina, tymczasem ja jakaś niezadowolona.

A u nas po zawale Taty nastąpiła seria niefortunnych wypadków. Pech jakiś nas prześladował i mniejsze oraz większe problemy. Nie miałam sił i ochoty ćwiczyć z Igorem, nieco więc był rozczarowany, bo robiliśmy minimum. Efekty szybko dało się zauważyć.

Przyjechała do nas Mama i ustawiła mnie do pionu. Wprowadziła na Ruinkę ruch i optymizm. Dzielna, kochana Mama, która sama walczy w oddalonych od nas o sto pięćdziesiąt kilometrów Tychach. Bo w naszym mieszkaniu nadal pył, gruz i Panowie od Remontu.

Powoli więc wracam do siebie i schodzi ze mnie stres. Relaksuję się, opalam i nadrabiam zaległości. Rodzinka zapewniła mi odstressujący tydzień, pełen uciech wszelakich. Igor widzi, że z

panią znowu da się pogadać, biega więc około dwóch i pół kilometra dziennie przy wózku. Poza tym jest niezbędny, bo osłabłam, więc mnie ratuje, jeśli gdzieś zawisnę w ogródku. Uczę go intensywnie przekładania ręki na joystick.

A jak go puszcza, to od razu włącza mu się tryb „wiejski pies” i przynosi mi wstyd. Jestem pełna podziwu dla Mamy, która pilnowała wszystkich prac, podejmowała trudne, remontowe decyzje, rządziła Panami od Remontu (a ci na to rządzenie byli bardzo oporni) oraz próbowała rozplatać setki kabli (były wszędzie, w każdym zakątku). W opróżnianiu mieszkania pomagali jej moi koledzy, mogła też liczyć na męskie ramię Przemka, chrześniaka Taty. Długie wieczory „na gruzach” spędzała z moją kuzynką Karoliną. Trudno tu zresztą wymienić wszystkie osoby, które nam wtedy pomogły. Wszystkie jednak wiedzą, jak bardzo jestem im wdzięczna!

Na wsi czas mijał wyjątkowo szybko. Mogłam na szczęście pracować, bo miałam dostęp do Internetu. Jak zwykle, gdy tego najbardziej potrzebowałam, na mojej drodze stanęły niezwykle wartościowe osoby - Nina, rehabilitantka, i jej rodzina. Ajki zaś zakochał się w podopiecznej Niny, Balbinie.

Piątek, 28 sierpnia 2009

#### O MIŁOŚCI I GRILLU

Igor zakochał się w kozie Balbinie.

Po kąpieli w strumyku nie chce wracać, tylko biegnie w kierunku pastwiska i ogląda się, czy za nim idziemy. Tata mi nie wierzył, że on do niej tak leci, więc kiedyś go nie odwołaliśmy (a odwoływanie go z tej ścieżki jest bardzo trudne) i Blondyn jak po sznurku zaprowadził nas do kozy.

Przychodzi i się przed nią tarza. Oczywiście było podejrzenie, że tarza się w kupie, ale nie, on tarza się PRZED NIĄ. Przed kozą.

Dzisiaj z roztargnienia wszedł w rozpalony grill i go przewrócił. Taki zakochany, głowa w chmurach.

Niedziela, 20 września 2009

#### NA ZAKRĘCIE

Po powrocie do Tychów wpadliśmy w wir spotkań, wypraw, załatwiania spraw wszelakich. Ci ągle w trasie - do tego stopnia, że Igorowi pękła poduszka na łapie.

Wszystko jest nowe. Mieszkanie, które w niczym nie przypomina starego, winda, którą uwielbia jeździć Igor (pcha się do niej pierwszy), ale i dni. Jakbym się obudziła w zupełnie nowej rzeczywistości. Wiele zmian przed nami, bo mnóstwo się dzieje, konieczne było przemyślenie życiowego konspektu i jego modyfikacja.

Oto jesteśmy z Igozem na zakręcie, ale myślę, że się na nim wyrobimy, a dalej czeka nas wiele wyzwań. Wyzwania zaś lubimy najbardziej :).

Kiedy wróciłam do Tychów, uświadomiłam sobie w pełni, że remont zrobiliśmy dosłownie w ostatnim momencie. W poprzednich warunkach nie byłabym w stanie funkcjonować bez pomocy Taty.

Zresztą doszliśmy z Mamą do wniosku, że byliśmy niepoważni, uważając, iż uda nam się egzystować w remontowanym mieszkaniu, nie biorąc urlopów. Tak zakładał pierwotny plan, jak się okazało w trakcie, zupełnie niemożliwy do zrealizowania.

Wtedy to kolejny raz miałam poczucie, że moje życie, chociaż niełatwe, jest starannie zaplanowane przez Boga, że nic nie dzieje się przypadkiem. Bo w tym nieszczęściu naprawdę mieliśmy sporo szczęścia.

Niedziela, 20 września 2009

#### WINDA

Jak pisałam, zamiast zardzewiałego podjazdu mam teraz srebrną windę. Igor już w ogóle nie korzysta ze schodów.



— Mamo, dlaczego ta winda tak wolno jeździ? — zapytałam przy pierwszej próbie nowego sprzętu.

- Bo ona jest dla niepełnosprawnych.

Fakt, nie wpadłam na to :D.

Czwartek, 15 października 2009

OD NOWA

Uczymy się od nowa naszego mieszkania. Nie chodzimy do pokoju Rodziców, bo zrobił się mikroskopijny, tyle rzeczy w nim upchnęli. Łazienka mnie zdumiewa, ilekroć do niej wchodzę, ilekroć w wannie gapię się na ten wielki podnośnik, który wyławia mnie z wody jak rybkę.

Uczymy się od nowa naszego pokoju. Najczęściej wykorzystywana komenda: „Ajki, zamknij drzwi”. Bo mamy takie, które sami potrafimy zatrzasnąć, i w ten sposób odciąć się od świata.

Igor musi na nowo nauczyć się, gdzie stoi kosz na śmieci, którą szafkę otwieramy. Najłatwiej nam poszło z szufladą na tabletki — ją Blondyn ma zakodowaną na wieki wieków. Poza tym klikamy komendę: „Miejsce”, bo Igor otrzymał posłanie i jak tylko ja nurkuję do łóżka, on idzie do swojego kącika. Chcę jednak, by także w ciągu dnia tam się kładł, gdy na przykład mam rehabilitację i nie powinien leżeć na środku pokoju.

Uczymy się nowego tempa życia, nowej rzeczywistości, w której Tata nie gna do pracy, tylko gotuje obiad.

Te pierwsze miesiące po zawale Taty, a później po jego operacji, to była szkoła życia. Właściwie szkoła przetrwania - dla mnie i Rodziców.

W szybkim tempie uczyłam się, jak to jest, gdy dostaje się od losu w kość. Musiałam przecież jakoś funkcjonować, świat nie stanął w miejscu. Gorzka to była nauka, ale myślę, że dobrze odrobiłam zadane lekcje. Te wakacyjne wydarzenia zmieniły mnie bardziej, niż mogło się wydawać.

Niezależnie od choroby Taty skomplikowało się wiele istotnych dla mnie spraw, nastąpiło kilka pożegnań z ważnymi dla mnie ludźmi. Jakby ktoś machnął różdżką i powiedział: „Zmiana dekoracji”. Długo nie potrafiłam odnaleźć się w tym świecie, ale w końcu nauczyłam się nowych ścieżek. Zmiany bywają bolesne, jednak inspirują do działania, do nowych wyzwań, do walki.

Przyjaciele, niestety, się wykruszali. Ale nie zostałam sama, pojawiły się dobre duszyczki, stare znajome - Myjkai Dagmara. Jak mogły, pomagały Mamie opiekować się mną i Ajkusiem.

Wspierała nas też rodzinka i Rambo, którego sprezentowała mi moja ówczesna firma.

Środa, 4 listopada 2009

RAMBO

Rambo to mój nowy kolega. Małomówny, zimny, ale jaki silny! :)

Rambo to podnośnik jezdny — mały, zwrotny, łatwy w obsłudze. Musieliśmy go jakoś udomowić, więc został Rambusiem.

Budzi wielkie emocje, bo każdy chce poprobać, jak to jest podnosić mnie bez użycia siły i wozic w dowolne miejsce umieszczoną w specjalnym koszyku. Ale z mojej kobiecej ekipy tylko Mama i Myjka potrafią mnie przesadzać same.

Igor nie do końca Rambusiowi ufa, łypie okiem, bywało, że się pchał i przeszkadzał, ale zaczyna przyjmować do wiadomości, że jest OK. Ja natomiast w ogóle nie mam obaw i dopiero teraz widzę, ile taki Rambo daje nowych możliwości.

Jeszcze raz dziękuję za Rambusia moim Szefom. Bez niego ani rusz!

Wtorek, 10 listopada 2009

ŚWIATEŁKA

Bywa, że w życiu robi się nieciekawie. Mroczno — można rzec. A za oknem pada. Bołą kości w nodze, w nadgarstku, w ogóle bołą kości, wszystkie właściwie. I trudno wierzyć w moc spadającej gwiazdy.

Ale nagle pojawiają się światełka, chociaż człowiekowi wydaje się, że światełka nie istnieją, a je śli już, to w innej galaktyce.

Ktoś informuje, że film z ukochanym Hugh Grantem jest w kiosku za 9,99 zł (ostatni!) i biegnie po niego z rana.

Pani w czytelni specjalnie dla mnie zostawia czasopisma, żeby nie musiała od nowa ich zamawiać i czekać. A nikt jej nie mówił, kiedy i czy w ogóle się pojawię! „Czułam, że pani przyjdzie” - twierdzi. Gazetki czekały prawie tydzień!

Inna Pani z Biblioteki Śląskiej, która wielokrotnie służyła mi radą i pomocą na miejscu, wysłała mi maila z zapytaniem, czy wszystko udało mi się załatwić, bo jeśli nie, to ona chętnie poszuka i podeśle. Jestem pod wrażeniem! Piękny gest.

Dostaję propozycję wspaniałego wyjazdu zimowego (ale ciuuuuuuuuuu - nie zapeszamy!) w świetnym towarzystwie.

W perspektywie mały projekcik, a w związku z nim — telefony, telefony, telefony. Telefony od samych miłych ludzi, którzy mają dla mnie wyłącznie dobre wiadomości.

Już nie wspominam o fantastycznym wieczorze w „Starym Porcie” w Chorzowie, gdzie zostałam zaproszona przez Monikę Szwałę, by, jak to ona mówi, wpaść w łapska szantymenów ;). Byłam na koncercie Prawdziwych Pereł i bawiłam się rewelacyjnie. Zadeedykowali mi jedną z piosenek i omal nie pękłam z dumy ;). Utwory świetne, atmosfera jedyna w swoim rodzaju, pełny relaks. Dziękuję!

Światełko do światełka i jakoś łatwiej się wstaje, a i noga mniej boli. Tylko Igor niepokieszony, bo niestety leje nieustannie, a mrok zapada o 16.00.1 jak tu wybrać się na porządną kąpiel w jeziorze?

Środa, 27 stycznia 2010

ROLLERCOASTER

Halo, halo, czy jest tu kto? :)

Bo ja jestem. W końcu.

Dzieje się tyle, że trudno mi to ująć w notki, aż żałuję, że nie prowadzę foto-bloga, prościej by było przedstawić na obrazkach mój noworoczny życiowy rollercoaster.

Na tym rollercoasterze są ze mną fantastyczni ludzie i panuje świetna atmosfera. Są tacy, którzy robią mi kogel-mogel i cichaczem podrzucają potłuczone mydelniczki :D, są tacy, którzy przychodzą na długie, sobotnie pogaduchy, i tacy, którzy w największy mróz gotowi są na spacer z Ajkiem. Mamy obok 253 siebie zwariowanych miłośników rękodziela i Ciocię Krysię, która bez wytchnienia produkuje czapki oraz rękawiczki. Wlewają mi do głowy entuzjazm i siłę na każdy dzień.

Odzyskałam weekendy. Cóż za luksus! Przypomniałam sobie, jak miło jest czekać na piątkowe popołudnie i odpowiednio je spożytkować. W ramach weekendowych rozrywek zaliczyłam już wypad na pizzę, mecz hokejowy, a w tym tygodniu mknę znowu na szanty.

Poza tym piszę. Cały czas piszę. O wszystkim. Głównie o ślubach i wyposażeniu. Śmieję się, że nawet o dziurce od nosa stworzyłabym tekst, gdyby zaszła taka potrzeba. Wysyłam maile do teatrów (czyli próbuję stworzyć rozdział doktoratu, taaa...), odbieram maile, redaguję, szukam recenzji. Nie wiem, kiedy mijają dni.

Czasami pojawia się mały stresik, wiadomo, jak na rollercoasterze. Ale mam dobrze zapięte pasy, nie spadnę ;).

Impulsem do zmian w moim życiu była praca. Tak jak pisałam, postanowiłam ją zmienić z dnia na dzień. Znalazłam najpierw jedną, a potem drugą, jeszcze lepszą. I wszystko zaczęło nabierać kolorów.

Niedziela, 28 marca 2010

RYTM

Od prawie dwóch miesięcy funkcjonujemy z Ajkusem zupełnie inaczej niż dotychczas, nasza codzienność całkiem się zmieniła.

Rano biegniemy na przystanek, jedziemy do pracy, a tam zazwyczaj sporo się dzieje i wszyscy podziwiają Igora, który leży przy wózku i ani drgnie. Co drugi dzień chodzimy na długi spacer, w niedzielę zaś Blondyn zabierany jest do lasu i nad jezioro na tak zwane „wycioranie”, po którym śpi jak zabity jedną trzecią dnia. Przynajmniej raz w tygodniu udajemy się po pracy do parku - Igor na bieganinę, a ja na ploteczki (dopiero teraz ten park odkryłam!). Regularnie spotykamy się z bratem Lucjanem, który nieustannie dopisuje coś do modlitewnika i końca tego dzieła nie widać (a moim zadaniem jest czytanie tego i poprawianie!).

W naszym tygodniowym rytmie mamy czas przeznaczony na odpoczywanie (niedziela jest na relaks!) i na pracę naukową. Od tego tygodnia w soboty jeździmy do katowickiej biblioteki (tam pomagają mi dzielnie klerycy), a od kwietnia zapisana jestem na angielskie rozmówki (brrr).

Tygodnie mijają jak jedna chwila, dosłownie gnają.

Igor wykorzystuje każdą okazję do spania, jednak nawet jeśli jest wykończony, czuwa, czy aby nie wychodzę gdzieś bez niego. Wyciąganie kurtki z szafy jest sygnałem, że trzeba koczować przy drzwiach.

Środa, 28 lipca 2010

### JAK IGOR JEŹDZIŁ WINDĄ

Pewnego dnia w ubiegłym tygodniu po pracy czekaliśmy z Igorem na windę w naszym Biurze. Przyjechała niestety pusta, nie mogłam więc nią pojechać, bo nie miał mi kto nacisnąć guziczka piętra. Igor potrafi nosem włączyć jeden przycisk, na przykład kontaktu, ale konkretnej cyferki na wysoko umieszczonej tablicy nie naciśnie.

Postanowiłam poczekać. Ale Blondyn zobaczył coś w windzie i aż go zahipnotyzowało.

Bo to był m&xm's. Kusząco niebieski. Ten z orzeszkiem.

- Igor, nie — powiedziałam stanowczo, widząc, na co się zanosi. - Nie wolno.

Ale mój pies spojrzał na mnie z miną: „Kochaneńka, to silniejsze ode mnie, zaraz wracam, zjem i już jestem”, a następnie wlaź do windy! Ta oczywiście się zamknęła i zanim zdołałam cokolwiek zrobić — pojechała. Z Igorem.

Na szczęście na horyzoncie pojawił się kolega, który został przeze mnie zaatakowany, chociaż rozmawiał przez telefon.

- Słuchaj, pies!!!! Pies pojechał, błagam, leć na dół i zobacz, czy on tam jest! Kolega spojrzał na mnie, jakbym spadła z kosmosu.

- Windą pojechał, leć, proszę!!!! - wyjaśniłam najkrócej, jak potrafiłam.

Polecał, za co jestem mu bardzo wdzięczna. Jak się okazało, Igor nigdzie się nie wybierał, a tego obawiałam się najbardziej - że pójdzie w miasto. Grzecznie czekał przy portierze. Mogłam na to od razu wpaść i nie panikować, bo przecież wiadomo było, że Blondyn nie chciał się urwać, tylko zjeść w spokoju smakołyk.

Bo takiego m&m'sa z orzeszkiem, to musicie przyznać, nie można sobie darować:].

Sobota, 21 sierpnia 2010

### DZIEŃ Z TVPI

Okazało się, że projekt „Z nich jesteśmy dumni”<sup>17</sup>, w którym brałam udział, został nagrodzony przez Ministerstwo Rozwoju Regionalnego i w związku z tym na wczoraj zapowiedziała się u mnie TW1.

Zabawa świetna. Moje mieszkanie pękało w szwach, bo oprócz ekipy telewizyjnej (pięć osób) pojawili się również przedstawiciele prasy oraz ci odważni, którzy zgodzili się ze mną wystąpić - Monia i Misiek.

Pomalowano nas (bo TVP1 przyjechała z makijażystką ;) ) i się zaczęło. Ujęcia z głosem i bez niego, filmowanie Igora, ujęcia w domu, w parku, w pracy. I oczywiście wyścig z czasem.

W sumie wszystko trwało sześć godzin. A reportaż ma mieć dwie i pół minuty. Byłam wykończona, towarzysząca mi Monia również, po powrocie zrobiłyśmy więc sobie ucztę. Aktorzy to mają trudne życie, naprawdę.

17) „Z nich jesteśmy dumni” to kampania promująca aktywność zawodową i społeczną niepełnosprawnych tyszan. W ramach kampanii powstaje m.in. film Radosława Kaźmierczaka, w którym miałam przyjemność wystąpić.

Piątek, 27 sierpnia 2010

PO PIERWSZE, MARZYĆ.

... a po drugie - spełniać marzenia :).

A mnie marzyło się, by założyć stowarzyszenie ludzi chorujących na SMA18. Długo moja choroba specjalnie mnie nie interesowała, ale jak się z kimś żyje tyle lat, to w końcu trzeba go poznać. Poznałam więc, a że doświadczenie w wojowaniu (z SMA) mam spore, chciałam się nim podzielić.

Początkowo miało być to stowarzyszenie dziewczyn z SMA, jednak z czasem postanowiłyśmy się nie ograniczać. Bo marzyło nam się, by stworzyć w sieci miejsce, gdzie każdy, kto jest chory na rdzeniowy zanik mięśni lub ma chorego w rodzinie, mógł znaleźć nie tylko moc informacji, ale przede wszystkim życzliwe osoby, które porozmawiają, poradzą, wskażą drogę.

Działania mogliśmy rozpocząć dzięki Inkubatorowi Społecznej Przedsiębiorczości. Otrzymaliśmy fachową pomoc prawnika, możliwość druku materiałów, pomoc przy tworzeniu logo, a w przyszłości — strony internetowej. Udostępniono nam także salę.

Dnia 24 sierpnia 2010 roku w Tychach odbyło się zebranie założycielskie Stowarzyszenia Osób Chorujących na Rdzeniowy Zanik Mięśni „SMAk Życia”.

Byłam bardzo wzruszona, bo przyjechały osoby z całego Śląska, wiele z nich poznałam dopiero na zebraniu, wielu się nie spodziewałam.

Stres ogromny, ale wcześniej dostałam wskazówki i wymagane druki od prawnika, więc jakoś poszło.

18) SMA — rdzeniowy zanik mięśni.

Wybraliśmy komitet założycielski, zarząd, komisję rewizyjną, jednak liczymy na aktywność wszystkich członków, bo pracy mamy mnóstwo.

Zebranie założycielskie to początek. Teraz czeka nas wypisywanie druków, rejestracja, projektowanie logo, tworzenie strony i szukanie sponsorów. Jestem jednak dobrej myśli, bo ekipa smakujących życie jest solidna i wytrwała :).

Tak jak było wspomniane, przez wiele lat odcinałam się od niepełnosprawności i choroby.

Jednak kiedy w sieci pojawił się blondynowy blog, zaczęły do mnie pisać dziewczyny chore na SMA. Przez internet poznałam też rodziców dzieci, u których stwierdzono rdzeniowy zanik mięśni. Wszyscy borykaliśmy się z podobnymi problemami, utworzyła się więc „blogowa grupa wsparcia”, niezwykle aktywna.

Mniej więcej w tym samym czasie na uczelni poznałam Agę - bardzo do mnie podobną pod wieloma względami, także z SMA. Od niej dowiedziałam się, że na Śląsku są jeszcze inne dziewczyny z tym samym schorzeniem.

Długo wahałam się, czy podejmować to wyzwanie - założenie i prowadzenie stowarzyszenia to nie bułka z masłem. Odkładałam ten pomysł na później, chociaż bardzo mnie kusił. Tłumaczyłam sobie, że mam już wystarczającą ilość obowiązków.

Jednak kiedy w Tychach ruszył Inkubator Społecznej Przedsiębiorczości, oferujący pomoc takim osobom jak my, które chciały założyć stowarzyszenie, wiedziałam, że nie ma na co czekać.

Skoczyłam na głęboką wodę.

Przekonałam się o tym wielokrotnie, bo prowadzenie „SMAku Życia” to nie tylko papierkologia, ale też organizacja imprez, zbiórek, poszukiwanie wolontariuszy, a do tego emocje. Emocje za każdym razem, gdy ktoś z nas odchodzi na zawsze, emocje, gdy pojawia się kolejne chore dziecko.

„SMAk Życia” jednoczy osoby chorujące na rdzeniowy zanik mięśni, ich rodziny i przyjaciół.

Zawsze powtarzam, że nie jest instytucją, a grupą osób, która wzajemnie się wspiera i wymienia

doświadczeniami. Zbieramy fundusze, głównie na rehabilitację naszych członków, bo tylko rehabilitacja może nam pomóc.

Stowarzyszenie zostało zarejestrowane w październiku 2010 roku, cały czas jesteśmy więc w fazie rozwoju, nabieramy doświadczenia.

Więcej na nasz temat w internecie: [www.smakzycia.org](http://www.smakzycia.org)

Piątek, 21 stycznia 2011

## MAŁO CZASU

Są takie chwile, gdy uświadamiam sobie do szpiku kości, że czasu zostało niewiele. Wtedy nabieram nowych sił, działam jak w zegarku, nie roztkliwiam się nad sobą, podnoszę wysoko głowę.

Takie chwile zdarzają się mniej więcej co trzy, cztery miesiące. Wówczas moja Pani Profesor mówi, że mam zwolnić, a ja tłumaczę, że nie mogę tracić czasu, bo chcę doświadczyć, spróbować, zobaczyć. I muszę to robić już, nie mogę czekać na jutro czy pojutrze.

Ze świadomością, że ma się mało czasu, dokonuje się trudnych, ale bardziej przemyślanych wyborów. Czy zawsze są słuszne? Czy było warto? To okaże się kiedyś.

Napisałam o tym, bo każdy z nas ma mało czasu — nieważne, czy będzie to czterdzieści, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt czy sto lat. To i tak mało na smakowanie, zwiedzanie, na dobre książki, świetną muzykę, podróże. Ale ta prosta prawda dociera do nas rzadko, gubi się w codzienności. Napisałam o tym także dla siebie, by sobie przypominać i nie tracić chwil. By wybierać, co najlepsze i najcenniejsze. By dać z siebie wszystko, nawet gdy się nie chce. By nie marnować czasu na fochy i złości.

Napisałam o tym, bo ten temat chodził za mną, odkąd byłam z wizytą u franciszkanów. Ktoś zapytał, nie pamiętam, czy o przemijanie, czy o to, jak się patrzy na świat i życie z perspektywy choroby. I wtedy właśnie sobie uświadomiłam, że czasami zwalniam, mazgaję się, myślę o głupotach, a z tego stanu nieustannie budzi mnie świadomość, że na spełnianie marzeń, na przyjemności, na dobre uczucia, na spotkania i uśmiechy, na to wszystko, co chcemy jeszcze zrobić (dla siebie i dla innych), zostało naprawdę niewiele czasu.

Dlatego cały czas planuję, kombinuję, czasami uśmiecham się do życia. Działam, na ile jest to możliwe. Jestem tu i tam. Piszę.

Nie ma wątpliwości, że zanik mięśni jest wyniszczającą chorobą, która doprowadza do tego, że człowiek nie może nawet się podrapać po nosie. Codziennosc zanikowca nie jest różowa.

Jednak cała sztuka polega na tym, by tę szarość choroby oswoić, czasami rozświetlić, czasami się z niej pośmiać.

Doprawdy szkoda czasu na chorowanie. W życiu trzeba po prostu żyć.

## EPILOG

Wszystko tak naprawdę przez Igora.

Kiedy kończyłam studia, w głowie miałam smutne prognozy, których nieco się w życiu nas łuchałam:

- że nie znajdę pracy,
- że nie będę mieć kontaktu z rówieśnikami,
- że będę całymi dniami siedzieć w domu i gapić się w telewizor,
- że będę samiutka,
- że zostanie mi oczekiwanie na napisy „The End”,
- że oto następuje najbardziej ponury etap mojego życia.

Miałam moment, że w to wszystko uwierzyłam. Zaczęłam to nawet jakoś akceptować i wiem, że potrafię funkcjonować jak emeryt, bo jakiś czas tak funkcjonowałam

— od posiłku do posiłku, książka, film, spanie. Jedyne, co mnie od emeryta różniło, to pisanie magisterki. Wtedy naprawdę nie liczyłam na nic dobrego od losu.

A potem pojawił się Igor. Zdałam na studia doktoranckie, dostałam pracę, odzyskałam siły witalne i zapał, pojechałam do Francji, zaczęłam pisać blog ([www.blondyniblondyna.blox.pl](http://www.blondyniblondyna.blox.pl)).

Gdyby nie Igor, nigdy bym się za niego nie wzięła. Gdyby nie powstał blog, nie nawiązałabym współpracy z Urzędem Miasta Tychy, nie byłoby warsztatów. Gdyby nie historia o pięknym Blondynie, nie powstałaby ta książka.

To dzięki Igorowi miałam szansę pracować z dziećmi i więcej dowiedziałam się o dogoterapii. Dzięki niemu odważyłam się jeździć autobusem i stałam się bardziej samodzielna. To Igor nauczył mnie, że nawet wielkie umysły mają swoje słabostki (niektórzy na przykład zjadają śmieci). Ajki przekazał mi wiele życiowych prawd, odmienił moje życie i moją codzienność.

^

Każdy człowiek ma swoje Himalaje. Czasem wyczynem godnym zdobycia Korony Ziemi staje się samodzielna wyprawa na uczelnię albo do kościoła. Magda Kulus ma zanik mięśni, jeździ na wózku i codziennie zdobywa jakiś Mount Everest.

Ale tak jak Hillary miał towarzysza w Sierpie Tenzingu, tak ona ma swojego nieodłącznego Blondyna, Igora. Blondyn jest goldenem retrieuerem i „zawodowym” asystentem, jego zadaniem jest nieustanne pomaganie Blondynie. Ich wspólne życie trwa już cztery lata i obfituje w mnóstwo przygód, zabawnych wydarzeń i dramatycznych zwrotów. Proszę się nie obawiać — opowieść Blondyny o Blondynie nie jest w najmniejszym stopniu cierpiętnicza. W końcu oboje mają niebagatelny wdzięk i poczucie humoru — to pozwala im cieszyć się życiem i korzystać z niego jak najpełniej — mimo pewnych, powiedzmy, niedogodności. Mówiąc prościej: oboje lubią się śmiać.

W życiu Magdy są, oczywiście, również i ludzie. A jednak coś w tym jest, że zaczęła pisać blog dopiero wtedy, gdy poznała Igora.

\V)UxUC)«^

CENA: 29,90 ZŁ

ISBN 978-83-62405-18-3

(jb      [www.wydawnictwosol.pl](http://www.wydawnictwosol.pl)

9788362405183